

DORIAN ZAWADZKI

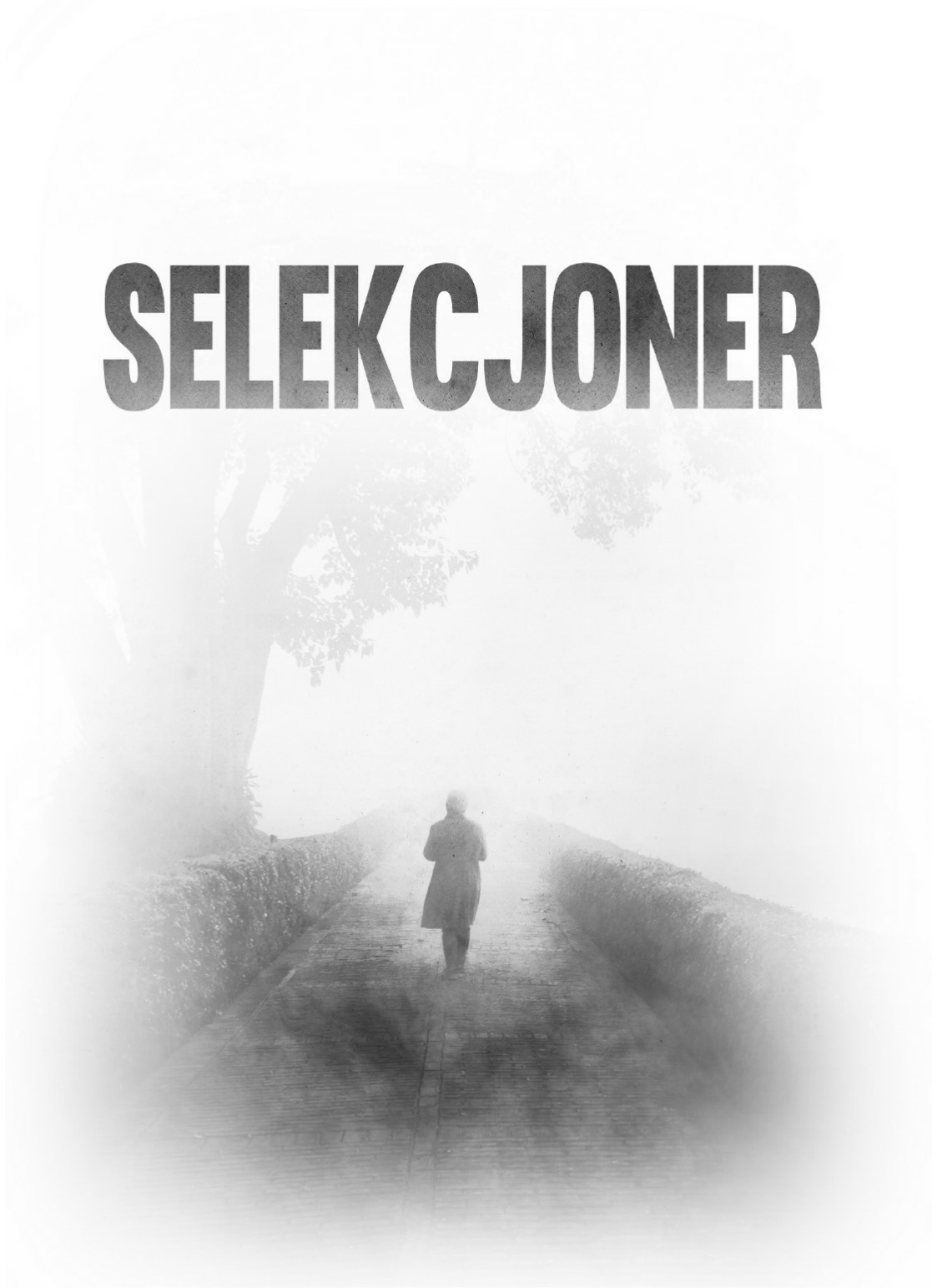
SELEKCJONER



NIE MA ZBRODNI
BEZ KARY...


Replika

SELEKCJONER



DORIAN ZAWADZKI

SELEKCJONER

Copyright © Dorian Zawadzki

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2019
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Marta Sobiecka

Korekta
Joanna Pawłowska

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2019

eISBN 978-83-66217-96-6

Wydawnictwo Replika
ul. Szarotkowa 134, 60-175 Poznań
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

*„Bóg stworzył człowieka, ponieważ rozczarował się małpą.
Z dalszych eksperymentów zrezygnował”.*
– Mark Twain

Założmy, że było tak...

Prolog

Nowy Jork – czerwiec 1876 roku

To był jeden z tych wieczorów, kiedy ludzka wyobraźnia już spała, otulona ciepłą wiosenną pościelą, i nikt nie przeczuwał zbliżającej się tragedii. Mężczyzna w koszuli z żabotem powiedział do żony zmywającej w kuchni naczynia, że pójdzie się przejść. Przed wyjściem na wieczorny spacer zajrzał jeszcze do pokoju syna, aby upewnić się, że malec smacznie śpi. Następnie włożył modny kapelusz z szerokim rondem, zabrał zapalki oraz ulubione cygaro, po czym opuścił swoje mieszkanie przy Piątej Alei.

Nazywał się Rudolf Fentz, a w chwili zaginięcia miał 29 lat.

Nowy Jork – 15 czerwca 1950 roku

Godz. 23:10

Przedstawienie dobiegło końca. Ze względu na późną porę widzowie w pośpiechu opuszczali teatr na Broadwayu. Na środku Times Square zobaczyli mężczyznę w wieku około 30 lat. Nikt nie zauważył jak się tam znalazł. Zupełnie, jakby wyrósł spod ziemi. Naraz rzucały się w oczy dwie rzeczy: jego staroświecki ubiór oraz zachowanie. Sprawiał wrażenie zupełnie dezorientowanego.

Zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć, rozległ się pisk hamulców nadjeżdżającej taksówki, a potem odgłos głuchego uderzenia.

Jeszcze tej samej nocy próg kostnicy przekroczył inspektor Hubert V. Rihm z Departamentu Osób Zaginionych. Sprawa nie była tyleż nagląca, co zadziwiająca. Inspektor Rihm uważnie obejrzał ciało ofiary wypadku i możemy się domyślać, że do towarzyszących mu urzędników oraz policjantów, którzy jako pierwsi znaleźli się na miejscu zdarzenia, rzucił uwagę w stylu: Czy gdzieś w okolicy odbywał się bal przebierańców?

Następnie przystąpił do oględzin przedmiotów znalezionych przy zwłokach:

- żeton z miedzi, pozwalający na zakup piwa o wartości 5 centów,
- jakieś 70 dolarów w banknotach, które już wyszły z obiegu,
- rachunek za pieczę nad koniem oraz mycie powozu wystawiony przez stajnię, która jakoby miała się mieścić przy Lexington Avenue,
- stosik wizytówek na nazwisko Rudolf Fentz i adresem na Piątej Alei,
- list wysłany na ten sam adres ze znaczkiem pocztowym i stemplem z czerwca 1876 roku.

Żadna z tych rzeczy nie wyglądała na pochodzącą z drugiej połowy XIX wieku. Sprawa była o tyleż zagadkowa, że nikt nie zgłosił zaginięcia Rudolfa Fentza, jego nazwisko nie widniało w książce adresowej, a odciski palców nigdy nie zostały zapisane.

Kolejnym krokiem dochodzenia było standardowe poszukiwanie rodziny zmarłego. Inspektor Rihm udał się pod wskazany adres, ale obecny właściciel mieszkania przy Piątej Alei nie znał nikogo o nazwisku Rudolf Fentz. Szczęście jednak mu dopisało, co prawda połowicznie, kiedy przepytował sąsiadów. Okazało się, że starsi mieszkańcy pamiętali Rudolfa Fentza Jr., mężczyznę około sześćdziesięcioletniego, który po przejściu na emeryturę wyprowadził się w nieznane miejsce, gdzieś w okolicy 1940 roku.

W trakcie dalszego żmudnego śledztwa inspektor Rihm odnalazł Rudolfa Fentza Jr., w książce telefonicznej z 1939 roku, niestety w pięć lat po jego śmierci. Taką informację otrzymał w banku, gdzie zmarły miał założone konto, ale dowiedział się również, że wdowa po nim wciąż żyła i obecnie mieszkała na Florydzie. Doskonale miejsce na emeryturę.

Po dotarciu do pani Fentz inspektor Rihm potwierdził wszystkie zebrane przez siebie fakty, którym aż do ostatniej chwili nie dawał wiary. Rudolf

Fentz rzeczywiście zaginął... w 1876 roku. Wyszedł z mieszkania w czerwcowy wieczór, zostawiając żonę oraz małego synka, i nigdy nie wrócił. Rodzina wówczas złożyła zawiadomienie na policji, ale poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

*

Dochodzenie inspektora Rihma znalazło kres w piwnicy budynku NYPD, gdzie znajdowało się archiwum. Wygrzebał dokumenty osób zaginionych w 1876 roku. Było wśród nich nazwisko Rudolf Fentz. Opis jego wyglądu, wiek i ubiór pasował do mężczyzny potrąconego przez taksówkę na Times Square. Sprawa wciąż była oznaczona jako nierozwiązana. I taka miała już pozostać.

Inspektor Rihm nie zanotował wyników swojego dochodzenia w oficjalnych aktach.

Nie zrobił tego w obawie, że mógłby zostać uznany za szaleńca.

CZEŚĆ 1

RZEŹNIK

Rozdział 1

Londyn – 11 maja 1985 roku

Godz. 19:15

Sezon 1984-1985 zapisał się w annałach The Football League jako najtragiczniejszy w historii. First Division uznaniem i frekwencją ustępowała zarówno włoskiej Serie A, jak i hiszpańskiej Primera Division; najlepsi zawodnicy wyjeżdżali za granicę, a chuligaństwo królowało na rozpadających się stadionach. 11 maja, nazwany później *Czarnym dniem angielskiej piłki nożnej*, przypadł na ostatni dzień sezonu ligowego; wskutek zaproszenia ognia spłonęła drewniana trybuna na stadionie Valley Parade, należącym do mistrzów trzeciej ligi Bradford City, pochłaniając 65 ofiar. Równolegle na stadionie St Andrew's, podczas drugoligowego meczu Birmingham City – Leeds United, chuligani, przewracając mur, doprowadzili do śmierci nastoletniego kibica.

Tego dnia na mogącym pomieścić 57 tysięcy kibiców stadionie Highbury wrzało jak w ulu. Arsenal zajmował miejsce w górnej części tabeli, ale mimo to zarówno na arenie krajowej, jak i międzynarodowej, nie walczył już o nic. Powód dobry jak każdy inny, żeby wszczać burdę.

Mężczyzna w czapce z daszkiem rzucającym cień na twarz i uniformie ochroniarza wybierał potencjalny cel; przyglądał się, analizował wygląd i mowę ciała, odrzucając kolejne kandydaty.

Ostatecznie się zdecydował. Spośród 12 tysięcy najwierniejszych kibiców czekających w kolejce przed wejściem na trybunę North Bank – wybrał

młoda, niewysoką, szczupłą kobietę w bluzie z kapturem i czapce z logo Arsenal F.C.

– Przepraszam panią. Może pani wyjść z kolejki? Mogę przeszukać pani kieszenie?

Kobieta postąpiła według instrukcji, ale spojrzenie, które mu przy tym posłała, było tak intensywne, jakby zamiast źrenic miała wciśnięte w oczodoły dwie szaro-czarne grudki węgla kopalnego.

– Dlaczego ja?

– Proszę podnieść ręce.

– Dlaczego ja? – powtórzyła, stojąc nieruchomo ze zwieszonymi ramionami i dłońmi zaciśniętymi w kieszeniach dzinsów.

– Proszę je podnieść – nalegał ochroniarz.

Kobieta przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, zanim wykonała polecenie.

– To nie będzie konieczne.

Ochroniarz pochylił się, uważnie oglądając okazaną legitymację policyjną. Odczytał imię i nazwisko, stopień oraz porównał zdjęcie z twarzą. Zaczerwienił się, jakby nagle znalazł się zbyt blisko ognia.

– Przepraszam...

– Dlaczego ja?

– To nic osobistego.

Policjantka schowała legitymację, nie odrywając od niego oczu. Czekwała na odpowiedź.

Ochroniarz znów analizował. Westchnął.

– Coś pani pokażę. – Ruchem głowy dał znak, żeby za nim poszła. – Największe kolejki zaczynają się na kwadrans przed rozpoczęciem meczu. – Zatrzymali się przy metalowej bramce, odgradzającej wejście na trybunę. – Widzi pani tego gościa za grupką nastolatków? Jak pani zdaniem wygląda?

Policjantka obróciła głowę, błyskawicznie namierzając cel.

– Zwyczajnie.

Ochroniarz przytaknął jej skinieniem.

– Zbyt zwyczajnie. Proszę się rozejrzeć. – Wskazał gestem na ściśniętą spiralę tłumy; kibiców w czerwono-białych barwach, roześmiane lalki

w krzykliwych makijażach, odzianych w skóry punków, wytatuowanych skinheadów i hałaśliwych wyrostków szukających guza. – O każdym można coś powiedzieć. Każdy chce się jakoś wyróżnić. Ten gość wygląda jak ktoś, kto nie chce zostać zauważony. Chce zwyczajnie zniknąć w tłumie. Kto nie chce zostać zauważony?

Policjantka drapieźnie zmrużyła oczy.

– Chyba zaczynam łapać.

Ochroniarz wszedł za bramkę.

– Przepraszam, ale muszę was przeszukać. Podnieście ręce. – Podchmieleni kibice zaczęli na przemian śmiać się i protestować, ale żaden nie stawiał oporu. – Dziękuję. Teraz pan.

Policjantka bacznie obserwowała posuwającą się z mozołem kolejkę. Jej oczy gorączkowo lśniły pod daszkiem czerwonej czapki. Całym centrum wszechświata stał się dla niej teraz wskazany mężczyzna. W grubych okularach i z mocno przerzedzonymi włosami, wyglądał na starszego, niż pewnie był w rzeczywistości. Miał na sobie spraną, zapinaną koszulę z podciągniętymi do łokci rękawami oraz znoszone sztruksowe spodnie. Wyglądał, jakby podniósł się z fotela przed telewizorem, ale zamiast przejść z salonu do kuchni, żeby zjeść kolację, nagle znalazł się w kolejce na stadionie Highbury.

Mężczyzna posuwał się dalej, noga za nogą.

Przeszukiwane lalki chichotały, udając łaskotki.

Rozejrzał się, jakby kogoś szukał.

Wysoki punk uniósł ramiona i poły kurtki jak rozpościerający skrzydła nietoperz.

Spojrzał na zegarek.

Zwalisty skinhead zatrzymał się przed bramką, przesłaniając sobą całe wejście.

Wyszedł z kolejki.

Ochroniarz skończył przeszukiwać „kibiców”.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała policjantka, nie odrywając wzroku od pleców oddalającego się mężczyzny.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Często tak masz wobec ludzi?

– Nie rozumiem, o co pani...

Spojrzała na niego.

– Szósty zmysł.

Wzruszył ramionami, jakby próbował zrzucić z nich brzemię.

– To mógł być zwykły gość.

– „Zwykły gość”, który wyszedł z kolejki, kiedy zaczęłaś przeszukiwać kibiców. – Jej słowa brzmiały twardo, jak obracające się koło zębate maszyny, która poszła w ruch.

Ochroniarz z zakłopotaniem zerknął przez ramię i przeszedł pod ścianę, jakby obawiał się, że ktoś ich może usłyszeć.

– Nie mówię o tym, bo wtedy ludzie dziwnie na mnie patrzą, a kiedy okazuje się, że miałem rację, to zaczynają się bać. – Zaciskał usta, jakby każde wypowiedziane słowo sprawiało mu ból. – Czasami... wiem, że coś się ma wydarzyć. Tak, jakbym się cofnął w czasie.

Policjantka wciąż na niego patrzyła, ale inaczej niż inni. W jej oczach nie widział z wątpienia czy strachu.

– Coś złego? – szepnęła.

– Tak – odparł, czując ulgę, jakby spadł z niego wielki ciężar. Na jego smukłej, pokrytej przedwczesnymi zmarszczkami twarzy pojawił się smutny uśmiech, a niespotykane jasne oczy zapłonęły wewnętrznym blaskiem.

Oboje powiedli wzrokiem za znikającym w tłumie mężczyzną.

– Nie odpowiedziałeś mi na pierwsze pytanie – nalegała policjantka.

Ochroniarz pokręcił głową.

– Nie umiem tego wyjaśnić. To przecucie. Miałem je, kiedy panią zobaczyłem.

Daszek jej czapki niemal niedostrzegalnie drgnął, kiedy mu w myślach przytaknęła. Obciągnęła bluzę, założyła na głowę kaptur i ruszyła w stronę bramy stadionu.

– Proszę pani!

Obejrzała się przez ramię, ale nie zatrzymała.

Ochroniarz uniósł rękę, jakby chciał się pożegnać.

– Proszę na siebie uważać.

*

Podróż z Highbury do Greenwich stanowiła mieszankę zaskoczenia z wątpliwościami, jak podczas zjawiska *déjà vu*. Przez połowę drogi z północnego Londynu policjantka była przekonana, iż wie, co robi; podąża tropem obcego mężczyzny, gdyż ma wobec niego uzasadnione podejrzenia. Kontroluje przebieg tego meczu.

Wątpliwości dopadły ją na promie, kiedy przeprowiała się na drugi brzeg Tamizy. W oddali widziała port handlowy w Woolwich. To była jej dzielnica. Zapewne dwie godziny później też wsiadłaby na prom, ale wtedy wracałaby do domu, a nie śledziła obcego mężczyznę, który wyglądał całkiem zwyczajnie.

„Zbyt zwyczajnie”, powtórzył w jej głowie ochroniarz ze stadionu.

„To mógł być zwykły gość”, odpowiedziała sobie.

Wychyłona przez poręcz nerwowo paliła papierosa, obserwując poprzez tłum siedzącego na ławce mężczyznę. Czytał gazetę. Sprawiał takie zwyczajne wrażenie.

„Zwykły gość, który wyszedł z kolejki, kiedy zacząłeś przeszukiwać kibiców”, znów odbywała ze sobą tę rozmowę i wiedziała, dokąd ją to zaprowadzi.

„Tak, jakbym się cofnął w czasie”, podpowiedział ochroniarz.

„Paranoja”, pomyślała, poddając się wątpliwościom. Wystarczy tylko poczekać, aż prom dobije do brzegu, przejść na piechotę kilka ulic, wejść do domu, napić się zimnego piwa i o wszystkim zapomnieć.

Zmrużyła oczy, odczytując nagłówek Daily Mirror: *Rzeźnik z Greenwich wciąż na wolności!*

Sprawa z pierwszych stron gazet przyprawiająca o bezsenność prowadzących śledztwo; trzy ataki, trzy ofiary, żadnych świadków. O udziale w tym dochodzeniu marzył każdy młody śledczy z doktoratem z kryminologii, ubiegający się o awans na inspektora.

Mężczyzna opuścił gazetę, podniósł okulary na czoło i spojrzał przed siebie. Oczy miał czarne jak otchłań studni; policjantka nie pomyślałaby

o tym w ten sposób, gdyby dziś nie patrzyła w ich całkowite przeciwieństwo.
Wolno obróciła głowę i wbiła pusty wzrok w ciemną taflę rzeki.
Prom dobił do brzegu. Mężczyzna zniknął z ławki. Gazeta została.
Policjantka wyrzuciła papierosa i odepchnęła się od barierki.
„Proszę na siebie uważać”.

*

Kwadrans później i po dwóch przesiadkach policjantka znalazła się gdzieś w dzielnicy East Wickham, kilka przystanków na południowy-zachód od Woolwich. To mogło być jeszcze Greenwich, ale równie dobrze już Bexley. Policjantka stała w cieniu rozłożystego dębu. Po obejściu całej okolicy uznała to miejsce za najlepszy punkt obserwacyjny. Na końcu osiedlowej uliczki znajdowała się ogrodzona posesja, bezpośrednio przylegająca do cmentarza, nad którą górował, niczym pomnik, stary drewniany dom. Zapewne postawiony jako jeden z pierwszych w dzielnicy, bo na tle kolorowych szeregowców i bliźniaków, otoczonych gęstymi trawnikami i przystrzyżonymi żywopłotami, wyglądał jak zapomniany ubogi krewny.

Na teren posesji można się było dostać na trzy sposoby; od południa, przeskakując niewysoką stalową bramę, ryzykując, że zostanie się zauważonym. Przedostając się przez ogrodzenie od strony któregoś z sąsiadów, uprzednio przemykając pod rozjaśnionymi oknami i narażając się na spotkanie z psem domowników. Albo od północy, tam gdzie znajdował się wysadzany dębami, pograżony w mglistej szarości cmentarz.

Policjantka zdjęła czapkę, odsłaniając związane w kitkę kasztanowe włosy, i wepchnęła ją do tylnej kieszeni dżinsów, a na głowę naciągnęła kaptur. Poczekała, aż stara zgarbiona kobieta wstanie z kolan i zapali świeczkę na jednym z grobów, po czym się oddali, rozpływając we mgle.

W oddali rozbrzmiały dzwony kościelne. Na gałęzi zaskrzeczał kruk. W oknie na piętrze błysnęło światło. Policjantka położyła dłonie na zimnym wilgotnym murze z kamienia, przerzuciła nogi na drugą stronę i zniknęła w pobliskich zaroślach.

Księżyc wychylił się zza chmur, oświetlając zapuszczone podwórze.

Pomiędzy werandą a zapadającą się szopą wisiał rozciągnięty sznur z praniem. Obluzowana rynna skrzypiała od najlżejszego powiewu wiatru. Policjantka przedarła się na czworakach przez gęste chaszczce, drapiąc się w twarz i dłonie. Pochylona podbiegła do werandy. Schody zachręściły pod jej ciężarem jak suche liście. Sprawdziła drzwi frontowe. Zamknięte. Wychyliła się, spoglądając w okno na piętrze. W żółtym prostokącie światła prześlizgnął się długi cień. Zeskoczyła z werandy i trzymając się blisko ściany, ruszyła na tyły domu.

Usypana sterta rzeczy, których właściciele już nie chcieli, a zarazem nie potrafili się z nimi rozstać, sięgała niemal piętra. Dały się rozpoznać tylko niektóre: zardzewiała pralka wirnikowa, rozpruta kanapa, kineskop telewizora lampowego, wyglądający jak wydłubane oko. Policjantka sprawdziła tylne drzwi. Otwarte. Weszła do środka, znikając w trzewiach domu.

Kuchnia. Zdarta wykładzina z linoleum. Na środku stół z ceratą zastawiony przyprawami, koszami z nadgniętymi owocami i nieumytymi warzywami. Dalej żeliwny zlew pokryty zaciekami. Kredens z zardzewiałą suszarką do naczyń. Piec kuchenny z brakującymi kafelkami, jak niedokończona układanka. W rogu drewniana lodówka na wkład lodowy. Na ścianach wisiały niedomknięte szafki. Policjantka wolno okrążyła stół i przeszła do kolejnego pomieszczenia.

Salon. Dywan o geometrycznym wzorze. Rozkładany stół. Dosunięte krzesła z półokrągłymi oparciami. Czarno-biały telewizor na nóżkach z anteną jak ślimacze czułki. Przed nim dwa niskie fotele z wytartymi podłokietnikami, pomiędzy nimi ława z odciskami po gorących kubkach i szklankach. Dalej zapadnięta wersalka. Usychająca paprotka pod ścianą oklejoną kwiecistą tapetą. Policjantka podeszła do stołu i zmrużyła oczy; listy, rachunki, formularze podatkowe.

Drgnęła, upuszczając kopertę z imieniem i nazwiskiem adresata.

Ciszę rozdarł donośny odgłos, jakby dom nagle ożył i wydał z drżących ścian tubalny śmiech.

Policjantka rozejrzała się szybko dookoła; przedsionek prowadzący na werandę, drzwi do kuchni i kolejne zapewne do piwnicy, a także schody na

górze. Nikogo nie zauważyła. Odetchnęła, zdając sobie sprawę, że to, co słyszała, to tylko szum wody w rurach. I że powinna poprzestać na włamaniu i wyjść stąd, zanim ktoś ją zauważy, ratując w ten sposób swoją karierę.

Podniosła wzrok, spoglądając na mosiężny żyrandol. Hałas dochodził z piętra; lejąca się woda, skrzypiące zawiasy, czyjeś kroki. Przesunęła wzrokiem po suficie. Trzasnęły drzwi. Podeszła do schodów. Położyła dłoń na gałce balustrady i wyrzała na piętro. Najniższy stopień zachrobotał pod jej stopą jak złamana kość. Zacisnęła zęby.

W koliste okno witrażowe na półpiętrze uderzyły pierwsze krople deszczu, tłumiąc wszelkie odgłosy wewnątrz domu. Policjantka wspinała się, trzymając blisko ściany obwieszanej czarno-białymi zdjęciami w alabastrowych ramkach; brodaty mężczyzna we fraku, kobieta z surową miną, uśmiechnięty chłopiec w spodenkach, cała trójka przed domem, starsza już kobieta w żałobnej sukni i młodzieniec z bukietem kwiatów.

Weszła na piętro. Żarówki w przydymionych kloszach dawały nikłe światło, ale na końcu korytarza jaśniał żółty kwadrat w oknie drzwi od łazienki. Ruszyła w przeciwnym kierunku. Stąpała ostrożnie po rozchodzących się panelach, zaglądając do wszystkich pomieszczeń; sypialnia, ubikacja. Zawróciła.

Schody na strych. Pomieszczenia po obu stronach łazienki. Pierwszym z nich okazał się pokój urządony w jasnych barwach, z mocnymi akcentami w postaci dodatków. W drugim urządzone spiżarnię. Na regałach stały skrzynki, kosze oraz kamionki pełne owoców i warzyw. Pod sufitem wisiało wędzone mięso. Policjantka już chciała wyjść, kiedy księżycowa poświata wpadła przez małe okno i rozświetliła zawartość szafki na ścianie. W słoikach znajdowały się zakonserwowane ogórki, wysuszone grzyby oraz konfitury.

Wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła zawartość ostatnich trzech. Spojrzała w przydymione okno łazienki, w której wciąż lała się woda. Wycofała się do pokoju naprzeciwko spiżarni. Oparła się plecami o drzwi i sięgnęła pod bluzę. Wyciągnęła z umocowanej pod pachą kabury broń; Walther P5, 9mm, z ośmioma nabojami w magazynku. Sprawdziła wskaźnik obecności pocisku w lufie i zwolniła zamek.

Mgła domysłów i wątpliwości opadła, odsłaniając fakty wyryte jak na kamiennej tablicy. Zabójca nazwany przez brukowce *Rzeźnikiem z Greenwich* pierwszy raz uderzył w marcu tego roku, w pobliżu uniwersytetu; ofiarą była studentka wracająca samotnie z prywatki. Drugi raz zaatakował w kwietniu, nieopodal Królewskiego Obserwatorium Astronomicznego; tym razem zasadził się na pracującą tam sprzątaczkę, matkę dwójki dzieci. Trzecią ofiarę dopadł tydzień temu w Charlton Park; amatorka joggingu. Wszystkie ofiary ogłuszono, uderzając w głowę tępym narzędziem, rozpruto klatki piersiowe i wyrwano wciąż jeszcze ciepły organ. Żadnych świadków. Zabójca pojawiał się i znikał, jakby był duchem.

Policjantka zamrugła oczami. Rozglądała się po pokoju w poszukiwaniu telefonu. Na wprost obłożony boazerią filar, podpierający strych. Dalej biurko z blatem z grubego szkła. Pod nim wycięty z atlasu samochodowego plan miasta. Obok komoda. Na niej otwarty gramofon z płytą *Double Fantasy* Johna Lennona. Po drugiej stronie pokoju szafka nocna, lampka z abażurem oraz łóżko z wysokim wezgłowiem. Pod sprężynowym materacem zeszyt. W środku wycinki z gazet, wszystkie na jeden temat, a także zdjęcia ofiar „przed” i „po”. W głębi, we wnęce ściany, zabudowana szafa i uchylone drzwi. Za nimi kolejne pomieszczenie.

Ciemnia fotograficzna. Lampa rzucająca na stół czerwony strumień światła. Na nim powiększalnik, kuweta, maskownica, suszarka fotograficzna, zegar ciemniowy, a także zestaw chemikaliów oraz klasyczny aparat kompaktowy radzieckiej produkcji.

Policjantka kątem oka dostrzegła pod ścianą ruch. Obróciła się, błyskawicznie namierzając cel. Odruchowo ugięła łokcie, żeby zmniejszyć odrzut lufy i zacisnęła palec na spuście.

Omal nie strzeliła.

Wzdłuż ściany sunął długi na jakieś trzy metry, szary wąż. Zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Podpełzł do wyjścia. Policjantka stała nieruchomo z wyciągniętą przed siebie bronią, dopóki przebiegające nieregularnie wzdłuż ciała, otoczone białą obwódką czarne pasy nie zlały się na ogonie, znikającego jej z oczu gada. Przesunęła dłonią po twarzy, jakby chciała wymazać ze świadomości makabryczny obraz. Jeszcze raz obrzuciła

wzrokiem pomieszczenie, chcąc się upewnić, że nie czekają na nią inne niespodzianki. Z bronią trzymaną w prawidłowym dwuręcznym uchwycie, mierząc w podłogę, wyszła z ciemni. Zatrzymała się na wysokości szafy, czekając, aż jej wzrok znowu przywyknie do ciemności.

Przejęta obecnością grasującego na wolności węża, nie zauważyła, że za jej plecami rozchylają się drzwi szafy.

– To Billy.

Obróciła się, ale zanim zdążyła namierzyć cel, metalowa pałka spadła na jej dłoń, uderzając w kość u nasady kciuka. Zawyla z bólu, upuszczając pistolet.

– Mój jedyny przyjaciel.

Drugi cios otrzymała w lewe kolano. Osunęła się na podłogę, krzycząc na całe gardło.

Mężczyzna podniósł z podłogi pistolet, obejrzał go, a potem przyjrzał się wijącej się z bólu kobiecie. Do paska przy biodrze miała przymocowaną kaburę z kajdankami.

– Jesteś gliną? – zapytał spokojnie.

Zaczekał na odpowiedź, a kiedy jej nie dostał, zamachnął się pałką.

Policjantka instynktownie uniosła ręce, zasłaniając głowę. Kopniak w brzuch wyrzucił ją na środek pokoju, odbierając dech.

Rozległo się kliknięcie. Półmrok rozjaśniło światło nocnej lampki.

Cień mężczyzny przesunął się wzdłuż ściany.

– Jak tu trafiłaś? – dociekał niewzruszonym głosem.

Wysunął szufladę komody i zmarszczył czoło, oglądając jej zawartość. Zerknął na policjantkę. Po namyśle odłożył pistolet do środka i zasunął szufladę.

Wzdrygnęła się jak zaszczute zwierzę, widząc, że znów do niej podchodzi.

– Za dwie minuty zaroi się tu od policjantów. – Chrząknęła. – Nie masz żadnych szans.

Skręcił, podchodząc do okna.

– Dzisiejsza policja stosuje dość niekonwencjonalne metody... – Nasłuchiwał. – Albo kłamiesz.

Spróbowała się podnieść, ale przeszywający ból w kolanie zwałił ją z powrotem na podłogę.

Mężczyzna odwrócił się od okna.

– Skłaniałbym się ku temu drugiemu.

Kopnął policjantkę w plecy.

Jęknęła, przetaczając się na brzuch.

– Rozbieraj się.

– Pierdol się!

Spięła mięśnie, spodziewając się kolejnego uderzenia.

– Mam ci pomóc?

Mężczyzna chwycił ją za kaptur i kilkoma brutalnymi szarpnięciami ściągnął jej bluzę przez głowę. Policjantka podniosła się na łokciach, próbując w akcie desperacji doczołgać się do drzwi. Została chwycona za potłuczoną nogę i zaciągnięta pod filar. Mężczyzna złapał ją za włosy i zmusił, żeby się podniosła. Policjantka wrzeszczała jak oszalała. Oburącz chwyciła go za owłosiony przegub. Przycisnął jej twarz do filara, a ręką, którą trzymał pałkę, wyciągnął z kabury kajdanki.

– Przykuj się albo połamię ci kręgosłup. – Nie groził, tylko stwierdzał fakt.

Usłuchała. Objęła ramionami filar i jeden po drugim skuła sobie nadgarstki metalowymi obręczami.

Mężczyzna sprawdził. Pociągnął za łańcuch.

Policjantka syknęła. Metal wbił się w skórę.

Mężczyzna pokiwał głową usatysfakcjonowany i odłożył pałkę na komodę. Filar był kanciasty i szeroki. Policjantka miała tylko tyle luzu, żeby móc obrócić głowę. Mimo iż była skuta, szarpnęła się nerwowo, kiedy mężczyzna znów wysunął szufladę. Stał do niej odwrócony plecami. Nie mogła zobaczyć, co wyjął, a kiedy już to zrobił, ukrył przedmiot, przyciskając rękę do uda.

Obszedł filar i stanął za plecami policjantki. Pociągnął za kitkę związanych włosów, odchylając jej głowę do tyłu.

– Wiedziałem, że przyjdiesz. Zdradziło cię bicie twojego serca. Biło głośno jak dzwon. Wzywając moje imię – wyszeptał, przyciskając jej do gardła ząbkowane ostrze noża.

– Nie znam twojego imienia – wychrypiała, czując, jak oblewa ją zimny pot.

– Wkrótce je poznasz, a ja poznam twoje.

CZEŚĆ 2

FAITH

Rozdział 2

Londyn – 11 lipca 1985 roku

Godz. 21:37

Panorama miasta lśniła w promieniach zachodzącego słońca, a nad drapaczami chmur rozciągała się gwieździsta kopuła nieba, tworząc majestatyczny kontrast bursztynu i kobaltu. Po drugiej stronie rzeki łąny trawy wciąż ociekały kroplami popołudniowego deszczu. Z lasu wyszła żerująca sarna. Zwierzę zastygło w miejscu, stając na ugiętych nogach, jakby wyczuło zagrożenie. Powietrze zadrzało nad polaną, barwy stały się ostrzejsze, skumulowały się w snop jaskrawego światła i odcisnęły na skraju zagajnika.

Ciemnobrązowa sierść sarny zatrzęsała się jak jesienny liść.

Kobieta leżała pośród łąnów trawy, nieruchomo, choć jej ciało – ze zgiętymi kończynami – przypominało sprintera uwiecznionego na starej fotografii. Powiew wiatru musnął pocałunkiem rumiany policzek. Skrzydełka nosa rozchyliły się i otworzyła oczy. Obróciła głowę; gwiazdy odbiły się w jej źrenicach. Odepchnęła się łokciami, podciągnęła nogi i usiadła. Rozejrzała się dookoła; las, rzeka, a na jej drugim brzegu miasto. Czuła się błogo, zdezorientowana oraz naga. W chwili, w której te kwestie zalały jej umysł, automatycznie otworzyły się też grodzie prowadzące do ich rozwiązania. Podniosła się, odprowadziła wzrokiem spłoszoną sarnę do lasu, po czym ruszyła polaną w kierunku rzeki, udając się we własną drogę.

Wiedziała, że ma na imię Faith. I że musi podążać za swoim wewnętrznym

głosem.

*

Gwiazdy migotały na kobaltowym niebie, ale w oknach na najwyższym piętrze wieżowca zbudowanego ze stali i szkła wciąż odbijał się bursztynowy zachód słońca. Apartament został urządzony w stylu, który dekorator wnętrz określił jako „szykowny minimalizm”, mający w założeniu uzewnętrznić osobowość gospodarza. Składały się na niego zharmonizowane barwy bieli i czerni; hebanowa posadzka w zestawieniu ze śnieżnymi ścianami podkreślała nietuzinkowy, aczkolwiek oparty na filarach skrajności charakter. Puchaty dywan dawał ukojenie, a rattanowe meble pozwalały docenić prostotę dnia codziennego. Całość dopełniały repliki obrazów uznanych malarzy, powielające motyw kobiet, które swym wykonaniem nie forsowały wyobraźni strudzonego umysłu.

– Milion funtów – wyszeptał Alex Nipar, stając przed klasycznym prostokątnym lustrem, uświetniającym całą jego postać. – Alex, mój przyjacielu, wyglądasz jak milion funtów.

Palec gosposi, zgodnie z harmonizującą z okolicznościami porą, uruchomił pstryknięciem wierzę audio, a z głośników rozbrzmiał Phil Collins – *Sussudio*.

Alex Nipar wygładził poły czarnego garnituru, poprawił kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli i uśmiechnął się do swojego bliźniaka w lustrze. Pantofle lśniły jak bożonarodzeniowa choinka, wyprasowane w kant spodnie leżały jak ulał, wiśniowy krawat równo zwisał, siwe włosy błyszcząły, a opaska na oku podkreślała sznyt.

– Hej, Helen! Jak wyglądam?

Gosposia podłączyła wtyczkę kabla od odkurzacza do kontaktu, nie oglądając się przez ramię.

– Jak milion funtów, panie Nipar!

Alex obrócił głowę, prezentując swój lepszy profil.

– Masz świetny gust, Helen! – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Naprawdę świetny.

Usatysfakcjonowany odpowiedzią harmonizującą z jego własnym wyobrażeniem wyszedł z salonu.

Zatrzymał się w pół drogi do windy, słysząc przeraźliwy krzyk kobiety. Zawrócił korytarzem. Wybrał ostatnie drzwi po lewej. Pchnął je na oścież i wszedł do pokoju.

– Co porabiasz, Tyler?

Mężczyzna ćwiczący na karimacie nie zareagował. Dokończył serię nożyc i wyprostował się, podnosząc z podłogi hantle. Miał na sobie tylko bokserki, a także maskę z lodu, zasłaniającą górną część twarzy.

– Niech pomyślę... – Spojrzał na swój spocony tors i umięśnione ramiona.
– Jeżdżę na nartach.

Na twarzy Alexa zajaśniał wymuszony uśmiech.

– No tak. Ty zawsze robisz coś ciekawego. – Rozejrzał się po pokoju. – Jak twoim zdaniem wyglądam?

Tym razem Tyler nie potrzebował czasu do namysłu.

– Jak jednooki, napalony ćwok po pięćdziesiątce, Alex.

W pokoju zapanowała cisza. Słyszać było szum pojazdów czterdzieści pięter niżej.

Alex podszedł bliżej. Wyciągnął szyję jak żółw, tak że twarze obu mężczyzn dzieliło tylko kilka centymetrów. Tyler miał atramentowe oczy swojej matki i tak jak ona posiadał zjawiskowe ciało. Ponadto był nad wyraz inteligentny, a także bezczelny, gwałtowny oraz silnie zaburzony. „Wyjątkowo niefortunne połączenie”, skostatował Alex.

– Tyle razy prosiłem, żebyś mówił do mnie: tato.

Tyler nie odpowiedział, tylko odwrócił się do Alexa plecami. Tak jak przed laty robiła to jego matka; co w wewnętrznym języku Niparów stanowiło bolesny afront, informujący o wykluczeniu.

Alex przyglądał się, jak jego syn ćwiczy z hantlami, i zastanawiał się, gdzie się podział ten chorowity, wychudzony chłopiec, nieprzyjmujący do wiadomości, że duchy nie istnieją. Zdawało się, że mieszkał tu jeszcze wczoraj.

– Hej, dziś jest wyjątkowy dzień! – Klasnął w dłonie. – Wiesz jaki?

Tyler wciąż milczał.

– Dzień, w którym poznałem twoją matkę.

Przerwał trening, obrócił głowę i spojrzał na ojca spod maski.

– Mama nie żyje... tato.

– No tak.

Syn wrócił do ćwiczeń, a ojciec zatrzymał wzrok na drżącym ekranie telewizora. Wyświetlacz magnetowidu żarzył się złotymi literami: PAUSE. Na urządzeniu leżał pokrowiec od kasety VHS. Alex nie musiał brać go do ręki, bo po zatrzymanym kadrze rozpoznał film: *Psychoza* Alfreda Hitchcocka. Scena, w której Lila Crane, grana przez Verę Miles, zeszła do piwnicy Normana Batesa i odkryła przerażającą prawdę. Pilot leżał na karimacie u stóp Tylera, gotów przewijać i odtwarzać wybraną scenę w nieskończoność.

Alex spojrzał na syna, który obciążony hantlami unosił ramiona jak sztykający się do dziewiczego lotu ptak.

– Tylko się nie przeforsuj. – Wyglądził poły garnitur i ruszył do wyjścia. Po drodze zdał sobie sprawę, że być może coś zgubił. Niewielki, ale być może ważny fragment swojego życia. Pierwszy raz postawił sobie pytanie, na które zawsze brakowało mu czasu: czy gdyby więcej bywał w domu i zaglądał do tego pokoju, to Tyler wyrósłby na innego człowieka?

„Być może”, odpowiedział sobie. „A być może nie”, odpowiedział ten drugi Alex. Obaj jednak doszli do tego samego wniosku: kto wie? Ale przecież tak jak nie ma duchów, nie ma też idealnych ojców, prawda?

– I nie oglądaj za dużo telewizji! – przestrzegł. – To szkodzi – dodał, kiedy był już za drzwiami.

Czterdzieści pięter niżej Alex odzyskał humor. Wszedł z wieżowca postawionego nad północnym brzegiem Tamizy w Chelsea i rozejrzał się za swoimi sąsiadami. Stanowili zamknięte dla przeciętnych śmiertelników grono uznanych filmowców, kompozytorów, pisarzy, sportowców oraz polityków. Tych ostatnich lubił najbardziej, bo chociaż dobrze wiedzieli, jaka jest jego druga natura i czym się zajmuje, wychodząc z domu, to jednak nie przeszkadzało im to kłaniać mu się i odpowiadać na powitania.

W wejściu minął go jakiś piłkarz. Nie przywitani się, bo tamten był zbyt pochłonięty rozmiarami dekoltu jakiejś drugoligowej aktorki, którą zapewne

poderwał na wyprzedzący w Harrodsie.

Alex doskonale go rozumiał i tym wylewniej powitał swój personel, stanowiący zaufaną straż przyboczną.

– Chłopaki!

– Szefie, wyglądasz jak milion funtów – powiedział Tom-Tom; dwumetrowy, zwałisty, łysy typ.

Alex zniechęca wyciągnął dłoń z kieszeni, celując palcem w ulubionego ochroniarza.

– Ty to masz gust, Tom-Tom.

Przeniósł wzrok, a także palec, na czarnowłosego tarzana mogącego urodą i umięśnioną sylwetką konkurować z jego własnym synem, gdyby tylko posiadał własny rozum.

– Sonny?

– Milion, szefie – powtórzył szofer. – I ani funta mniej.

Harmonia ducha współgrała z ciałem.

– A ty co myślisz, Georgie?

Cherlawy pokurcz, stanowiący maskotkę drużyny, jak zwykle musiał się zastanowić, zanim coś powiedział. Wyprostował zgarbione ramiona, mrugnął wiecznie ospałymi oczami i przechylił głowę, jak kura, zanim chwyci dziobem ziarno.

– Dobrze pan wygląda, panie Nipar.

Alex podszedł do niego i wysunął szyję, patrząc mu prosto w oczy. Szkopuł z Georgiem polegał na tym, że nie posiadał gabarytów wzbudzających postrach ani zdolności szybkiego prowadzenia samochodu, mogących uratować życie. Posiadał jednak inną, wielce cenioną zdolność, którą przewyższał swoich kolegów. Mianowicie posiadał rozum. Był niedocenionym przez szare społeczeństwo intelektualistą, który niezapytany nie odzywał się, ale gdy już robił wyjątki, to tylko wtedy, kiedy naprawdę miał coś do powiedzenia.

– Ty to masz łeb, Georgie – skonstatował Alex. – Szkoda by było, gdybym kiedyś musiał ci go obciąć.

Tom-Tom ryknął śmiechem, a po chwili przyłączył się do niego Sonny.

Roześmiał się też Alex, klepiąc Georgiego po policzku.

- Jedziemy, chłopaki! – Gestem zagonił swoją straż do limuzyny Lincoln.
- Kobiety nie lubią czekać – dodał, kiedy już wszedł na tylne siedzenie.

Rozdział 3

Londyn – 11 lipca 1985 roku

Godz. 21:52

Słońce już zaszło, ale jego poświata ciągnęła się bursztynową wstęgą wzdłuż horyzontu, odcinając od gwieździstego kobaltowego sklepienia. Faith szła wzdłuż rzeki, kierując się na północny-zachód, bezszelestnie stąpając w wysokich wrzosach jak majacząca blada zjawa na tle mglistego brzegu. Im dalej, tym lasy i łąki kurczyły się, a w ich miejscu wyrastały geometryczne kształty domów. Podniosła się mgła. Faith dostrzegła wyłaniające się z mlecznej pomroki cienie. Drzewa i krzewy, niektóre wysokie na cztery metry, zostały fantazyjnie przyszczyżone. Otaczały ją zewsząd, okazałe i milczące, jak posągi starożytnych bóstw oraz strzegących ich wojowników.

W ogrodzie rozległo się szczekanie psa.

Zatrzymała się, kiedy zza jałowca – uformowanego na szachowego skoczka – wyszedł potężny dog niemiecki. Pies był wysoki na ponad metr w kłębie, czarne umaszczenie lśniło w świetle księżyca, pokrywając główną partię tułowia jak wilgotny płaszcz. Białe znaczenia zdobiły kończyny, brzuch, klatkę piersiową, szyję, a także kufę, sprawiając wrażenie, jakby zwierzę nosiło upiorną maskę.

Faith i pies stali nieruchomo, przyglądając się sobie.

Przechyliła głowę.

Pies zrobił to samo.

Pochyliła się, wyciągając rękę.

Pies warknął, prężąc mięśnie.

Osunęła się na kolano.

Zwierzę powściągliwie podeszło bliżej.

Czekała cierpliwie, aż szeroki mokry nos dotknie wierzchu jej dłoni. Pozwoliła psu się okrążyć i dalej obwąchiwać, a kiedy wetknął jej pysk w zagłębienie łączące bark z szyją, objęła go i podrapała za oklapniętym uchem. Odchyliła głowę, gdy zwierzę w drodze rewanzu wylewnie polizało ją w policzek.

– Ty też jesteś sam – szepnęła.

Na skórzanej obroży wisiał złoty romb z wygrawerowanym imieniem: *ASTRO*.

Faith wyprostowała się, obeszła jałowiec i zmierzyła wzrokiem spowity gęstą mgłą neogotycki dom. Wzniesiony z kamienia XVIII-wieczny budynek został ozdobiony wieżyczkami, blankami, łukowatymi oknami, maswerkami i witrażami. Wszystkie okna były zaciemnione, a jedno na piętrze uchylone.

Poklepała psa po łbie i podeszła do stojącego pod ścianą domu trejażu, niemal w całości przesłoniętego pnączami bluszczu. Wspięła się na metalowe ogrodzenie i oparła stopy na poprzeczce. Wyciągnęła się wzdłuż ściany, chwyciła krawędzi blendy i zawisała na wysokości pierwszego piętra. Następnie ostrożnie zaczęła się przesuwac w stronę uchylonego okna.

Pies zaskomlał, obserwując jej poczynania.

Faith zatrzymała się, wymieniła spojrzenie z przycupniętym na krawędzi dachu gargulcem, wbiła palce w gzyms, podciągnęła się i oparła stopy na parapecie, naśladowując fantastycznego stwora.

Zanim wślizgnęła się do środka, rozejrzała się po pogrążonym w półmroku wnętrzu. Postawiła stopy na brunatnej niedźwiedziej skórze, oparła dłoń na skórzanym fotelu i obeszła hebanowe biurko. Ściany zdobiły trofea myśliwskie w postaci głów rogaczy, a także obrazy przedstawiające sceny z polowań. Wyszła z gabinetu.

Obok znajdowała się biblioteka. Półki były dopasowane od podłogi do sufitu. Zbiory książek i albumów zostały oprawione w jednakową skórę z wytłoczonym tytułem na grzbiecie. Na stoliku leżał rozłożony egzemplarz, zostawiony najwyraźniej przez kogoś z domowników. Faith się zbliżyła,

a lekki ruch powietrza przerzucił kartki: *Raj Utracony* – John Milton.

Ostatnie pomieszczenie w skrzydle domu mieściło się w wieżycze. Sypialnia była wysoka; krokwie, wiatrownicę i belki stropowe pomalowano na burgund, ściany wyklejono błękitną tapetą, a na podłodze rozwinięto biały dywan z długim włosiem. Centralne miejsce zajmowało łóżko z baldachimem oraz wysokim wezłowiem. Przy oknie stała toaletka z okrągłym lustrem. Po drugiej stronie znajdowała się dębowa rozsuwana szafa, a dalej drzwi prowadzące do przylegającego pomieszczenia.

Faith weszła do alkowy przerobionej na łazienkę. Zapaliła światło i stanęła przed lustrem. Różowa skóra opinała szczupłą sylwetkę, subtelnie wyrzeźbione mięśnie wyglądały jak odlane z formy, a na małych piersiach sterczały brązowe sutki.

Przechyliła głowę.

Kobieta w lustrze zrobiła to samo.

Przyłożyła dłoń do chłodnej, płaskiej powierzchni.

Nieznajoma wykonała identyczny gest.

Nachyliła się, patrząc w duże granatowe oczy. Młoda kobieta miała smukłą twarz; mocno zarysowane kości policzkowe, prosty, lekko zadarty nos, wystający podbródek z dołeczkiem, szeroką szczękę z zaznaczonymi kątami oraz pełne usta z głębokim łukiem kupidyna i cieńszymi kącikami. Przesunęła dłonią po głowie, mierzwiąc palcami krótkie, czarne, stojące do góry włosy. Wzruszyła półkolistymi brwiami i rozchyliła wargi w uśmiechu.

Otworzyła szafkę. Z szerokiego zestawu buteleczek i słoiczków wybrała szampon oraz żel. Spojrzała na kolistą wannę, zanim zdecydowała się na kabinę prysznicową. Weszła do brodzika i odkręciła kurek. Z dyszy bluznęła gorąca woda. Zakręciła czerwony kurek, jednocześnie odkręcając do końca niebieski.

Zamknęła oczy i westchnęła, odchylając głowę.

W sypialni rozbłysło światło. Żółty snop reflektorów wpadł przez okno i przesunął się wzdłuż ściany.

Faith sięgnęła po żel do ciała. Obracając się, metodycznie szorowała skórę.

Na parterze rozległ się zgrzyt przekręcanego zamka. W holu rozbrzmiały głosy:

– Zróbmy to tu, w salonie – zaproponował mężczyzna.

– Edward... muszę zmyć makijaż – odparła kobieta.

Piętro wyżej Faith stanęła plecami do pulsującego strumienia, nakładając szampon do włosów.

– *Makbet* zawsze tak na mnie działa. Sprawia, że wychodzi ze mnie zwierzę – nalegał mężczyzna.

– Wszystko tak na ciebie działa – zachichotała kobieta. – Nalej mi martini – dodała, wchodząc po schodach.

W łazience Faith stała w lekkim rozkroku z pochyloną głową, opierając się dłońmi o chłodną glazurę. Lodowaty strumień wody masował jej kark, a puszysta piana spływała wzdłuż pleców, odsłaniając wygięty kręgosłup oraz głębokie wcięcia napiętych mięśni.

Obróciła głowę, spoglądając przez ramię.

Klik. Klak. Klik. Klak. Rozległ się odgłos w korytarzu.

Faith zakręciła wodę i wyszła spod prysznic, stawiając stopy na zimnej terakocie. Zabrała ręcznik z wieszaka; pospiesznie wytarła ciało, włosy, a także brodzik. Odstawiła przybory do szafki. Ściągnęła z półki i powiesiła świeży ręcznik. Stary wrzuciła do kosza z praniem. Rozejrzała się dookoła, otworzyła okno i zgasiła światło.

Stukot szpilek stawianych na kamiennej posadzce rozbrzmiewał donośnym echem. Kobieta potknęła się, zachichotała i ruszyła dalej. Dotarła do drzwi na końcu korytarza i, nie zatrzymując się, pchnęła je, wchodząc do sypialni. Zapaliła światło. Odrzuciła długie, faliste blond włosy za plecy. Na toaletce położyła małą błyszczącą torebkę, kolczyki i naszyjnik schowała do kuferka, a futro powiesiła na oparciu krzesła.

Faith wisiała dwa metry nad jej głową, uczipiona belki stropowej jak koala.

Kobieta zdjęła szpilki i zsunęła ciasną czerwoną sukienkę. Weszła do łazienki, przymykając za sobą drzwi.

Po chwili rozległ się szum odkręconej wody.

Faith zawisała na belce, trzymając się samymi rękami, i miękko zeskoczyła na dywan, uginając kolana. Zerknęła w stronę łazienki. W szczelinie zobaczyła rzuconą na posadzkę koronkową bieliznę.

W korytarzu ponownie rozległy się kroki. Te były cichsze, stawiane

pospiesznie.

– Sarah? – Do sypialni wszedł mężczyzna w smokingu, z dwoma kieliszkami i butelką martini. – Tu jesteś...

– Edward...!

Faith obserwowała przez szczelinę w niedosuniętych drzwiach szafy, jak kobieta znika w łazience. Ukryta w ciasnej ciemnej klitce słuchała, jak krzyczy, mężczyzna się śmieje, a woda leje się nieprzerwanym strumieniem. Ich splecione na ścianie cienie poruszały się w akrobatycznym tańcu. Jeden z nich wyrwał się drugiemu i mężczyzna wrócił do sypialni, ocierając twarz rękawem. Postawił butelkę oraz kieliszki na szafce nocnej.

– Nakarmiłaś przed wyjściem Astro?

Odpowiedział mu tylko szum wody.

Machnął ręką i wyszedł na korytarz.

Faith rozsunęła drzwi szafy. Przejrzała jej zawartość i zdecydowała się na skórzane legginsy, krótką kurtkę z mnóstwem lśniących suwaków, a do kompletu kozaki za kolano na płaskim obcasie oraz biały T-shirt z napisem: WIEM, ŻE PATRZYSZ.

Woda przestała lecieć. Kobieta wyszła z łazienki.

– Edward?

Z ukrycia Faith widziała tylko jej stopy. Kobieta zsunęła szlafrok frotowy na dywan i weszła do łóżka. Mężczyzna nie kazał na siebie długo czekać. Dwurzędowy smoking, biała koszula i aksamitna mucha wylądowały obok szlafroka. Zgasło światło.

Faith leżała pod łóżkiem, słuchając najpierw teatralnych przekomarzań, potem zgodnych śmiechów, a w końcu rytmicznie skrzypiącego łóżka. Wyczołgała się i kucnęła za krzesłem. Drzwi na korytarz były otwarte.

Wyjrzała zza oparcia. Mężczyzna ciężko sapał, wyrzucając biodra, jakby brał udział w wyścigu, a leżąca pod nim na wznak kobieta intonowała przeciągłe dźwięki, jak solistka operowa.

Faith ruszyła na czworaka do drzwi. Zawróciła w progu. Mężczyzna przyspieszył, zbliżając się do finiszu. Kobieta odchyliła głowę, obnażając napiętą szyję, i rozciągnęła usta, podnosząc głos o oktawę wyżej. Futro zsunęło się z oparcia jak za pociągnięciem niewidzialnej ręki.

Faith poszła korytarzem, niosąc przerzuconą przez ramię zdobyczą niczym myśliwy. Zeszła szerokimi schodami do przestronnego holu, obserwowana ze ścian przez przodków rodu. Na sekretarzyku, obok papeterii i telefonu, zauważyła kluczyki z breloczkiem. Zabrała je z blatu, otworzyła zasuwę i wyszła na zdobiony kolumnami portyk, zatrzasnąjąc za sobą mosiężne drzwi.

Mężczyzna uniósł głowę.

– Co to było?

– Nie przestawaj... – wydyszała kobieta.

Faith wyszła na otwarty dziedziniec. Minęła marmurową fontannę przedstawiającą motyw skrzydlatego smoka, dla odmiany plującego wodą, i wsiadła do srebrnego rolls-royce'a Silver Shadow w wersji coupe.

Mężczyzna zsunął się z kobiety i zerwał z łóżka.

– Jestem pewien, że coś słyszałem, Sarah.

– To pewnie znowu stryj Henry.

Uchylił drzwi, nasłuchując.

– Przecież on nie żyje.

Kobieta przewróciła oczami.

– Właśnie o tym mówię.

Faith zatrzymała się przed wysoką stalową bramą ze szpikulcami w kształcie grotów strzał. Na szczycie ceglanego muru dostrzegła kamerę mechaniczną na taśmie filmową i wygaszoną lampkę. Zajrzała do schowka. Znalazła atlas samochodowy, płaską latarkę sygnalizacyjną z przerywaczem, pokrowiec z okularami przeciwsłonecznymi, skórzane rękawiczki mitemki oraz pilota do bramy. Wcisnęła zielony przycisk. Lampka rozbłysła, a brama powoli się otworzyła.

Mężczyzna rzucił się do okna, potykając po drodze o krzesło.

– To mój Rolls?

Kobieta wypadła z łóżka, zaplątując się nogami w pościel.

– Gdzie jest moje futro z szynszyli?

Oboje stanęli w oknie, patrząc, jak samochód wyjeżdża za bramę.

– To nie mógł być stryj Henry.

Faith wyjechała na ciągnącą się wzdłuż muru drogę, skręcając na zachód.

Jadąc, wpatrywała się w rozlewające się na szarej jezdni światła reflektorów i nasłuchiwała wewnętrznego głosu. Dojechała do rozwidlenia. Droga na północ wiodła na rozległe wrzosowiska. Wybrała tę drugą, prowadzącą w głąb miasta. Kiedy mijała skrzyżowanie, snop światła przesunął się po skruszałym od stuleci kamieniu. Wyryto na nim nazwisko właściciela posiadłości: BRODIN.

*

– Nie ma dobrych powodów ani złych powodów, dla których ktoś żyje albo umiera – rozkręcał się Alex. – Światło słoneczne potrzebuje na dotarcie do Ziemi jakichś ośmiu minut. Teleskopy orbitalne sfotografowały rubieżę wszechświata sprzed ponad trzynastu miliardów lat. Widzimy światła gwiazd, które są już martwe. Czy komuś to robi różnicę? Wiecie, ile ofiar w ciągu ostatnich trzech lat pochłonęła wojna libańska? A wiecie, ile osób przyjdzie pojutrze na Live Aid?

Siedzący obok kierowcy Tom-Tom spojrział w lusterko wsteczne.

– Kurde, szefie. Gada pan jak profesor z Cambridge.

Alex uśmiechnął się, wyglądając przez przydymioną kuloodporną szybę. Przejeżdżali akurat przez South Kensington; z okna roztaczał się widok na fasadę Muzeum Wiktorii i Alberta, sąsiadującego z Muzeum Historii Naturalnej i Muzeum Nauki. „To nie mógł być przypadek”, pomyślał.

– Tom-Tom, ty to masz...

– Mogę coś zasugerować?

Alex odwrócił wzrok od okna.

– No co? Powiedziałem coś nie tak, Georgie?

Siedzący obok doradca założył nogę na nogę i splótł dłonie na kolanie, rozkoszując się chwilą uwagi.

– Jeśli ten intelektualny wywód stanowi próbę generalną przed spotkaniem z panną Chavez, to proponuję, żeby nie używał pan słów: martwe, ofiar i wojna. Mogłoby to... nieco zakłócić nastrój.

Alex zmrużył swoje jedyne oko. W milczeniu minęli Harrodsa.

– Masz łeb, Georgie. – W końcu kiwnął głową. – Zastanowię się nad tym.

Zastanowie...

Odchylił się na tylnym siedzeniu, zamknął oko i położył dłoń na czole. Przecieli Belgravię. Wciąż się zastanawiał, kiedy przejeżdżali Mayfair. Na wysokości Królewskiej Akademii Sztuki Georgie pozwolił sobie na dyskretny złośliwy uśmiezek.

Alex ożywił się dopiero, kiedy dotarli do Soho. Odsłonił mankiet marynarki, żeby zerknąć na swojego srebrnego rolexa.

– Zepsułeś mi humor, Georgie. – Potarł palcem powiekę. – Teraz opowiedz dowcip.

Georgie zamrugał oczami, jakby obudził się ze snu.

– Dowcip?

– Tak, dowcip. – Alex wycelował w niego palcem. – I lepiej, żeby był śmieszny.

– Ja znam jeden, szefie.

– Później, Tom-Tom! Teraz dowcip opowie mi Georgie.

Doradca przełknął ślinę.

– Dowcip, śmieszny... Dobrze już mam. – Wyciągnął z kieszeni pierśiówkę i pociągnął łyżeczek ginu na rozgrzewkę. – Tak więc: Anglik, Amerykanin i Rosjanin spotykają się w Jałcie.

– Gdzie? – zapytał Tom-Tom.

– To taka miejscowość na Krymie... w Związku Radzieckim. – Georgie wytarł chustką czoło. – Panie Nipar, on mi specjalnie przeszkadza.

– Przymknij się, Tom-Tom! A ty kontynuuj dowcip! – rozkazał ten drugi Alex.

W samochodzie zapanowała cisza.

Georgie zacisnął palce na kolanach, aż pobielają mu knykcie.

– Tak więc... Anglik, Amerykanin i Rosjanin spotykają się w Jałcie.

– Już to mówiłeś! – Alex „Gilotyna” dźgnął doradcę palcem w ucho. – No i co z tego, że się spotkali?

Georgie przechylił głowę.

– No bo... pierwszy z nich jest konserwatystą, drugi demokratą, a trzeci komunistą. – Bezradnie uniósł rękę. – I spotkali się, żeby zawrzeć pokój.

Alex zmrużył oko, spoglądając na doradcę.

Sonny zaparkował przed restauracją francuską. Tom-Tom wysiadł i rozejrzał się, skóra ściagnęła mu się na mięsistym karku. Otworzył tylne drzwi lincolna. Alex rozprostował plecy, spoglądając na szyld: JOSEPHINE. Wyglądził poły garnitur i przeszedł przez obrotowe drzwi. Restauracja pękała w szwach; białe obrusy, skórzane sofy, srebrne sztucce, wykwintne dania oraz eleganckie kobiety. To był jego świat.

Gdy tylko znalazł się w środku, powitał go czujny kierownik sali, znający na wskroś zwyczaje i upodobania swoich gości. Zwłaszcza tych najbardziej hojnych.

– *Bonsoir, monsieur* Nipar. Znakomicie pan wygląda.

– Dziękuję, Antoine. Czy panna Chavez już jest?

Kierownik sali zmarszczył wysokie czoło.

– Panna Chavez prosiła, żeby uprzedzić, że chwilę się spóźni. Ale pański ulubiony stolik już czeka.

Alex pokręcił głową.

– Te kobiety.

Rozdział 4

Londyn – 11 lipca 1985 roku

Godz. 22:45

Przed restauracją zaparkował srebrny rolls-royce. Kiedy okazało się, że wysiadła z niego tylko jedna osoba, młody parkingowy pospieszył odebrać od niej kluczyki. Faith spojrzała na szyld i wychodzącą parę. Kobieta szła dystyngowanym krokiem, opierając się na ramieniu mężczyzny.

– Jedziemy do mnie czy do ciebie?

Faith weszła do restauracji, naśladowując jej sposób chodzenia.

– *Bonsoir, mademoiselle* – powitał ją Antoine, jednocześnie dając dyskretny sygnał kelnerowi, który natychmiast zaczął rozglądać się po sali. – Czy była dokonana rezerwacja?

Faith patrzyła na niego spod zmrużonych powiek, ciasno opatulona futrem.

– Obawiam się, że zapomniałam – odparła miękkim mrukliwym głosem, jak kocica.

Antoine wyrozumiale skinął głową.

– Zdarza się... – Westchnął. – Niestety nazbyt często.

Mademoiselle nie zrozumiała żartu. Nie miała poczucia humoru albo była nietutejsza. Antoine skłaniał się ku temu drugiemu i ze stoickim spokojem zastanawiał się, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Nie miał najmniejszych oporów, żeby kurtuazyjnie, aczkolwiek stanowczo odmawiać nawet najbardziej znamienitym gościom, którzy zapomnieli dokonać rezerwacji. Był w końcu kierownikiem sali w *Josephine*; odpowiednikiem świętego

Piotra dzierzącego klucze do królestwa londyńskich wyższych sfer. Jego względami, i *vice versa*, cieszyli się książęta, dygnitarze, szejkwowie, filmowcy czy sportowcy, a zabiegały o nie aspirujące do tego grona, wschodzące gwiazdy oraz celebryci.

Oczywiście mógł też nakazać wyciągnąć trzymany na zapleczu zapasowy stół, co czynił rzadko i tylko w wyjątkowych okolicznościach. Ostatnio kiedy gościł Sekretarza Generalnego Komitetu Centralnego.

– Mamy czwartkowy wieczór, *mademoiselle*. – Wciąż się wahał. – Jesteśmy w *Josephine*...

Podszedł kelner, żeby szepnąć mu coś na ucho, co oczywiście Antoine mógł zinterpretować na dowolny sposób.

– Ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności Minister Spraw Zagranicznych musiał przed czasem zakończyć spotkanie.

Ostatecznie to nie futro z szynszyli ani Silver Shadow przekonał go do podjęcia takiej, a nie innej decyzji. Zrobiła to eteryczna uroda *mademoiselle*, łącząca w sobie dojrzały bukiet z dozą wyrachowania. Antoine pomyślał o czerwonym winie, uderzającym do głowy.

– Zatem jeśli *mademoiselle* reflektuje, to jego ulubiony stół jest...

Faith odwróciła się tyłem, zsuwając z ramion futro.

– Oczywiście. – Antoine usłużnie odebrał nakrycie. – Personel tylko zmieni obrus i...

Zaniemówił, kiedy odkrył, że oto być może popełnił największe *faux pas* w swojej karierze, ale było już za późno, żeby naprawić błąd. *Mademoiselle* w plebejskich skórzanych szmatach i koszulce, którą w najlepszym razie można by uznać za nietaktowną, szła już przez salę za kelnerem prowadzącym ją do stolika.

Antoine westchnął i ukrył zafrasowaną twarz w futrze.

Faith przeszła przez salę, wzbudzając nie mniejsze zainteresowanie niż grupa pijanych dygnitarzy, którzy w asyście ochrony opuszczali restaurację, wychodząc przez kuchnię. Z dala od obiektywów fotoreporterów oraz oczu wyborców.

Zajęła miejsce w dyskretnie odgrodzonym boksie, nieopodal baru i drzwi do toalety.

Kelner podał jej menu.

– Czego się panienka napije?

– Wody.

– Której?

Faith podniosła wzrok.

Kelner uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

– Evian – odparła.

– Doskonały wybór.

Oddalił się i wszedł za bar.

Faith wolno obróciła głowę, rozglądając się po sali. Kilku mężczyzn natychmiast odwróciło wzrok. Zatrzymała spojrzenie na jednym z nich. Również siedział w boksie, *vis-à-vis* po drugiej stronie baru. Miał siwe włosy i opaskę na oku.

– Znam cię – wyszeptała, nie mogąc oderwać oczu od mężczyzny.

Cały czas coś mówił, chociaż nikt mu nie towarzyszył. Jego usta poruszały się z pietyzmem, jakby szeptał zaklęcia.

Albo odmawiał ostatnią modlitwę.

*

– Zobacz, Sonny. – Tom-Tom odwinął obrus, wskazując na to, co leżało na jego udach.

Sonny spojrzał na niego nieufnie.

– No zerknij – nalegał szeptem Tom-Tom.

Sonny nachylił się i wytrzeszczył oczy.

– Wielki, nie? – Tom-Tom zawadiacko wzruszył brwiami. – Robi wrażenie?

Sonny z uznaniem kiwnął głową.

– Kawał gnata.

– Pewnie, że tak. – Tom-Tom przesunął dłonią po lśniącej stali, leżącej w futerale wypełnionym miękkim brezentem. – To przecież Smith & Wesson Model 29 z amunicją Magnum 44. Najpotężniejsza broń krótka na świecie. Dostałem go na zamówienie z Izraela.

Siedzący obok Georgie zamaszystym ruchem rozłożył lnianą serwetkę i położył ją sobie na kolanach. W miejscach takich jak to miał mieszane uczucia. Swoją obecność w *Josephine* uważał za jak najbardziej na miejscu; wykwintne potrawy i wystrój, klientela z najwyższej półki, a także kompetentny personel o nienaganych manierach. Z drugiej jednak strony wiązało się z tym pewne upokorzenie; nigdy nie był zapraszany do boksu. Zmuszony jadać przy dokooptowanym sąsiednim stoliku dla gości drugiego sortu. Wśród szoferów, ochroniarzy czy „doradców” nie mógł liczyć na intelektualną konwersację. Jediną jego rozrywkę stanowiło przysłuchiwanie się rozmowie prowadzonej przez dwóch neandertalczyków.

– Najpotężniejszy jest radziecki Podbyrin 9.2 mm – wtrącił, pochylając się nad talerzem *quiche lorraine*[\[1\]](#).

– Co ty pieprzysz? – obruszył się Tom-Tom. – Brudny Harry takiego używał.

– Powiedz mi, Malone... – Georgie wziął w dwa palce nóżkę kieliszka i upił łyżeczek białego wina. – Do czego ci to żelastwo? Bo jeśli jest tak, jak myślę, to znaczy, że jesteś głupszy, niż podejrzewałem.

Okrągła twarz Tom-Toma poczerwieniała jak wypełniony krwią balon.

Niewzruszony Georgie złożył usta w ciup i przyłożył serwetkę.

– Ja używam wyłącznie broni radzieckiej produkcji. – Uchylił dyskretnie połę marynarki. – Z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ są niezawodne, a po drugie, bo londyńska policja nie lubi zagadek. To duże miasto, gdzie przestępczość znajduje się w światowej czołówce. Liczą się statystyki wykrywalności, a nie, kto się dopuścił zbrodni. Jeśli ktoś został sprzątnięty z radzieckiej broni, rachunek za to dostaną Rosjanie. – Demonstracyjnie rozciął placek, żeby pokazać pasujące połówki. – Jeśli natomiast zostanie użyty model stosunkowo rzadki w Wielkiej Brytanii, to nawet „najbystrzejszy” glina bez trudu odnajdzie bęcwała chwającego się gnatem Brudnego Harry’ego – przedrzeźniał.

Tom-Tom wbił nóż na sztorc w swój *coq au vin*[\[2\]](#) i chwycił za rewolwer, gotów rozbić rękojeścią czaszkę Georgiego jak jajko.

Sonny powstrzymał go, chwytając pod stołem za przegub.

Tom-Tom posłał swojemu szefowi skruszony uśmiech.

Odczekali, aż siedzący najbliżej nich goście wrócą do rozmów.

– Pewnego dnia, Georgie, szefowi nie spodoba się twój dowcip. – Tom-Tom zamknął futerał i odsunął krzesło, wstając od stołu. – A ja będę na ten dzień czekał.

Ruszył wzdłuż baru, zachowując pozorny spokój, ale w jego wnętrzu rozszalała się prawdziwa burza. Skręcił do toalety i zamknął za sobą drzwi. Pochylony przeszedł wzdłuż kabin, sprawdzając, czy ktoś jest w środku. W żadnej nie zauważył nóg. Nie słyszał też żadnych odgłosów. Położył futerał na umywalce i spojrzął w lustro.

– Podły mały szczur. – Oplukał wodą twarz, łysą głowę i byczy kark. – Dwulicowy nędzny padalec!

„Już lepiej”, odetchnął, wycierając się papierowym ręcznikiem. Nie był przyzwyczajony, żeby ludzie tak się do niego zwracali. A już na pewno nie taki zasraniec jak Georgie. W dodatku w obecności jego najlepszego kumpla, Sonny’ego.

Podszedł do pisuaru i rozpiął spodnie. Usłyszał, że drzwi się otwierają. Zerknął na leżący na umywalce futerał, ale młody mężczyzna wcale tam nie podszedł, tylko zatrzymał się przy sąsiednim pisuarze. Tom-Tom nie słyszał, jak sika, za to czuł na sobie jego spojrzenie. „A to pedał”, pomyślał. „Może najwyższy czas jednak spuścić komuś łomot?”

Zerknął w bok i ku swojemu zdziwieniu zobaczył, że to wcale nie jest mężczyzna. Zmyliły go krótkie włosy oraz skórzane ciuchy, pod którymi ukrywały się kobiece kształty.

Spojrzął raz jeszcze. Tak, przyglądała mu się i wcale się z tym nie kryła. Tom Malone poczuł, jak ten drugi Tom twardnieje mu w garści. W półświatku gangsterskim nie było tajemnicą, że natura obdarzyła go nie tylko imponującą sylwetką. Kiedy odwiedzał ulubiony burdel, wszystkie kurwy wrzeszczały ze strachu, a ta, którą wybierał, zazwyczaj liczyła podwójną stawkę. „Tak, drugiego takiego kutasa ze świecą szukać”, pomyślał.

Obrócił głowę i zawadiacko wzruszył brwiami. Młoda kobieta nawet nie drgnęła. Było w niej coś dziwnego. Sposób, w jaki na niego patrzyła; hipnotyzujący, a zarazem beznamienny, jakby zamiast oczu miała dwa

kryształy lodu. Tom-Tom miał erekcję. Ta dziewczyna to nie była jakaś tam kurwa, tylko prawdziwa laska. Na ułamek sekundy nastrój zmąciła mu myśl, co też taka pierwszoligowa sztuka robi tu razem z nim? W kiblu? Zamiast kręcić tyłkiem na sali przed jakimś następcą tronu. Szybko jednak znalazł logiczne wytłumaczenie; może miała dziś urodziny i postanowiła sprawić sobie na prezent Big Mac Tom-Toma? Jeśli tak, to zaraz go dostanie. W kabinie. Już widział, jak ten szczur Georgie będzie zgrzytał zębami z zazdrości, a sam Alex Nipar piał z zachwyty: Tom-Tom, ty stary łajdaku!

Skórzana Laska drgnęła, a przynajmniej tak mu się wydawało, kiedy wyciągnęła do niego rękę. W życiu nie widział, żeby ktoś tak szybko się ruszał. Tom-Tom poczuł ukłucie w szyi. Chwilowe, ale bolesne, jakby użądliła go pszczoła. Następne i jeszcze jedno. Teraz zaatakował go cały rój.

Skórzana Laska podskoczyła i zamachnęła się w powietrzu. Tom-Tom wypuścił kutasa. Chwycił się za szyję. Krew tryskała mu przez palce na ścianę z rozszarpanej tętnicy. Tuż pod uchem wymacał rękojeść noża wbity w ciało aż po nasadę. Ostrze zachrobotło o kość, kiedy otworzył usta, a z gardła bluznęła krew. Tom-Tom zatoczył się, spodnie zsunęły mu się do kolan i upadły, gdyby nie chwycił się krawędzi umywalki. Jedną ręką niezdarnie próbował otworzyć futerał. Pluł i charczał, czując, jak z jego wielkiego ciała zadziwiająco szybko uchodzi życie. Pomyślał o matce, która co niedziela chodziła do kościoła. Zawsze chciała, żeby został księdzem. Może gdyby jej modlitwy zostały wysłuchane, to teraz nie zdychałby w kiblu jak zarzynane ciele.

Wbił wzrok w lustro, w ostatniej chwili, żeby zobaczyć swoje wybałuszone oczy i grymas niedowierzania na zakrwawionej twarzy. „A jednak”, pomyślał. Mrugnął, żeby się przekonać, że nie śni, ale kiedy je otworzył, nic już nie widział, jakby ktoś zgasił światło. Zwalił się na posadzkę jak ścięty dąb.

Ciało ostatni raz drgnęło w spazmatycznym odruchu i serce Tom-Toma Malone’a przestało bić.

[\[1\]](#) (fr.) placek z farszem jajecznym, boczkiem i dużą ilością francuskiego ciasta.

[\[2\]](#) (fr.) kogut duszony w czerwonym winie.

Rozdział 5

Londyn – 11 lipca 1985 roku

Godz. 22:50

Faith szeroko otworzyła oczy, źrenice jej się rozszerzyły, a serce zabiło mocniej. Wewnętrzny głos dał o sobie znać. Dotychczas prowadził ją za pomocą subtelnej intuicji, wskazując drogę, miejsca i sposoby na pokonanie przeszkód. Teraz jednak odezwał się w pełnej krasie. Faith doświadczała myśli, które nie należały do niej, jakby jej umysł został wzbogacony o szersze spektrum. Głos nie posiadał barwy, ale przekaz był czysty; mówił o obcym świecie i o wiedzy, z jaką na niego przyszła. O tym, że byłaby bezużyteczna, gdyby nie mogła jej zastosować w czymś, co nazwał „tą rzeczywistością”. Przypomniał, że musi odbyć podróż i że będzie trudna, ale z tego samego powodu to właśnie ona została wybrana. Znalazła się w obcym świecie, jednak nie będzie w nim sama. On ją zna i chociaż ona go nie pamięta, to już się spotkali. Oświadczył, że spotkają się znowu, kiedy jej podróż dobiegnie końca. Ucichł.

– *Mademoiselle?*

Podniosła wzrok.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał kelner.

Faith zrozumiała, że musiał stać tu już jakiś czas.

– Tak, dziękuję. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Zamyśliłam się...

Kelner uprzejmie skinął głową i wprawnym okiem zmierzył gościa, próbując odgadnąć kulinarny gust.

– Na przystawkę polecam klasyczną *salade de chevre chaud*[\[3\]](#), a na rozgrzewkę przed drugim daniem proponuję przygotowaną na bazie mięsnego wywaru *soupe a l'oignon*[\[4\]](#). Nie jest to danie dietetyczne i lepiej się sprawdza w chłodne jesienne wieczory, ale ręczę, że poprawia nastrój bez względu na porę roku.

Faith uśmiechnęła się śmieiej.

– Na danie główne polecam: z ryb i owoców morza *moules a la creme*[\[5\]](#) podawane w sosie...

Przeniosła wzrok na samotnego mężczyznę siedzącego w boksie po drugiej stronie baru. Znała go, chociaż nigdy się nie spotkali. Wiedziała, jak się nazywa, gdzie mieszka i czym się zajmuje. To miejsce należało do jego ulubionych. Wiedziała też, że był sam, ale nie był samotny.

Nieopodal, przy okrągłym stoliku, siedziało trzech mężczyzn. Największy z nich podniósł się i ruszył wzdłuż baru, niosąc pod pachą niewielki futerał. Jego też znała. Poruszał się jak rozjuszony byk. Skóra ściągała się na mięsistym karku przy każdym ruchu głowy.

Faith odprowadziła go wzrokiem do toalety.

– ...natomiast z dań mięsnych najlepszy będzie *boeuf bourguignon*[\[6\]](#) w aksamitnym sosie z warzywami, doskonale smakuje z gotowanymi ziemniakami.

– Świetnie, poproszę.

Kelner w zdziwieniu uniósł brwi.

– Które?

Faith oszacowała podstawowe nakrycie do obiadu składającego się z trzech dań; łyżka do zupy i nóż do dania głównego ułożone po prawej, widelec po lewej, a łyżeczka i widelczyk deserowy umieszczony bezpośrednio nad talerzem.

– Wszystkie – odparła, zerkając w stronę toalet. – Umieram z głodu.

– Mogę zaproponować deser? – zapytał usłużnie kelner.

– Na deser już nie zostanę.

Po chwili nakrycie do stołu zostało rozszerzone o widelec i nóż do ryb. Faith wysunęła się z boksu i poszła krótkim korytarzem do toalety. Po jej odejściu na białym obrusie zabrakło dwóch noży.

Minęła drzwi oznaczone kółkiem i zatrzymała się przy tych z odwróconym trójkątem. Włożyła na dłonie skórzane mitenki, odsłaniające palce oraz kostki. Zasunęła kurtkę i pchnęła drzwi. Rozejrzała się po wnętrzu. Wszystkie kabiny były zamknięte. Futerał leżał na umywalce. Mężczyzna stał przed pisuarem.

Faith podeszła bliżej.

Mężczyzna ją zauważył.

Przyglądała mu się; mierzył ponad dwa metry i ważył jakieś sto trzydzieści kilogramów. Intuicja podpowiedziała jej, że stanowi kolejną przeszkodę. I że zagrożenie, które dla niej stwarza, jest minimalne. Może jednak wzrosnąć, jeśli pojawią się osoby postronne. Musiała się spieszyć. Wybrała najślabszy punkt. Wysunęła z rękawa nóż do ryb i błyskawicznie zaatakowała. Zdażyła zadać kilka pchnięć, zanim mężczyzna zareagował. Z mięsistej szyi trysnęła krew. Faith podskoczyła i wbiła nóż po samą nasadę.

Mężczyzna otworzył usta, ale nie był w stanie krzyknąć. Zatoczył się i chwycił krawędzi umywalki. Sięgnął po futerał. Wbił wzrok w lustro. Mrugnął i upadł na posadzkę.

Faith przesunęła wierzchem dłoni po twarzy, dając krok nad jego drgającym ciałem. Na policzku miała rozmazaną krew. Szkarłatna smuga ciągnęła się ukośnie od łuku brwiowego, przez nos, do linii szczęki, jak indiańskie barwy wojenne. Odkręciła kurek. Opłukała ręce w mitenkach. Namoczyła papierowe ręczniki i usunęła krwawe rozbryzgi z kurtki. Na końcu umyła twarz.

Wyprostowała się gwałtownie, słysząc odgłos kroków w korytarzu.

Ktoś wszedł do damskiej toalety.

Otworzyła futerał. W środku znajdował się srebrny rewolwer Smith & Wesson model 29 z rękojeścią obłożoną czarnym drewnem oraz trzy magazynki z amunicją Magnum 44. Faith wyjęła rewolwer i obejrzała. Trzymała go z naturalną swobodą, jakby był przedłużeniem jej ręki. Otworzyła bęben rewolweru i wprowadziła do komór sześć nabojów. Pozostałe dwa magazynki włożyła do kieszeni. Obróciła bęben i ruchem nadgarstka zatrzasnęła. Wyszła z łazienki.

W korytarzu omal nie wpadł na nią jakiś pijany mężczyzna. Ominęła go

slalodem jak narciarz tyczkę. Mężczyzna zniknął za jej plecami, wtaczając się do toalety.

Faith szła miarowym krokiem, unikając kontaktu wzrokowego. Ręce miała opuszczone wzdłuż ciała, a broń przy udzie. Przeszła wzdłuż baru, mijając się z kelnerem niosącym przystawkę do jej boksu.

Jeden z mężczyzn siedzących przy okrągłym stoliku zauważył, że się zbliża. Pochylił się i powiedział coś do drugiego.

Faith napięła kciukiem kurek rewolweru, jednocześnie powodując obrót bębna. Rozległo się ciche kliknięcie.

Długowłosa mężczyzna obejrzał się przez ramię. Ściągnął brwi i wstał, zachodząc jej drogę.

– A dokąd to? – Uśmiechnął się, rozkładając ręce. – Może ja mógłbym w czymś...

Zmierzył ją wzrokiem i znieruchomiał. Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy spostrzegł w jej dłoni znajomy szczegół. Zrobił duże oczy, jak jeleni, który zbyt późno zauważył podchodzącego go wilka, ale mimo to nie zamierzał się poddać. Mężczyzna odchylił połę marynarki i sięgnął do kabury pod pachą.

Faith uniosła wyprostowane ramię. Strzeliła niemal z przyłożenia. Na sali rozległ się ogłuszający huk. Kula trafiła w nadgarstek, odrywając dłoń od ciała, przeszła przez klatkę piersiową, rozrywając serce, wyszła pod lewą łopatką, rozbijając butelkę wina na stoliku w boksie, i zatrzymała się dopiero na gipsowej ścianie.

Sonny Bowden padł na posadzkę jak powalony jeleni, z szeroko otwartymi oczami i zastygłym wyrazem zdziwienia na twarzy.

*

Alex spojrzął na zegarek i szczerze musiał przyznać, że wraz z wiekiem robił to coraz częściej, jakby podświadomie zdawał sobie sprawę z uciekającego mu czasu. Siedział w boksie sam, ale nie czuł się samotny. Zawsze mógł przywołać chłopaków, ale za lepszego towarzysza uznał Jima Beama. Zastanowili się wspólnie, co powie panie Chavez, kiedy ta wreszcie raczy

się tu zjawić, i obaj doszli do wniosku, że faktycznie gada jak profesor z Cambridge.

Zerknął na zegarek i przewrócił oczami. Przez ostatnią godzinę wynudził się jak diabeł na spowiedzi, ale upływ czasu nagrodził go zabawnym epizodem. Na salę weszła kobieta w skórzanych ciuchach i koszulce z wymownym napisem, a jakby tego było mało, zajęła boks po ministrze spraw zagranicznych, który przez cały wieczór uświetniał splendor *Josephine*, zalewając robaka wraz z ambasadorem Stanów Zjednoczonych. Alex był tak samo zaskoczony jak reszta gości. Uśmiechnął się do siebie, rozmyślając o Antoine. „Czyżby sztywny pierdoła na stare lata nabrał poczucia humoru?” Potem chłopcy jak zwykle się pokłócili. Tom-Tom zapewne powiedział coś głupiego, a Georgie oczywiście mu nie przepuścił. „Komuś się za to oberwie, ale wszystko w swoim czasie. Nieważne. Ważne jest to, że ta kobieta, właściwie dziewczyna – skonstatował – przygląda mi się, a to nie może być przypadek”.

Sala ponownie ucichła. Rozmowy przeszły w szept, a głowy zaczęły się obracać, kiedy między stolikami przeszła egzotyczna gwiazda filmowa. W międzyczasie podniósł się Tom-Tom. Alex tego nie zauważył, ponieważ również wstał, żeby po dżentelmeńsku przywitać swoją towarzyszkę.

– Strasznie cię przepraszam, Alex.

– Daj spokój, Corazon.

Aktorka wysunęła biodro, zajmując miejsce w boksie.

– Ale spóźniłam się prawie godzinę.

– Trochę ponad pół. – Alex wyrozumiale machnął ręką, siadając naprzeciwko. – Przypuszczam, że miałaś ważny powód.

– Przeklęty *jet lag*.

– Nie znam. – Rozsiadł się wygodnie. – Narzuca ci się?

Corazon podniosła wzrok znad karty win.

– Ale z ciebie zgrywus, Alex.

– Naprawdę?

– Właśnie to w tobie lubię. – Zarzuciła kręconymi czarnymi włosami, spoglądając przez ramię. – Tutaj wszyscy są tacy... napuszeni, sztuczni, jakby nie z tego świata.

Alex zmrużył oko.

– Zauważyłem.

– Podczas gdy ty jesteś taki... zwyczajny. – Corazon wyciągnęła rękę do jego twarzy. – I widać, że wiele przeszedłeś.

– Znasz się na ludziach, Corazon. – Alex rozejrzał się po sali, ujmując jej dłoń. – Właśnie to w tobie lubię. Widzisz... moja matka całe życie ciężko harowała, żeby związać koniec z końcem, a ojciec... No cóż, przypuszczam, że lepiej ode mnie znał go barman w osiedlowym pubie. Nie był najlepszym przykładem do naśladowania, ale jak widać wyszedłem na ludzi. A tym ludziom tutaj, którzy dyskretnie nas obserwują, moja obecność jest bardzo nie w smak. Powiem ci więcej, jest jak wyrzut sumienia. Te urodzone w czepku kmioty, które uczciwie nie przepracowały ani jednego dnia i zawsze wszystko dostawały na srebrnej tacy, nie mogą spokojnie przetrwać, że prosty chłopak z Croydon dzięki pracy własnych rąk posiada swój ulubiony stolik w *Josephine*. Mówię ci o tym na wszelki wypadek. Gdyby dotarły do twoich uszu jakieś krążące po mieście plotki na mój temat, to w nic nie wierz.

Corazon kiwnęła głową, nie odrywając od niego oczu.

– Dobrze, Alex.

– A teraz opowiedz mi, proszę, o tym filmie, który kręcisz w Londynie.

Uśmiechnęła się figlarnie, odgarniając włosy z twarzy.

– Och... to doprawdy zwariowana i całkowicie oderwana od rzeczywistości historia.

Alex przesunął palcem po wierzchu jej dłoni.

– Takie lubię najbardziej.

Z boku wyglądali jak para zakochanych: pięćdziesięcioletni młodzieniec i czarnowłosy anioł. Do stolika podszedł kelner z butelką wina i dwoma kieliszkami.

– A właśnie. – Alex jednym haustem dopił swoją whisky. – Pamiętam, że nie jadasz po dziewiętnastej...

– Osiemnastej.

– Otóż to. – Zdjął z tacy butelkę. – I pamiętam też...

Corazon uniosła wypiełgnowane brwi.

– Cava z San Sadurni de Noya? Jesteś uroczy.

Alex wzruszył ramionami.

– Dobra konwersacja powinna odbywać się przy dobrym winie. – Napęnił kieliszki w jednej trzeciej. – Tak, żeby harmonia ducha mogła współgrać z ciałem.

Corazon umoczyła usta w jasnozłotym trunku. Chrząknęła.

– Wyobraź sobie, że fabuła została osadzona w dwudziestym pierwszym wieku. Księżyc został skolonizowany przez dwa wielkie mocarstwa: Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Kiedy zdarza się tu pierwsze zabójstwo, zarówno Amerykanie, jak i Sowieci zmuszeni są do współpracy przy prowadzonym śledztwie.

Alex zacisnął usta i policzył w myślach do trzech.

– Intrygujące. A co ty tam robisz?

– Musiałabym ci zdradzić zakończenie.

– Chyba nie złamiesz przez to warunków kontraktu?

Corazon konspiracyjnie pochyliła się nad stolikiem.

– Owszem, złamię.

Alex roześmiał się, odruchowo opróżniając cały kieliszek.

– Obiecuję, że nikomu nie powiem.

Corazon zerknęła przez ramię.

Alex położył dłoń na piersi.

– Daję też słowo, że i tak pójdę do kina.

– No dobrze. Powierzono mi drugoplanową rolę...

Jedną z niewielu zalet posiadania jednego oka jest fakt, że rozmówca w ogóle w nie nie patrzył. Całą jego uwagę zaprzętała klapka, zasłaniająca to drugie. I choć każdy dobrze wychowany człowiek za nic w świecie by się do tego nie przyznał, to jednak chciałby pod nią zajrzeć, żeby poznać tajemnicę. Móc zerknąć, tylko na chwilę. Alex wiedział, że Corazon nie stanowiła wyjątku i myśli o tym, co znajduje się pod jego klapką.

W porządku, on też rozmyślał. Głównie o tej dziewczynie, którą wpuścił Antoine. Z nią też wiązała się tajemnica. Wyprostowana sylwetka i sposób, w jaki się poruszała podpowiadały mu, że pod tymi skórzanymi ciuchami musi kryć się niesamowite ciało. To nie była jakaś leniwa siksa ze stałą

rezerwacją w salonie piękności, kartą kredytową swojego ojca oraz pozycją społeczną pozwalającą opierdalać się w łóżku. O nie, była jak młody żrebak. Nieujarzmiona i niebezpieczna.

Alex Nipar znał się w życiu na dwóch rzeczach: ludzkich pragnieniach i słabościach. Wiedział, czego inni chcą i czego się boją. Ta wiedza umożliwiła mu przebycie długiej drogi z Croydon do Chelsea, a także stanie się tym, kim był dziś.

– Alex? – Corazon pomachała mu dłonią przed okiem. – Jesteś tam?

– Strasznie cię przepraszam, Corazon. – Alex potarł palcem powiekę. – Zamyśliłem się...

Corazon zaczęła odwracać głowę.

– Co takiego cię ode mnie...

Alex zareagował błyskawicznie.

– Chodzi o mojego syna. Przechodzi trudny okres.

– Mianowicie?

Pokręcił głową.

– Nie chcę cię tym zajmować.

Corazon położyła łokcie na stole.

– Sama nie mam dzieci, ale jestem najstarsza z pięciorga rodzeństwa.

Alex zacisnął usta i mniej więcej po trzech sekundach rozłożył ręce.

– Tyler nie może się uporać ze śmiercią matki. – Ściągnął brew. – Chociaż, kiedy teraz o tym myślę, to od początku sprawiał problemy. Zawsze był trudny. Nie umiał nawiązywać przyjaźni, niszczył zabawki i śmiał się, kiedy nikomu innemu nie było do śmiechu.

– Najważniejsze, żeby miał w tobie wsparcie, Alex. Twój syn się w końcu odnajdzie. Myślę, że najlepiej dać mu czas. Prędzej czy później pozna jakąś miłą dziewczynę, która pomoże mu...

– Szkopuł w tym, że już kilka poznał, ale to były... krótkotrwałe znajomości.

– Ile on właściwie ma lat?

– W styczniu skończył dwadzieścia dziewięć.

Corazon wyprostowała się, unosząc brwi.

– Och... to może rzeczywiście twoje obawy nie są bezpodstawne.

Próbowałeś go namówić na wizytę u specjalisty?

Alex dolał sobie wina. „To tak jak wymagać od katolickiego księdza przestrzegania celibatu”, skonstatował. Zerknął na zegarek. Pięć minut, a on już miał dość. Co to w ogóle za głupia gadka? Zamknął oko i położył dłoń na czole. Myślami wrócił do wieczoru sprzed dwunastu lat, kiedy to wraz z Lisą opuszczał teatr *Palladium* w Westminster, dokąd zabrał ją w dwudziestą rocznicę ich poznania. Był rozkojarzony, ale w dobrym nastroju. Zmierzali właśnie do limuzyny, a on pochylił się, żeby podzielić się z żoną wrażeniami ze spektaklu. Kula wystrzelona przez snajpera otarła się o jego nasadę nosa, zerwała górną powiekę lewego oka, trwale uszkadzając gałkę, i przebiła kość skroniową nadstawiając ucho Lisy.

Tamten wieczór odmienił całe jego życie. Pękniętej gałki ocznej nie dało się uratować i bezpowrotnie stracił Lisę. Ból rozszarpał mu serce, a wyrzuty sumienia omal nie wpędziły go w obłąd. Wkrótce potem pojawił się on. Obiecał, że weźmie na siebie całe jego cierpienie, jeśli tylko mu na to pozwoli. I tak też się stało. Alex doszedł do siebie, Mężczyzna z Lustra wyeliminował konkurentów, a „ich” imperium się rozrosło. Ta symbioza miała jednak swoją cenę.

– Jesteś tam? Słuchaj, jeśli źle się czujesz, to możemy...

– Jestem. – Odchylił głowę i przeciągle odetchnął, jakby wynurzył się z mrocznej otchłani. – Już mi przeszło.

– Migrena? Czekał, chyba mam tu coś, co ci...

– Na moją dolegliwość nie ma lekarstwa. – Otworzył oko, wbijając wzrok w aktorkę. – Zepsułaś mi humor, Corazon.

Przestała grzebać w torebce.

– Słucham?

– Studiowałaś psychologię?

– N-nie...

– Tylko lubisz gadać jak psycholog?

– O co ci chodzi, Alex?

Mężczyzna z Lustra uśmiechnął się, kładąc dłonie płasko na stoliku.

– Alex poszedł spać. Przedtem zaprosił cię do najdroższej knajpy w mieście. Czekał blisko godzinę i pamiętał, jakie lubisz wino. Przyznaj, że

miły z niego gość.

Corazon siedziała nieruchomo, a kiedy wzięła głęboki oddech jej krągłe piersi uniosły się jak dojrzałe pomarańcze na wietrze, rozpychając dekolt obcisłej czarnej sukienki.

– Gdyby wciąż tu był – kontynuował Mężczyzna z Lustra – to zapewne powiedziałby ci mnóstwo przyjemnych rzeczy. To nie byłyby jakieś tanie, główniane teksty, mające na celu zaciągnąć cię do łóżka, tylko przemyślane i celne komplementy. Spodobałyby ci się, ale Alexa już tu nie ma.

Corazon gwałtownie się roześmiała.

– Ty grasz, prawda?

– Nie, nie gram.

Odgarnęła kosmyk loków za ucho.

– Całkiem dobrze ci idzie.

Mężczyzna z Lustra oparł łokcie na stoliku, składając dłonie w piramidę. Odwieczny problem z kobietami polega na tym, że nie słuchają, co się do nich mówi.

– Problem ze współczesnymi aktorkami polega na tym, że połowa z nich trafia do filmu dzięki rodzinnym koneksjom. Dziadek producent, tata reżyser albo mama robiła w castingu. Trochę jak z rozbitkami na bezludnej wyspie. Zamknięta kasta, która z pokolenia na pokolenie staje się coraz słabsza poprzez zbyt bliskie kojarzenia. Ty należysz do tej drugiej połowy. W domu się nie przelewało, ale jakoś się udało. Miss Kolumbii, od tego wszystko się zaczęło, prawda?

– Wenezueli.

– Przepraszam. Problem z latynoskimi aktorkami jest innej natury. Trafiają do filmu prosto z telenoweli. Chcą być zbyt dobre, a przez to szybko się wypalają. Przypuszczam, że to dlatego Alex cię wybrał. Tata zarabiał na życie, hodując banany albo zbierając kukurydzę, a mama zajmowała się dziećmi. Ciężką pracę masz we krwi. W łóżku też nie będziesz się opierdalać, tylko zamienisz noc w prawdziwy hit.

Corazon zbladła na popiół, a na jej twarzy pojawił się zastygły wyraz, jak u odkrytych przez archeologów ofiar Wezuwiusza, zamieszkujących niegdyś Pompeje.

– Do dziś bardzo cię lubiłam, Alex. Masz rację, życie mnie nie rozpieszczało, ale los postanowił odpłacić mi za wszystkie wyrzeczenia, dając szansę na lepsze życie. Chciałam dzielić je z kimś, kto będzie mnie rozumiał i zapewni bezpieczeństwo. Prosty chłopak z Croydon wydawał się dobrym wyborem. Do dziś.

Mężczyzna z Lustra wycelował palcem w aktorkę.

– Ty wciąż mnie nie słuchasz, Corazon. To ja zadecyduję o tym, kiedy zabierzesz swoją torebkę i podniesiesz zgrabny tyłek, żeby stąd wyjść. Stanie się to za dwie minuty, kiedy przywołam Sonny’ego, a on odprowadzi cię do limuzyny. Nie masz co się rozglądać, tak wygląda rzeczywistość tego podłego świata, zamieszkiwanego przez dbających wyłącznie o własne interesy małostkowych ludzi. Jesteśmy w samym jego jądrze. Nikt nie zareaguje, więc nie rób scen. Alex lubi się zabawić, ale dziś wypada moja kolej.

Sonny wstał, jeszcze zanim został przywołany. Kurtuazyjnie rozłożył ręce, zasłaniając sobą stojącą naprzeciw niego postać, a potem rozległ się huk wystrzału. Mężczyzna z Lustra nie drgnął, kiedy na stoliku eksplodowała butelka wina. Echo wystrzału wciąż rozbrzmiewało w jego uszach. Słyszał też krzyk.

Sonny upadł i wtedy zobaczył lufę rewolweru. Obróciła się jak armata czołgowa, namierzając nowy cel. Mężczyzna z Lustra wybałuszył swoje jedyne oko. Lufa bluznęła ogniem, odbijając się w jego źrenicy. W ostatniej chwili życia uznał za zabawną ironię losu, że strzelcem okazała się kobieta.

Alexowi też spodobałby się ten makabryczny żart.

[3] (fr.) gorąca sałatka z kozim serem.

[4] (fr.) zupa cebulowa.

[5] (fr.) kremowe małże.

[6] (fr.) wołowina burgundzka.

CZĘŚĆ 3

NELL

Rozdział 6

Londyn – 11 lipca 1985 roku

Godz. 22:56

W sali rozległy się piski i krzyki. Najgłośniej zawodziła latynoska. Zakrwawiona kulila się w boksie, strzepując z siebie odłamki czaszki i kawałki mózgu.

Faith obróciła się, trzymając oburącz rewolwer. Goście rzucili się do wyjścia niczym spłoszone stado gazeli. Przewracali stoliki i tratowali się nawzajem, biegnąc do obrotowych drzwi. Ci, którzy pozostali, pokładali się na podłodze. Słyszała odgłosy odbezpieczanej broni, ale żaden z ochroniarzy nie odważył się wychylić głowy. Wycofała się tyłem na zaplecze.

Rozdzielnia kelnerska. Odsunęła porzucony w przejściu wózek obładowany naczyniami z porcelany i ruszyła, zaglądając kolejno do wszystkich pomieszczeń. Po lewej zmywalnia naczyń. Po prawej pomieszczenie do obróbki mięsa. Dalej magazyn spożywczy, przygotowalnia warzyw i pomieszczenie socjalne dla pracowników. Na wprost główna kuchnia.

Faith weszła do środka. Wnętrze było dobrze oświetlone, wypełnione gamą zapachów i kakofonią dźwięków. Huk wystrzałów najwyraźniej tu nie dotarł, bo pracownicy w białych fartuchach wciąż uwijali się przy chromowanych stołach. Na patelni skwierczał okoń, a na grillu stek z tuńczyka. W głębi chodziła mikrofalówka, brzęczał mikser i wyciskarka do owoców. Podkręcony na całą moc okap wentylacyjny nie nadązał wciągać pary.

Kucharz siekał na krawalnicy jagnięcinę. Zastygł z uniesionym tasakiem,

kiedy go minęła, zmierzając do tylnych drzwi. Zatrzymała się obok szafy chłodniczej. Za szybą dostrzegła hamującego z piskiem opon, sportowego rovera SD1 vitesse, z którego wysiadło kilku uzbrojonych mężczyzn. Naliczyła czterech. Poruszali się zwinnie, zajmując pozycje za samochodem i po obu stronach drzwi. Trzech z nich miało pistolety maszynowe Mini Uzi kaliber 9 mm, dwadzieścia naboju w magazynku, z nasadką do miotania granatów i lunetą z wzmacniaczem obrazu, a największy dryblas długą strzelbą powtarzalną typu pump action Remington model 870 Wingmaster.

Faith przylgnęła plecami do szafy chłodniczej. Intuicja podpowiedziała jej, że stanowią nieprzewidzianą przeszkodę. I że stwarzają zagrożenie średniego ryzyka. Może jednak wzrosnąć, zważywszy na miejsce publiczne. Czas nie działał na jej korzyść.

Rozejrzała się po kuchni. Pracownicy oderwali się od swoich obowiązków, obserwując ją uważnie, jak stado gołębi niepasującego do otoczenia czarnego kruk. Faith zatrzymała wzrok na pomocniku kucharza, młodym chłopcu dźwigającym worek na śmieci. Wyrzała zza szafy. Uzbrojeni mężczyźni czaili się na zewnątrz jak wataha wilków, czekająca na sygnał do ataku. Wsunęła rewolwer z tyłu za pasek i wyszła zza lodówki. Podniosła klapę, zaglądając do ciemnego zsypu.

– Ja to zrobię. – Odebrała chłopcu worek i wyrzuciła śmieci.

Po dwóch sekundach usłyszała miękki szelest. Zsyp był drożny.

Drzwi zostały uchylone i pojawiła się w nich lufa pistoletu maszynowego.

Faith chwyciła się krawędzi, podciągnęła i przechyliła, wsuwając do zsypu.

Po dwóch sekundach, amortyzując upadek rękami, wylądowała na stercie worków. Plastikowy kontener na kółkach przewrócił się, wypływając ją na wilgotny zaśmiecony zaułek.

W skąpym świetle latarni zauważyła ruch.

– To ty, Święty Judo? – wybełkotał pijany bezdomny.

Faith podniosła się, odprowadziła wzrokiem pierzchającego szczura i odkleiła od ramienia pierwszą stronę *Daily Mirror*. Wyszła na skąpaną w światłach neonów ulicę, przeciskając się przez zbierający się pod restauracją tłum przechodniów. W oddali usłyszała dźwięk syreny. Postawiła kołnierz kurtki, doszła do skrzyżowania i zamachała na przejeżdżającą

hackney carriage.

– Co tam się stało? – zapytał siedzący za kierownicą rastaman.

– Była strzelanina.

Spojrzał przez ramię, zarzucając długimi dreadami.

– Zalewasz, złotko?

– Nie zalewam.

– Serio? – Ponownie wyjrzał przez okno. – Niespokojna noc dziś w Babilonie. Dokąd jedziemy?

– Do klubu *Czarny Lód*.

Taksówkarz uśmiechnął się do lusterka, wsuwając kasetę do radia.

– Czas na zabawę?

– Czas na zabawę – odparła Faith.

Czarna taksówka zaczekała, aż minie ją karetka na sygnale, i wykręciła, odjeżdżając w akompaniamencie *So Much Trouble In The World* Boba Marleya.

*

– Nell. – Głos był stłumiony; brzmiał, jakby dochodził spod wody. – Nell?
Brak reakcji.

Mężczyzna nie należał do cierpliwych. Położył swoje ciężkie łapsko na chudym kościstym ramieniu i delikatnie potrząsnął.

– Nell! Znów odpłynęłaś?

Kobieta wolno podniosła głowę. Na karku, pod kitką związanych kasztanowych włosów, widniał tatuaż:

**VERITAS
AEQUITAS**

Utkwiła mętny wzrok w potężnym barmanie; z szeroką klatką piersiową, długą brodą i zaplecionymi w warkocz złocistorudymi włosami wyglądał jak potomek wikingów, którzy w XI wieku podbili Anglię. I zostali tu na zawsze.

– Nazwij mnie jeszcze raz Nell, Murph.

Barman uśmiechnął się, stawiając na blacie telefon stacjonarny z tarczą numeryczną i podał ciągnącą się na spiralnym gumowym kablu słuchawkę.

– Twój kochaś, Palicki.

Na wyraz zdziwienia odpowiedział wesoło, wzruszając krzaczastymi brwiami.

– Ten, którego jeszcze nie zaliczyłaś.

Inspektor Nell Palicki wyszarpnęła mu słuchawkę.

– Nie powinieneś zająć się zmywaniem, Murph?

Barman oddalił się, reagując na nawoływania zaniedbanych klientów.

– Palicki – warknęła, wciskając słuchawkę między ramię a ucho.

– Oglądasz wiadomości? – zapytał dźwięczny męski głos.

Palicki podniosła wzrok na stojący na lodówce telewizor.

– *...wciąż nieznaną jest przyczyna gigantycznej awarii zasilania, która miała miejsce przed dwiema godzinami. Wskutek braku sygnalizacji świetlnej doszło do...*

– Nie.

W słuchawce rozległ się z trudem powstrzymywany śmiech.

– Lada chwila się dowiesz, że ktoś sprzątnął Alexa Nipara.

Palicki ściągnęła brwi, przekładając słuchawkę do drugiej ręki.

– Alexa „Gilotynę”? Gdzie?

– Restauracja francuska w Soho. Nie na twoją kieszeń, Palicki.

– Na twoją też, Alan. Kiedy?

– Dopiero przyjechałem, ale wygląda to na grubą rozróbę.

– Bracia Brodin najwyraźniej uznali, że Londyn stał się za mały dla nich trzech. Ofiary?

– Nie, tylko Nipar i paru jego ówków. Jak wybrani widelcem z talerza.

Chwyciła za swój kufel niedopitego piwa.

– No to od jutra pierwszą kolejkę powinni stawiać tam gratis. Wstęp wolny. Miasto świętuje obalenie tyrana barbarzyńcy.

Jednym haustem dopiła resztki i się skrzywiła. Zwietrzała.

– Na twoim miejscu bym się tak nie cieszył, Palicki. „Dziadek” kazał mi cię znaleźć.

– Mam urlop. Przypomnij temu staremu sklerotykowi, że sam podpisał mój

wniosek.

W słuchawce zaległa cisza.

Palicki uśmiechnęła się, wyobrażając sobie konsternację na chłopięcej twarzy swojego partnera. Tak szczerą, że aż bolesną w wyrażaniu uczuć. Jak u postaci z kreskówki.

– Nie wierzę własnym uszom. Ta sprawa znajdzie się jutro na pierwszych stronach gazet. A ty ot tak to olewasz?!

– Ja już jestem sławna, Alan – odparła znużonym głosem. – I wciąż nie wiem, co ludzie w tym widzą.

– Ja też nie wiem, ale kiedyś chciałbym się dowiedzieć.

Sięgnęła po leżącą na blacie paczkę morleyów. Wyciągnęła jednego zębami i przypaliła zapalniczką benzynową zippo.

– Więc zrób trzy rzeczy.

– Zamieniam się w słuch, pani inspektor.

Zaciągnęła się głęboko.

– Po pierwsze: zbierz zeznania świadków i dowody. Pamiętaj o zasadzie Locarda.

– Ta... przestępca na miejscu zbrodni zawsze coś po sobie pozostawia i stamtąd zabiera.

– Zazwyczaj w toalecie. – Odruchowo sięgnęła po pusty kufel. – Po drugie: Alan, jesteś niezłym śledczym, ale jeśli chcesz, żeby cię doceniono, to chociaż raz okaż się gównianym i powiedz „Dziadkowi”, że mnie nie znalazłeś.

– Tylko „niezłym”. Może chociaż „dobrym”?

Wydmuchała siwą chmurę dymu układającą się w kółko.

– Dobra to ja jestem. A ty, gdybyś był, tobyś mnie nie szukał.

– To wcale nie było takie trudne. Jest czwartkowy wieczór. Ty masz urlop. A Murph otwiera pub o piętnastej.

Strzepnęła popiół do popielniczki.

– Urodzony z ciebie detektyw.

– Naprawdę chcesz mnie zostawić samego z tym bajzlem?

Przycisnęła słuchawkę do ucha.

– Po trzecie: jeśli chcesz znaleźć rozwiązanie tej zagadki, to zadzwoń do

„Wielkiego” Boba Brodina i poprosz go o nazwisko cyngla, którego wynajął do sprzątnięcia Alexa „Gilotyny”. Intuicja podpowiada mi, że zrobił to zawodowiec. Ty, Alan, zawodowca nie znajdziesz. A ja nie zamierzam go szukać. No chyba tylko po to, żeby mu podziękować.

– Dzięki za taką pomoc, Palicki.

Ponownie się uśmiechnęła, tylko szerzej.

– Nie lekceważ kobiecej intuicji, Alan. Bywa cenniejsza niż wnioski analityka.

– „Studium w szkarłacie”?

– „Człowiek z wywiniętą wargą”. Przy okazji przekaz ode mnie Brodinowi, że w całym Królestwie Brytyjskim nie ma ani jednej kamizelki kuloodpornej na jego rozmiar. A przyda mu się, bo Tyler Nipar mu nie daruje.

– Przekażę mu twoje pozdrowienia. I wiesz co...

– Udanych łowów, Alan.

– ...jesteś najbardziej arogancką, feministyczną żoną, jaką...

Odłożyła słuchawkę na widełki i wychyliła się za bar.

– Murph!? – zawołała, pokazując pusty kufel.

Stojący na drugim końcu barman bezradnie wzruszył ramionami, wskazując na czekających klientów. Zaklęła bezgłośnie. Spojrzała na kufel, przeniosła wzrok na dystrybutor piwa i sama się obsłużyła.

– ...a teraz wiadomości ze świata. W Kalifornii wciąż trwają poszukiwania seryjnego mordercy. „Nocny Łowca”^[7] pierwszy raz zaatakował w kwietniu ubiegłego roku. Do domów dostaje się przez małe okno w łazience...

– Dobrze, że mieszkam na pierwszym piętrze – mruknęła, napełniając kufel.

Opadła na krzesło, łapczywie wychylając solidny łyk. Westchnęła, czując nawracającą falę znużenia, a wraz z nią wspomnienia. Potrząsnęła głową i rozejrzała się, szukając punktu zaczepienia. Większość klienteli znała z widzenia. Oni ją też. Z niektórymi nawet piła. Słuchała smutnych historii brzuchatych frajerów, na których żony nie mogły już patrzeć, i desperackich prób podrywu rezolutnych studentów, nie mających pojęcia, którą planetą od Słońca jest Ziemia.

Zatrzymała wzrok na lustrze za barem, tuż przed tym, zanim odwrócił

wzrok. Jego nie znała. Siedział na samym rogu jak porzucony pies; w sportowej marynarce, z przepłaconą butelką Jamesona nie pasował do tego miejsca. Tak podpowiadała jej intuicja. Nie ta biała, podnosząca włoski na karku. Ta druga, czerwona, której nie potrafiła się oprzeć.

– ...dotychczas zamordował dziesięć osób. Ostatni atak miał miejsce cztery dni temu...

Postanowiła zebrać się na odwagę i wstać.

Przekonać się, dokąd tym razem ją zaprowadzi.

*

Sierp księżyca wyłonił się zza chmur. Błada luna odbiła się w XIX-wiecznej fasadzie budynku ozdobionego łukami i kolumnami. W umieszczonym na najwyższej kondygnacji kolistym oknie paliło się światło, bijąc wewnętrznym blaskiem jak pochodnia w mroku nocy.

– *Boże, użyż mi pogody ducha,
abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić,
odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić,
i mądrości, abym odróżniał jedno...*[\[8\]](#)

Mała dłoń zacisnęła się niecierpliwie na słuchawce.

– Mamo, już wystarczy!

Po chwili:

– Byłem w zeszlą niedzielę w kościele.

Po drugiej stronie linii rozległ się szelest, jakby zerwał się gwałtowny wiatr.

– Na wieczornym nabożeństwie... Naprawdę! – Przewrót oczami. – Gów...

– Przygryziony język. – Mamo, wszyscy wiedzą, że ojciec Martin jest krótkowidzem. – Westchnienie. – Nie, nie byłem u spowiedzi. Tak znowu się tyle tego nie nazbierało... – I zgodne kiwnięcie głową, jakby rozmówca znajdował się w zasięgu wzroku. – Dobrze, pójdę. Obiecuję. Ja ciebie też. – Czyjś śmiech w tle. – Dobranoc, mamo. – Brzdęk słuchawki odkładanej na widełki. – Alleluja!

„Wielki” Bob Brodin odwrócił się od okna na swoim obrotowym fotelu

z wysokim oparciem i rozejrzał po swoim gabinecie, gdzie pozornie małe rzeczy urastały do absurdalnie wielkich rozmiarów.

– Rozbawiłem cię, Jimmy?

Siedzący w kącie pod pochyloną paprotką blisko 150-kilogramowy ochroniarz drgnął, kiedy przerwano mu przysmak do trzeciego z rzędu hot-doga.

– Skądże, szefie.

– To z czego się śmiałeś?

Odpowiedź stanowiło wzruszenie ramion.

„Wielki” Bob wskazał na stojącego przy barku, wyprostowanego jak struna, swojego doradcę o beznamyślnym wyrazie twarzy.

– Donnie jest taki zabawny? – Wydał mięsiste usta. – Ciekawe, bo wcale na takiego nie wygląda.

Jimmy mrugnął wieczniewybałuszonymi oczami.

– Szefie, ja nie...

– A przecież nikogo więcej tu nie ma. – „Wielki” Bob teatralnie podrapał się po ogolonej głowie. – Czekaj, może to ten hot-dog? Daj mi go. Przekonamy się, czy rzeczywiście jest taki zabawny.

– Szefie...

– Dawaj!

Jimmy z ociąganiem podniósł się z miejsca niczym hipopotam opuszczający wygodne błotniste legowisko. Podeszedł do biurka, oparł się o blat i z żalem w oczach podał szefowi na otwartej dłoni hot-doga.

„Wielki” Bob dwoma palcami wyciągnął z bułki ociekającą ketchupem i ostrą musztardą parówkę.

– Ale zabawny hot-dog. – Potrząsnął giętym kawałkiem mięsa. – Bardzo zabawny. Pośmiejemy się razem, Jimmy? – Wychylił się zza biurka, chwytając ochroniarza za kołnierz koszuli. – No już, otwieraj tę swoją jadaczkę. – Wycelował parówką. – Powiedziałem, otwieraj!

Jimmy opieszale otworzył usta.

Stojący z boku Donnie z akademicką uwagą obserwował rozgrywającą się scenę.

– Blżej – ponaglał „Wielki” Bob, ciągnąc za kołnierz. – Blżej... –

Szybkim ruchem wsunął parówkę w czarną gardziel ochroniarza i dopchnął otwartą dłoń.

Jimmy runął na podłogę szarpany konwulsjami. Po kilku charknięciach i splunięciach zwrócił parówkę na dywan wraz z rzygowinami.

– Ale z ciebie niechluj, Jimmy. – „Wielki” Bob oparł się na biurku, ciskając w ochroniarza bułką. – Posprzątaj tu!

Zadzwoił telefon.

– Donnie, bądź tak dobry i odbierz. Jeśli to znowu moja mama, to powiedz jej, że nie mogę teraz rozmawiać. – Splótł dłonie, odchylając się w fotelu. – Zbieram datki na Live Aid.

Doradca uniósł kąciki ust i skinął głową z uznaniem dla dowcipu szefa.

– Tak? – zapytał, przykładając słuchawkę do ucha. – Mów. – Oparł zbitą w pięść dłoń na blacie biurka. – Powtórz. – Uniósł brwi. – Kiedy? – Rzucił okiem na zegarek. – Zabieraj się stamtąd.

– Złe wieści?

Donnie pieczołowicie odłożył słuchawkę na widełki.

– Dzwonił Timmy „Kelner”.

„Wielki” Bob przechylił głowę, mrużąc oczy.

– Chłopak, którego umieściliśmy w *Josephine* – przypomniał doradca.

– Co za kurwa?

– Restauracja w Soho, do której chadza Alex Nipar. A panu zawsze odmawiają rezerwacji.

– Aż tak słabej pamięci to ja nie mam, Donnie – warknął „Wielki” Bob. – Do rzeczy.

– Nipar nie żyje. Ktoś go właśnie sprzątnął.

– Czyli bardzo źle.

Na beznamietnej twarzy Donniego pojawił się kwaśny grymas.

– Dlaczego wyłączył mnie pan z tej operacji?

„Wielki” Bob zeskoczył z fotela i obszedł biurko, wyłaniając się w całość swojej 135-centymetrowej okazałości.

– Wystarczy, Jimmy. – Kopnął ochroniarza w zadek. – Wracaj do bufetu.

Grubas poraczkował do drzwi, chwycił za klamkę i zniknął w korytarzu. „Wielki” Bob odprowadził go zamyślonym wzrokiem: „Co złego jest

w odmawianiu modlitwy z własną matką”?

Doradca zamknął drzwi.

– Panie Brodin?

– Myślisz, że to ja kazałem go rozwalić!? – ryknął na całe gardło „Wielki” Bob.

Donnie opuścił ręce, stając w bezruchu. Drżał tylko jego wystający podbródek.

– Myślę, że wszyscy w Londynie tak myślą.

– Dowiedz się więc, kretynie, że to nie ja! – „Wielki” Bob wymachiwał zaciśniętą piąstką. – Gdybym chciał go załatwić, zrobiłbym to już dawno temu. – Dreptał tam i z powrotem niczym zwierzę zamknięte w zbyt małej klatce. – Wszystko było ustawione. Połowa szachownicy była moja, a druga jego. Ja wykonywałem ruch. Nipar wykonywał ruch. Czarny król i biały książę. Chaos był naszym wspólnym wrogiem.

Doradca bezradnie rozłożył ręce.

– To... kto?

– Nie wiem! – wrzasnął „Wielki” Bob. – Może Margaret Thatcher? MI5? Chłopcy z East End? Jego psychiczny syn? Albo jakaś napalona suka, do której zapomniał oddzwonić? Wybieraj.

Donnie podrapał się w podbródek.

– A może to drugi pan Brodin?

Cisza, która zapadła, była tak głęboka, że przez wytłumione ściany i pod podłogą dało się słyszeć dźwięki rock and rolla.

– Masz mnie za szaleńca, Donnie?

– Bynajmniej.

– Uważasz, że nie znam swojego brata?

Doradca zamilkł. Wiedział, kiedy trzymać język za zębami.

– To nie Mickey – zawyrokował „Wielki” Bob.

– Wyczułbym to – dodał w zamyśleniu, podchodząc do okna.

Spojrzał w gwiazdy.

– To ktoś inny.

[7] Richard Ramirez (1960–2013); amerykański seryjny morderca, który od IV 1984 r. do VIII 1985 r. zamordował 14 osób.

[8] Modlitwa o pogodę ducha (ang. Serenity Prayer), której autorem jest amerykański teolog Reinhold Niebuhr.

Rozdział 7

Londyn – 11 lipca 1985 roku

Godz. 23:10

I Shoot the Sheriff – zawodził radośnie Bob Marley. Taksówka zwolniła, zjeżdżając z Regent Street w boczną ulicę. Jaskrawe światła neonów odbijały się w czarnej karoserii. Faith, z nosem w oknie i rozchyłonymi ustami, szeroko otwartymi oczami patrzyła na kolorowe budynki modnych sklepów, kompleksów kinowych oraz teatrów. Nawet spacerujący pomimo późnej pory ludzie stanowili kompozycję różnorodnych barw, zaczynając od koloru skóry, a kończąc na obuwiu, gdzie nie każdy but był bliźniaczym odpowiednikiem drugiego. Bezskrytycznym wzrokiem dziecka obserwowała ten oparty na skrajnościach, nocny, wielkomiejski świat.

Taksówka toczyła się wzdłuż gęstej spirali kłębiącego się na chodniku ludzkiego mrowia.

– Kolejka ciągnie się aż do następnej przecznicy, a przecież dziś czwartek.
– Rastaman pokręcił głową. – Nie rozumiem tych ludzi. Przecież nawet gdyby selekcjoner ogłosił amnestię, to i tak wszyscy nie zmieściliby się w środku. – Zatrzymał się przed samym wejściem, gdzie tłum częściowo stał na ulicy. – Oto *Czarny Lód*. Jądro Babilonu.

Faith pochyliła się, spoglądając na szyld. Wbity w czarną lodową bryłę sierp z oczami, nosem i ustami zmieniał kolory jak kameleon; poczynając od bieli przechodził w błękit, a na końcu stawał się purpurowy. Wraz z sekwencją barw zmieniał się też nastrój na animowanej twarzy,

przedstawiając kolejno emocjonalne etapy nocnego imprezowicza.

– Księżyc spadł z nieba?

Rastaman roześmiał się, zerkając we wsteczne lusterko.

– Tak, kiedyś były dwa. Ale „Wielki” Bob Brodin i jego brat ukradli jeden.

Faith wychyliła głowę zza siedzenia.

– Co o nich wiesz?

– To, co ludzie gadają, a gazety boją się napisać. – Oparł ramię na kierownicy, odwracając się do swojej pasażerki. – Ty nie jesteś stąd, prawda?

– Prawda.

– Niech zgadnę. – Uniósł palec. – Francuzka?

Nie odpowiedziała.

– Jeszcze dalej? – Wzruszył brwiami. – Kanadyjka?

Pokręciła głową w milczeniu, zaciskając usta.

– A więc Amerykanka!?

– Nie wiem. – Podniosła ręce. – Nie pamiętam.

Rastaman zmarszczył czoło.

– Pokręcona jesteś, złotko.

Faith siedziała nieruchomo, patrząc na swoje otwarte dłonie, jakby widziała je pierwszy raz.

– Nie przejmuj się. – Rastaman wyciągnął do niej rękę i delikatnie poklepał w ramię. – Ja też nie pamiętam zeszłego weekendu. – Znów się śmiał. – Czasami tak jest lepiej. Przychodzimy już na ten świat nie wiadomo skąd, nic nie pamiętając, i może tak powinno być. Jah wszystko za nas pamięta.

Faith oderwała się od swoich myśli, dostrzegając na horyzoncie wreszcie jakiś znak.

– Kto to jest Jah?

Rastaman stuknął palcem w zwisający z lusterka metalowy brelok z wizerunkiem lwa.

– Mój najlepszy przyjaciel.

– I mówi ci wszystko, co chcesz wiedzieć?

– Lepiej. – Rozciągnął usta, prezentując wachlarz śnieżnobiałych zębów. – Dał mi sakrament świętego ziela, oczyszczający ciało i umysł, ponadto poszerza świadomość oraz ułatwia pokojowe współistnienie. – Sięgnął do

schowka. – Jeśli chcesz, mogę się z tobą podzielić... po uczciwej cenie.

Faith wyciągnęła szyję, z uwagą przyglądając się zawartości małej foliowej torebki.

– Też znam Jah. Wskazuje mi moją drogę za pomocą intuicji, a raz nawet go usłyszałam.

– Zalewasz, złotko?

– Nie zalewam.

Za oknem rozległ się przeciągły dźwięk klaksonu. Siedzący za kierownicą mijającego ich białego lotusa excel, nastoletni kierowca gniewnie wymachiwał butelką, rzucając przekleństwami.

Rastaman opuścił szybę i podkręcił radio.

– Pokój, bracie!

Siedzący obok pasażer wskazał na Faith, wyprostował palce wskazujący i środkowy w V, wsuwając pomiędzy nie rozedrgany język.

– Twoja matka musi być dumna! – Rastaman przyciszył radio. – Nie zwracaj uwagi... – Podniósł szybę. – No dobra, opowiedz mi o tym.

– Usłyszałam go kwadrans temu, zanim wsiadłam do twojej taksówki – wyjaśniła Faith.

W samochodzie zaległa cisza.

Rastaman wybuchł tubalnym śmiechem.

– Jajcara z ciebie.

Faith przyłączyła się do niego, ale szybko umilkła. Przyłożyła dłoń do twarzy, kiedy rozboleły ją nieużywane tak intensywnie mięśnie policzków.

– Mój Jah chciałby, żebyś zaparkował za rogiem. – Wskazała przez przednią szybę. – I poczekał na mnie.

– Może jeszcze z włączonym silnikiem, jak na filmach gangsterskich?

– Nie, oszczędzaj benzynę, bo na wskaźniku zapaliła się lampka kontrolna.

– Cholera! – Rastaman odgarnął dredy z twarzy. – Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

Faith otworzyła drzwi.

– Czekał, złotko! – zaprotestował rastaman. – Chyba zapłacisz mi za przejazd i dasz zadatek? Wiesz, taksówka to nie limuzyna. Dobrze ci z oczu patrzy, ale mimo szczerych chęci żyjemy w podłym, pełnym rozczarowań

świecie, więc... pokaż mi mamonę.

– Co pokazać?

– Hej, żarty na bok, jeśli chodzi o szmal. Jestem na dorobku, a mój szef nie jest przyjacielem Jah. Nie mogę pozwolić sobie na puste kursy.

– To pewnie teraz o to chodzi. – Faith sięgnęła do kieszeni. – Nie wiem, dlaczego go zabrałam. Myślałam, że muszę pilnować czasu, ale teraz już rozumiem.

– O cholera! – krzyknął rastaman, patrząc na wręczony srebrny zegarek. – To rolex? – Usłyszał, jak zatraskują się drzwi i gwałtownie uchylił szybę. – Prawdziwy!? – zawołał, ale pasażerka zdążyła już zniknąć w tłumie, więc wrócił do oględzin: automatyczne naciąganie, data na cyferblacie, dwie strefy czasowe pokazywane w tym samym czasie, wodoszczelna koperta, model Oysterquartz z najlepszym na świecie mechanizmem kwarcowym 5035/5055. – Prawdziwy, jak jasna cholera.

Podrzucił czasomierz w dłoni, piejąc z zachwytu:

– Jah jest wielkim Bogiem, a Marlon będzie miał własną taksówkę!

Faith wślizgnęła się w tłum. Obecność dookoła tylu ludzi naraz wywołała u niej dezorientację, ale minęła szybko, jak zmiana temperatury po wejściu do wody.

– Stevie! – skandowano zewsząd.

Szczupła sylwetka pozwalała jej powoli, ale regularnie posuwać się do przodu, a mocne barki wytrzymać napór i objęcia tłumu, nie tracąc równowagi.

– Steevie!

Dotarła już tak blisko, że pomiędzy głowami mogła zobaczyć sylwetki niewzruszonych, ponurych ochroniarzy i stalowe drzwi, jak do skarbcza, otwierające się na zewnątrz.

– Steevie!

Na zaimprovizowane podwyższenie wdrapał się mężczyzna; z ufarbowanymi na srebrno włosami, w szarym błyszczącymi dresie i rozłożonymi rękami wyglądał jak wielkomiejskie bóstwo. Tłum na jego widok zareagował histerią, a każdy domagał się uwagi.

– Kobieto, to, że z tobą spałem, jeszcze nie znaczy, że cię znam – mocnym

głosem, cierpliwie odpowiadał na chóralne nagabywania. – Czyim jesteś kumplem? – Pochylił się, nadstawiając ucha. – A, tego dupka z BBC, który wyleciał z wiadomości miesiąc temu. – Wskazał na rozpychającego się, rosłego mężczyznę. – To nie Teksas, kolego, w Londynie w tym kapeluszu wyglądasz jak kretyn.

Jeden z ochroniarzy czujnie ruszył do przodu i zatrzymał kobietę, próbującą bez zaproszenia przedrzeć się przez rozciągniętą wokół wejścia czerwoną wstęgę.

– Linda... jakaś tam? – Selekcjoner zwrócił się do niedoszłej imprezowiczki. – A, z tego gównianego serialu, którego nie oglądam. – Przyłożył dłoń do czoła, obserwując młodego mężczyznę wspinającego się na pobliską latarnię. – Znasz Jimmy’ego? – Teatralnie wytrzeszczył oczy ku uciesze gawiedzi. – To co tu jeszcze robisz? – Machnął ręką i powrócił do przeszukiwania wzrokiem publiki.

Faith spróbowała przedrzeć się do pierwszego szeregu, ale niepokodzony z decyzją selekcjonera „Tekszańczyk” skutecznie blokował drogę. Wybrała najslabszy punkt. Zbiła dłoń w pięść, zrobiła krótki zamach i wyprowadziła dyskretny cios w nerkę. Mężczyzna stęknął, osuwając się na kolano. Chwycił się za plecy, a kapelusz zsunął mu się z głowy.

Faith stanęła przed wstęgą, mierząc wzrokiem otoczenie. Ochroniarzy było trzech; dwóch rozstawionych po bokach, a ostatni tuż przed wejściem. Za większą przeszkodę uznała drzwi. Jeśli zostaną zamknięte od środka, zanim do nich dotrze, sforsowanie stalowej bariery może nastęrczyć jej trudności nie mniejszych niż pierzchający w popłochu tłum.

– Nie w tej szmacie – orzekł selekcjoner.

Faith zerknęła na niego i przeniosła wzrok na fasadę budynku. Na najwyższej kondygnacji dostrzegła koliste okno. *Czarny Lód* może i był najpopularniejszym lokalem w Londynie, ale stanowił tylko częśćkę miejskiej infrastruktury. Obok przylegały wyższe budynki, mieszczące biura, apartamenty oraz przybytki płatnego seksu, i na pewno nie były tak dobrze strzeżone, a każdy z nich posiadał wyjścia przeciwpożarowe prowadzące na dach.

Odwróciła się i już chciała odejść, kiedy poczuła dłoń na ramieniu.

– Powiedziałem tylko, że nie w tej szmacie. – Selekcjoner szczyrzył zęby, kręcąc głową z dezaprobatą. – Pojęcia nie mam, z czyjej szafy ją wyciągnęłaś, kochanie, ale ubliża ci ten motyw.

Faith opuściła głowę, patrząc na napis z odwróconej perspektywy.

– Jesteś piękna jak orchidea na tle tego motłochu – kontynuował selekcjoner, tak żeby stojący dookoła go słyszeli. – Po co to jeszcze podkreślać? I bez tego ja wiem, że ty wiesz, że ja patrzę.

Uśmiech zniknął z jego twarzy i pojawiła się na niej powaga.

– I wiem też, że nie jesteś szmatą – dodał.

Faith zacisnęła dłoń w skórzanej mitence na T-shircie i wzbudzając aplauz publiki, jednym mocnym szarpnięciem rozdarła go, odsłaniając wyrzeźbiony brzuch. Zadarte brodawki przesłaniały poły kurtki, ale różowe krągłości były dobrze widoczne. Ochroniarze, stojący dotychczas jak zakłęci, zaczęli wyciągać szyje, a na twarz selekcjonera powrócił szeroki uśmiech.

Postąpił krok do przodu i odpiął od słupka aluminiowy pierścień z czerwoną wstęgą.

– Zapraszam na *Czarny Lód*.

Kiedy Faith przekroczyła niewidzialną granicę, pierścień za jej plecami natychmiast kliknął, ku rozpaczy tłumu. Selekcjoner miękko położył jej dłoń na karku, wskazując na drzwi. Ochroniarz odsunął się na bok, a te otworzyły się od środka jak zaczarowane.

– Nie czuj się lepsza ani gorsza od tych, których tam spotkasz – wymruczał do ucha. – Zwyczajnie bądź sobą.

– Będę – obiecała Faith.

Weszła do środka i natychmiast zatrzymała się, jakby stanęła na krawędzi urwiska oddzielającego świat realny od krainy snów. Drzwi zamknęły się za nią z łoskotem, ale nawet tego nie zauważyła. Znalazła się w ozdobionym szklanymi mozaikami, odwzorowanym na kryształowe igloo atrium, skąd rozpościerał się widok na przepastną salę, głośną i ciemną jak żołądek wieloryba. Ściany pokrywały fantazyjne stiuki wykonane z marmurowego pyłu. Wieloboczne kolumny podpierały dach, a przez eliptyczny otwór wpadał blask księżyca, odbijając się w umieszczonej na środku sali przerębli zbiornika wodnego. Ruchome światła prześlizgiwały się wzdłuż

spazmatycznie roztańczonego tłumu, chwytając na ułamek sekundy zastygły w nieruchomych pozach gąszcz ciał. Zakamuflowane głośniki grzmiały pełną pierśią rockandrollowego głosu Pat Benatar – *Love Is A Battlefield*.

Faith przeszła pomiędzy ceramicznymi posągami naturalnej wielkości morsów, ostrożnie schodząc na położony kilka stopni niżej, lśniący niczym lodowisko parkiet. Kroczyła, na przemian uchylając się i ocierając o półnagie, upstrzone brokatem spocone ciała. Rozglądała się na boki, mrużąc oczy przed światłem wszechobecných kolorowych reflektorów, wypatrując w ścianach szczelin prowadzących do sąsiednich grot lub schodów na antresolę.

– Hej, nie pchaj się, dziwko!

Poczuła pchnięcie łokciem i obejrzała się przez ramię. Twarz urodziwej filigranowej kobiety, odzianej w klasyczną „małą czarną” i z papuzimi piórami zatkniętymi w kręcone niebieskie włosy, wykrzywił wściekły grymas.

– Wpuszczają tu byle kogo. – Kołysząc się, odchyliła głowę do tyłu, skarżąc się obejmującemu ją za biodra, roznegliżowanemu od pasa w górę kelnerowi z muszką na szyi.

Faith odczekała, aż ciepłe barwy zsuną się z jej skórzanej kurtki. Zrobiła taneczny krok w bok, zmniejszając dystans, i dyskretnie wyprowadziła cios. Trafiona łokciem w nasadę nosa kobieta osunęła się na posadzkę omdlała.

– Co to miało być!?! – krzyknął kelner.

Faith ruszyła na wprost sceny, gdzie królowała charyzmatyczna piosenkarka o ufarbowanych na bursztyn włosach i kocich oczach, ale tłum był zbyt gęsty, więc szybko zrezygnowała, wybierając okrężną drogę. Bar okalający łukiem salę odpierał oblężenie szeregu spragnionych gardeł. Konwersacja pomiędzy uwijającymi się, dokonującymi akrobatycznych cudów w przyrządzaniu drinków barmanami a napierającą na blat klientelą była czysto niewerbalna.

Mężczyzna w beżowej marynarce, o krzywym uśmiechu i dużych smutnych oczach, podchwycił jej wzrok. Szturchnął wychylonego za bar kolegę w ramonesce, z papierosem w mięsistych ustach. Wymienili kilka uwag, zgodnie kiwnęli głowami i nie zważając na otaczający ich wieniec

chudych, ufryzowanych kobiet, ten o smutnych oczach gestem zaprosił Faith do towarzystwa. Uśmiechnęła się, ruszając dalej.

Powiodła wzrokiem wzdłuż schodów znajdujących się za sceną, ale zanim dotarła na antresolę, widok przesłoniła jej wysoka ciemnoskóra kobieta w purpurowej szacie, z seledynowym drinkiem w ręce. Niesygnalizowanym ruchem chwyciła Faith za ramię, a ta, zanim zdążyła zaprotestować, znalazła się na środku parkietu, otoczona kołem roześmianych twarzy. Kobieta w purpurowej szacie jednym haustem dopiła drinka i rzuciła szklankę za siebie. Podeszła do Faith tanecznym krokiem, zacisnęła palce na połach kurtki, przyciągając ją do siebie, a następnie zerwała z niej strzępy koszulki, wrzucając do przerębli, na co widzowie zareagowali gromkim dopingiem. Odpowiedź była natychmiastowa. Faith zdublowała taneczny krok, jej dłoń miękko i zachęcająco opadła na kark kobiety, a gdy ta się nachyliła, szarpnięciem zerwała z niej purpurową szatę, odsłaniając wyrzeźbione jak z marmuru, zjawiskowe ciało. Muzykę zagłuszyły chóralne okrzyki. Kobieta teatralnie uniosła dłoń do ust, udając zawstydzenie. Subtelnie przyjmowała rzucane ze wszystkich stron komplementy, sprawiając wrażenie, jakby wszystkich tu doskonale знаła. Zanim zdążyła rozesłać ostatnie całusy, jej partnerka do tańca zdążyła już wtopić się w tłum. Rozejrzała się dookoła, ale zebrani wzruszali tylko ramionami, wymieniając zawiedzione spojrzenia.

– Stevie cię wpuścił? Przyszłaś tu sama? Możemy pogadać?

Faith przedzierała się przez gąszcz ciał, nie reagując na nagabywania.

– Zaczekaj, ślicznotko! Noc jeszcze młoda!

Zatrzymała się na kawałku wolnej przestrzeni, czując czyjąś dłoń uczeponą jej ramienia. Spojrzała na drapieźnie wbite w skórzaną kurtkę grube palce, a kiedy uścisk zelżał przeniosła wzrok na drobnego człowieczka w brunatnym futrze i jedwabnym bordowym szalu owiniętym wokół szyi.

– Nie patrz na mnie jak na jakiegoś sutenera. – Mężczyzna wypiął brzuch i rozłożył ręce, pusząc się jak kogut. – Jestem Leo „60 sekund”, poświęć mi minutę swojego cennego czasu, ślicznotko, a odmienię twoje życie!

Akustyka w lokalu utrudniała werbalną komunikację, więc Faith musiała się pochylić.

– Czego ode mnie chcesz?

– Mick i chłopaki chcieliby cię poznać.

– Kto to jest Mick?

– Jaja sobie robisz? – Leo odchylił głowę, zaglądając w źrenice młodej kobiety, żeby sprawdzić, czy nie zażyła czegoś, aby zapomnieć o bożym świecie, ale nie, nie były zwężone. – Weź to.

Faith przesunęła kciukiem po wciśniętej w dłoń złotej wstędze.

– To przepustka. – Leo pomógł jej zbić palce w pięść, ukrywając bezcenny podarunek. – Namyśl się, ślicznotko, ale pamiętaj, że noc nie trwa wiecznie!

Faith zmierzwiła aksamitny materiał i zanim się spostrzegła, Leo „60 sekund” ulotnił się po upływie minuty, jak nocne widziadło. Wsunęła wstęgę do kieszeni, powracając do rozpoznania antresoli. Znajdujące się nad sceną, wsparte na półpiętrze kolumnami i łukowatymi wykończeniami pomieszczenie, stanowiące niegdyś teatralną lożę dla znamienitych gości, zostało przesłonięte szkarłatną kotarą.

Przeszła wzdłuż roztańczonych ciał, tworzących ruchomy korytarz pomiędzy barem a sceną, zatrzymując się przed wielkim jak góra ochroniarzem strzegącym schodów. Przyjrzała mu się, zanim zdecydowała się pokazać wstęgę. Ochroniarz bez słowa odebrał ją i rozwinął, patrząc pod skąpe migoczące światło, jakby wypatrywał znaku wodnego. Po dokonaniu pieczołowitych oględzin oddał wstęgę, usuwając się na bok.

Faith chwyciła za poręcz, wspinając się po schodach. Widok półnagiego, upstrzonego brokatem gąszczu ludzkich ciał jawił się w kolorowym świetle niczym jeden wielki, żywy organizm. Na półpiętrze zobaczyła odsłoniętą ukośnie kotarę, zapraszającą na antresolę, a za nią rozbrzmiewał gwar rozmów i stukot szkła wznoszonych toastów. Młoda naga kobieta o długich blond włosach wbiła paznokcie w oparcie fotela. Stała w rozkroku, w samych kozakach, wydając głębokie westchnienia.

Faith spojrzała w bok, dostrzegając schody prowadzące na piętro. Jeszcze jeden postawiony na straży cerber odbił się od ściany, zagradzając przejście. Faith podała mu wstęgę, ten wziął ją do ręki, przesunął między palcami i oddał, kręcąc owalną głową.

– Szcześciara z ciebie – skwitował niskim głosem.

– Jak wielka? – zapytała rzeczowo.

Ochroniarz przesunął językiem po dolnej wardze, obnażając długie lśniące kły. W odróżnieniu od innych nie wyglądał na znudzonego, a jego twarz była całkowicie pozbawiona spontaniczności, jak u wygłaszających referendum polityków albo osób posiadających jakiś nadnaturalny dar.

– Srebrna to przepustka do VIP-ów. – Wskazał głową na zaciemnioną lożę, gdzie przeciągłe westchnienia blondwłosej kobiety przeszły w spazmatyczne jęki. – Darmowa wóda, prochy, rypanko... Będzie co opowiadać przez resztę życia. Złota natomiast daje dostęp również do piwnicy, a tam znajdziesz dzinnów.

– Kogo?

– Agenci, producenci... – Wzruszył figlarnie brwiami. – Kto wie, może dostaniesz coś więcej niż tylko propozycję rżnięcia.

– A co jest na górze?

– Nic ciekawego... dla ciebie.

– Widziałam, że paliło się światło.

– To komnaty króla. – Ochroniarz wzruszył ramionami i przechylił okrągłą jak śnieżna kula głowę na boki, aż coś mu strzeliło w karku. – Jak widzisz, nie jest zbyt gościnnie. Tam znajdziesz same kłopoty.

Faith skinęła głową, dziękując za wyjaśnienia, i jedną ręką niezdarnie spróbowała zawiązać wstęgę na przegubie. Ochroniarz pokręcił głową rozbawiony. Odebrał Faith wstęgę, usłużnie ofiarowując swoją pomoc. Wolną rękę zwiesiła wzdłuż ciała, uśmiechając się, a kiedy ochroniarz pochylił głowę, zawiązując węzeł, przesunęła językiem po dolnej wardze.

Coś błysnęło w świetle reflektora umieszczonego w gardzieli obracającego się pod sufitem ceramicznego niedźwiedzia polarnego naturalnych rozmiarów. Ochroniarz kątem oka dostrzegł zacisniętą pięść z wystającym pomiędzy palcami ostrzem noża do dania głównego. Uniósł ramię i chwycił za chudy przegub. Bez oporów odciągnął dłoń kobiety od swojej szyi. Złapał ją za gardło i powoli, z perwersyjną przyjemnością, zacisnął palce. Zdziwił się, że nie stawiała oporu, nawet kiedy jej stopy oderwały się od posadzki. Zrozumiał dlaczego, dopiero gdy pojawiły się trudności z przełykaniem. Nie mógł też jej zrugać, bo na język zamiast śliny wypłynęła gęsta ciecz o słodkim, metalicznym posmaku. Mimo woli puścił przegub i gardło

kobiety. Opadła na posadzkę; na palcach, jak baletnica. Zakreśliło mu się w głowie, więc oparł się plecami o ścianę. Palcami wymacał rękojeść noża wbitego w szyję, tuż pod uchem i aż po nasadę. Osunął się, zostawiając na ścianie szkarłatne rozbryzgi tryskające z pulsującej tętnicy, ale nie runął na posadzkę jak ścięte drzewo. Ta kobieta podtrzymała go, pozwalając mu upaść z godnością. Może dlatego, że był dla niej miły? Kto wie? „W każdym razie bardzo chciała dostać się na górę” – pomyślał i zamrugał, próbując okiełznać nadciągającą niczym katarakta ciemność, ale ta z każdym ruchem powiek tylko się pogłębiała.

Faith chrząknęła, udrażniając ściśnięte gardło.

– Same kłopoty.

Wypuściła z objęć ciało ochroniarza i obróciła głowę, spoglądając na zastygłą w grymasie przerażenia twarz blondwłosej kobiety. Z jej rozchyłonych ust nie dochodziły już ani westchnienia, ani jęki. Słysząc było tylko sapnięcia stojącego za nią długowłosego mężczyzny o chorowitej, szczupłej sylwetce.

Faith zerwała się z kolan. Blondynka wstrzymała oddech, a posuwający ją chudzielec odchylił głowę, głośno dochodząc. Faith szarpnięciem rozwiązała supeł grubego frędzla i szkarłatna kotara opadła, zasłaniając lożę.

– Tym razem „Wielkiemu” odbiło bardziej niż zwykle – pomyślał na głos Jimmy.

Schody zatrzeszczały pod ciężarem jego 150-kilowego ciała.

– Sharky?! – zawołał chrapliwym głosem, jakby coś utkwilo mu w gardle.
– Tylko mi nie mów, że znowu musiałeś do kibla!?

Spojrzał pod nogi, wzdrygnął się i począł rozglądać wybałuszonymi oczami.

Faith poruszyła się, zdradzając swoją obecność. Dobyła zza paska lśniący rewolwer, zanim mężczyzna zdążył odwinąć połą marynarki i sięgnąć do umieszczonej pod pachą krzyżowej kabury. Zmniejszyła dystans o krok, naciskając spust.

Strzeliła niemal z przyłożenia; wybałuszone oczy wyskoczyły z roztrzaskującej się jak arbuz czaszki. Kawalki kości i mózgu wylądowały na ścianie. Za kotarą rozległy się dźwięki tłuczonego szkła oraz

przewracanych mebli. Goście na *Czarnym Lodzie* zaczęli zadzierać głowy i pokazywać coś sobie palcami. Muzyka wciąż grała, ale wokalistka już nie śpiewała.

W powiększającej się kałuży krwi na ułamek sekundy odbił się cień Faith. Stała na szczycie schodów i uklękała. Trzymała przed sobą oburącz rewolwer, celując w dół. Najpierw usłyszała dudnienie ciężkich kroków, potem pojawił się cień, a za nim uzbrojony ochroniarz. Celował za wysoko; tam, gdzie spodziewał się znaleźć korpus napastnika. Rozległ się kolejny ogłuszający huk, jak zwiastun nadciągającej nad miasto burzy. Kula magnum 44 przeszła przez rozdziawione w niemym krzyku usta, wybijając przednie zęby, i wyszła przez potylicę, odrywając tył głowy. Bezwładne ciało runęło ze schodów, zatrzymując się dopiero na parterze, pod nogami wychodzących z sąsiedniej sali gości. Na marmurowej ścianie pozostał tylko ślad po kuli otoczony krwawą pieczęcią.

Faith poruszała się z finezyjną swobodą, jak łyżwiarka figurowa. Każdy postawiony krok, rzut oka przez poręcz i zwrot za kolumnę, tuż przed tym, zanim posypał się grad kul, został wykonany z perfekcją, jak układ choreograficzny. Zapamiętała, skąd padły strzały. Pomimo rozległej przestrzeni oraz słabej widoczności ochroniarze nie byli trudni do namierzenia. W szturmującym frontowe drzwi, tratującym się nawzajem kolorowym tłumie wyróżniali się wzrostem i masywnymi sylwetkami w stonowanych ciemnych garniturach, jak ożywione cienie.

Najbliższy z nich stał na wysokości eliptycznego świetlika. Rozjuszony niedźwiedź obracał się, wypatrując potencjalnej ofiary, a migoczący w gardzieli reflektor wyławiał z ciemności obrazy, zatrzymując je na ułamek sekundy jak w stopklatce.

Zza kolumny wyłonił się rewolwer.

Mężczyzna w dole złożył się do strzału.

W sali rozległ się skomasowany huk wystrzałów i niesłabnąca muzyka. Przyklejona ramieniem do kolumny Faith zmrużyła oczy. Kilka centymetrów od jej ucha pocisk odłupał kawałek marmuru, wzburzając pył osiadający na rzęsach. Trafiony w pierś ochroniarz odskoczył do tyłu jak zdmuchnięty z posadzki, lądując na opustoszałym w okamgnieniu, zastawionym

porzuconymi drinkami blacie baru.

Ostrzał się wzmógł. Faith wycofała się, przywierając plecami do kolumny. Marmurowy filar, podpierający na półpiętrze sufit, sypał się z obu stron jej sylwetki. Strzelców było co najmniej dwóch. Rozstawieni po bokach sali wzajemnie się uzupełniali, cierpliwie wypatrując najmniejszego ruchu. Seria z samopowtarzalnej broni krótkiej, wzajemna asekuracja podczas wymiany magazynku i gotowość do strzału. To nie były weekendowe wykidajła, tylko obeznani z bronią, nauczeni zabijać żołnierze mafii.

Wzięta w kleszcze rozejrzała się, analizując możliwości. Do osłoniętej kotarą łoży dla VIP-ów miała trzy kroki. Do schodów prowadzących na piętro już tylko dwa. Mogła zaryzykować skok, ale wiedziała, że oni na to czekają. Nie mogła też wziąć ich na przeczekanie; uciekający w popłochu tłum zdążył już wybiec na ulicę. Przyjazd policji i oblężenie budynku pozostawał kwestią kilku minut.

Na dole ochroniarze zaczęli się niecierpliwić. Obaj doskonale się znali i szczerze nie znosili, ale oprócz wiążącego ich dozgonnie cyrografu podpisanego z „Wielkim” Bobem Brodinem mieli jeszcze inny powód, żeby dorwać drania ukrywającego się na górze. Ten trzeci, leżący martwy na barze, nazywał się Sean Sullivan i był bratem jednego, a zarazem przyjacielem drugiego. Znajdujący się bliżej schodów prowadzących na półpiętro Douglas Sullivan dał znać ruchem głowy Kevinowi Woodsowi, żeby ten go osłaniał. Skinieniem otrzymał nieme zapewnienie i długimi, bezszelestnymi krokami, celując w kolumnę, zaczął zbliżać się do schodów. Widział śmierć z bliska wystarczająco wiele razy, żeby przestała już robić na nim wrażenie, ale fakt, że przed chwilą sprzątnięto jego młodszego brata, a także widok ubitego jak obuchem Eddiego Crispa, zadziałał na niego jak lodowaty deszcz, potęgujący moralnego kaca. Kostucha rozwinęła przed nim swoją listę i znalazł na niej znane mu nazwiska. Przypomniał sobie pocałunek złożony na krucyfiksie matki, kiedy mały Seanie postanowił pójść jego śladami, oraz poręczenie u szefa, dane przez kumpla na *Czarny Lód*, na którym mimo konkurencji udało mu się utrzymać.

Doug Sullivan rozkojarzył się i ułamek sekundy za późno dostrzegł cień wychylający się zza kolumny. Z ciemności wychynęło samo ramię. Zgięte

w łokciu i gotowe na odrzut. Usłyszał huk, ale sam też zdążył wystrzelić. Podniósł wzrok. Umieszczony pod sufitem metalowy hak odbił kulę, kołysząc się jak bombka zawieszona na choince. Zabezpieczenie puściło, a gruba pleciana lina wyśliznęła się ze świstem. Ceramiczny posąg osunął się, obracając na wbitym w grzbiet uchwycie, obierając ostatecznie nieprzewidziany kierunek. Sullivan obrócił się w samą porę, żeby dostrzec, jak rozkołysany na podtrzymującej linie niedźwiedź polarny szarżuje na niego z prędkością lawiny i uderza w pierś, łamiąc żebra, a także pozbawiając tchu.

Faith gwałtownie zrobiła zwrot, chwytając się za ramię. Kula przeszła skórzaną kurtkę i mięśniem rozcięła jej skórę. Zignorowała ból. Przyłgnęła plecami do filaru i obróciła się, wychylając z drugiej strony. Liczyła na dezorientację pozwalającą na czysty strzał, ale zamiast tego otrzymała szeroki uśmiech losu. Drugi z ochroniarzy rzucił się do ucieczki. Minął zbiornik wodny i zapamiętałe wyrzucał przed siebie kolana, pokonując salę niczym sprinter. Faith wolno podniosła wyprostowane ramię, obierając ruchomy cel. Napięła kciukiem kurek. Rozległo się ciche kliknięcie. Mężczyzna wskoczył na poziom atrium i nie odwracając się, uderzył barkiem w drzwi, wybiegając na ulicę.

Przechyliła głowę, spoglądając na rewolwer, jakby widziała go po raz pierwszy. Otworzyła sześciokomorowy magazynek, wyrzucając łuski. „Dwa w *Josephine* i cztery tutaj”, naliczyła, wyciągając z kieszeni zapasowy magazynek. Smith & Wesson nie miał przed nią żadnych tajemnic. Potrafiłaby go rozłożyć na części i z powrotem, jak układankę, ale doświadczenia nie zastąpi żadna wiedza. Ta nieuwaga mogła ją kosztować życie, upomniał głos. Przekaz był krótki i treściwy, a ona niepozostawiona samej sobie. Poczowała ulgę.

Kątem oka dostrzegła mężczyznę wyłaniającego się spod sceny. Nie zachowywał się jak zdjęty strachem imprezowicz, który zamiast karkołomnej ucieczki wybrał bezpieczną kryjówkę. Miał długie do pasa, spięte w kucyk jasne włosy i biały golf pod stonowaną ciemną marynarką. Uniósł rękę, jakby wskazywał na Faith oskarżycielsko palcem. Strzał był natychmiastowy i precyzyjny. Sama mogłaby się takim poszczycić, musiała przyznać.

Najpierw poczuła ukłucie w lewym oku, jakby coś jej do niego wpadło, a nanosekundę później, mimo woli, zadarła głowę. Eliptyczny otwór w suficie wykrzywił się pod nienaturalnym kątem i upadła z rozrzuconymi rękami, jak strącony w locie ptak.

Floyd Knox miał w życiu dwie pasje. Pierwszą były pieniądze, a drugą sposób, w jaki je zarabiał. Był exterminatorem zakontraktowanym przez „Wielkiego” Boba Brodina, wiodącym dostatnie życie, w którym za sowite wynagrodzenie, rzecz jasna, mógł realizować własną pasję. Na jego ponadtrzydziestoletniej karierze kładł się tylko jeden cień; czarny jak smoła. Wieczór sprzed dwunastu lat, kiedy to nieznacznie się pomylił, strzelając z okna hotelu do wychodzącego z teatru Alexa Nipara. Odczynił pokutę i tydzień później, wezwany przez bliźniaczych mocodawców, stawiał się na spotkanie z ogoloną na znak szacunku głową, a także zawiniętym w chusteczkę, własnoręcznie odrąbanym na pieńku siekierą palcem wskazującym, którym pociągnął za spust. Na Mickeyu jego skrucha nie zrobiła wrażenia. Niemal niezauważalnym skinieniem głowy dał znać stojącemu za jego plecami Eddiemu Crispowi, żeby dokonał satysfakcjonującego zadośćuczynienia klasyczną garotą, ale Boba rozbawiło takie osobliwe poświęcenie. Wytrząsnął jego odrąbany palec z chusteczki na blat biurka i spytał, jak będzie teraz strzelał bez tego cholernego palca. Na co Floyd odparł, że jest ambideksterem. Bob nieznacznie skinął głową i machnięciem ręki rozkazał Eddiemu wyprowadzić go na korytarz. Przez następny, ciągnący się jak stulecie kwadrans ważyły się losy jego życia. Eddie leniwie grzebał sobie wykałaczką w zębach, podczas gdy zza drzwi dochodziły szczątkowe słowa burzliwej dyskusji. Coś też rozbiło się o ścianę, ale ostatecznie Bob przekonał swojego brata, że komuś takiemu jak Floyd Knox należy dać drugą szansę. Od tamtej pamiętnej audyencji u Brodinów powziął żarliwe postanowienie. Jeśli kiedykolwiek lekarze zdiagnozują u niego AIDS, białaczkę, raka albo jakieś inne choróbko, które w przybliżeniu określi datę jego śmierci, to najpierw zabije Mickeya, choćby miał sobie odrąbać wszystkie palce u rąk i nóg. Natomiast za Boba odda życie, nawet jeśli jego własne miało skończyć się przed wschodem słońca.

Okrażał scenę, pod którą tak dobrze się bawił. Stawiał stopy na wycucie,

w dalszym ciągu mierząc ponad barierkę na antresoli. Z palcem na spuście wypatrywał jakiegokolwiek ruchu. Mógłby się założyć o całą dłoń, że położył tego gościa czystym strzałem, ale o własne życie już nie. Od dwunastu lat nie wierzył nikomu w nic, zaczynając od pogodynki po wieczornych wiadomościach, kończąc na własnej matce, zaręczającej, że to właśnie ona go urodziła. Kazał jej wygrzebać ze strychu akt urodzenia, bo popadł w paranoję, ale to właśnie ona trzymała go przy życiu. Musiał być całkowicie pewien, zobaczyć i dotknąć stygnącego ciała, żeby tylko odpędzić powracające w koszmarach widmo garoty zaciskającej się na jego szyi. Dostał drugą szansę i nie zamierzał jej zmarnować.

Przestąpił przez ciało Eddiego, pozwalając sobie na chwilę refleksji. Zabawną ironią losu wydał mu się fakt, że „być może” sprzątnął gościa, który sprzątnął gościa, który omal nie sprzątnął jego. Tym prędzej pospieszył na górę, żeby się przekonać. Najpierw zobaczył Sharky’ego, ten domorosły filozof, parający się w wolnym czasie wróżbiarstwem, pewnie zasłużył sobie, żeby zarżnięto go jak cielę, ale to, co zostało z rubasznego Jimmy’ego, było już przesadą.

Tuż pod kotarą leżał ktoś obcy. Floyd podszedł bliżej, odsunął stopą rewolwer i pochylił się, upewniając, że drugi raz się nie pomylił. Zmrużył krzaczaste, jasne brwi, chowając pistolet do kabury przy biodrze. Kobieta? Spróbował sobie przypomnieć, kiedy zabił ostatnią. Obrazy sztywnych twarzy przesunęły mu się w pamięci, jednak żadna nie należała do kobiety. Na pewno takie były. W czasach służby wojskowej brał zlecenia, żeby dorobić do żołdu, ale potem wyrobił sobie markę i otworzył nowy rozdział w życiu, przechodząc do sektora prywatnego. Skrupulatnie wybierał oferty, wybrzydząc do woli.

– Żadnych kobiet – wyszeptał, przypominając sobie, że ostatnią była Lisa Nipar.

Krew sączyła się z oczodołu przez galaretowatą miazgę, zalewając profil młodej, urodziwej twarzy. Strzał był perfekcyjny, ale Floyd myślał, że będzie jej więcej. Kucnął, żeby przekonać się, że nie ma przywidzenia, i przyłożył dwa palce do szyi kobiety. Puls był wciąż wyczuwalny. Zajrzał w ziejącą, śmiertelną ranę i wstrzymał oddech. Głęboko w oczodole, za rozerwaną kulą

galaretowatą masą, zobaczył coś, co w rażący sposób podważyło jego sposób postrzegania świata.

Coś, co nie powinno istnieć. Coś nieludzkiego.

A to coś na niego patrzyło.

– Święty Hubercie... – wyszeptał drżącymi ustami. Dłoń odruchowo powędrowała do biodra, ale zamiast broni zdążył jedynie wziąć ostatni oddech. Kobieta błyskawicznie podciągnęła kolana. Trafiony złączonymi stopami z siłą końskich kopyt exterminator uderzył plecami o balustradę. Złamało się drewno i kręgosłup. Spadając z półpiętra głową w dół, Floyd wiedział, że taka wysokość nie zagraża jego życiu, ale po tym, co przed chwilą zobaczył, już niczego nie mógł być pewien. Poza jednym.

Nie ma już nikogo, kto dałby mu trzecią szansę.

Faith podciągnęła nogi, odepchnęła się łokciami i usiadła. Rozejrzała się dookoła, jak ktoś zbudzony z głębokiego snu i potrzebujący chwili, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest. Podniosła się, podeszła do krawędzi półpiętra. Wsunęła stopy pomiędzy sterzące kikuty pionowych prętów i spojrzała w dół. Mężczyzna, który do niej strzelił, leżał nieruchomo na środku sceny, z nienaturalnie wykręconą głową.

Podniosła wzrok, omiatając salę. Czerwona tęcza w oczodole rozszerzyła się, jak obiektyw zwiększający rozdzielczość. Widziała ich wszystkich; leżących na podłodze, skulonych za barem oraz ukrywających się w sąsiednich grotach za marmurowymi ścianami. Odwróciła się, podniosła rewolwer i wprowadziła do komór kolejnych sześć naboju. Spojrzała na schody prowadzące na piętro. Król już na nią czekał, obwieścił głos.

Ruchem nadgarstka zatrzasnęła bęben smith & wessona. Najniższy stopień zatrzeszczał pod jej stopą, więc przysunęła się plecami do ściany. Korytarz na najwyższej kondygnacji rozjaśniało skąpe światło żarówek, przesłoniętych przydymionymi kloszami. Zakrwawioną dłonią nacisnęła wyłącznik na ścianie.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się drzwi, a za nimi czarne szkice mebli na tle pustych czerwonych przestrzeni. Zatrzymała się w połowie drogi. Pasek złocistego światła przeciął cień. Za znajdującymi się na końcu

korytarza drzwiami pojawiła się amarantowa smuga, przybierając podłużny, pionowy kształt. Faith dostrzegła przyklejonego do niej platynowego kleksa o spiczastej formie.

Stała w lekkim rozkroku i wycelowała w owalny amarantowy wierzchołek.

*

– ...pojutrze koncert *Live Aid*. Równocześnie na stadionie JFK w Filadelfii i Wembley w Londynie zagrają...

– Gapiłeś się na mnie, bo wydaje ci się, że już mnie gdzieś widziałeś? – Palicki oparła się ramieniem o bar i głośno postawiła swój kufel na blacie. – Czy dlatego, że dopiero chciałbyś mnie poznać?

Nieznajomy wyprostował się na stołku i spojrzał na nią dużymi, piwnymi oczami.

– Przepraszam...

– Nie przepraszaj, tylko odpowiedz.

Uniósł rękę, wskazując na lustro za barem.

– Wydawało mi się, że skądś panią znam.

– *Déjà vu*?

– Brzmi jak nazwa jakiejś francuskiej potrawy. – Przesunął ręką po bujnych blond włosach. – Teraz to ty się na mnie gapisz.

Palicki uniosła kufel do ust.

– Bo zastanawiam się, czy jesteś dobrym pomysłem.

Nieznajomy uśmiechnął się i pstryknął palcami.

– Naprawdę już cię gdzieś widziałem.

– Jeszcze nic nie widziałeś. Oglądasz stare filmy?

Wzruszył ramionami.

– Jasne.

Palicki pochyliła się, zaglądając mu prosto w oczy.

– Wymień ulubiony.

Nieznajomy znowu się uśmiechnął. A może wcale nie przestał, Palicki nie była pewna.

– *Okno na podwórze.*

Siłą woli powstrzymała się od uśmiechu. Miał poczucie humoru, był dobrze ubrany, szczupły i przystojny. Ale wciąż nie była pewna.

– Jesteś żonaty?

Nieznajomy położył dłonie na blacie.

– Już nie.

– Kuchnia wegetariańska?

– Zdecydowanie nie.

Palicki przechyliła głowę.

– Co myślisz o dzieciach?

– Żadnych nie znam. No może... poza córką moich sąsiadów, ale ona ma już piętnaście lat.

– A jakiej słuchasz muzyki?

– Różnej. To przesłuchanie?

– Ostatnie pytanie. Ulubiony zespół?

Nieznajomy roześmiał się, kręcąc głową.

– Queen.

Palicki obejrzała się przez ramię. Stojący przy dystrybutorze Murph bacznie ją obserwował, a kiedy podchwyciła jego wzrok, pokręcił głową. Uśmiechnęła się, unosząc brwi.

– Chodź. – Stuknęła kuflem w butelkę Jamesona. – Puszczę ci swój ulubiony kawałek.

*

Sierp księżyca za kolistym oknem przesłoniły o ciężałe granatowe obłoki.

„Wielki” Bob Brodin wychylił się zza swojego okazałego fotela.

– Donnie?

– Jestem, proszę pana – odparł wierny doradca, stojąc od kilku minut w bezruchu z głową przyciśniętą do dębowych drzwi.

– Nikt na dole nie odbiera... – „Wielki” Bob niedbale rzucił słuchawkę na widełki ściągniętego z biurka aparatu. – Co tam się, kurwa, dzieje?

– Nie wiem, proszę pana, ale przestali już strzelać. – Donnie odkleił

czerwone ucho od drzwi, spoglądając przez ramię. – Może pójde sprawdzić?

– Ani mi się waź! – warknął „Wielki” Bob, wyglądając małymi kaprawymi oczkami znad biurka. – Kto się, kurwa, ośmiela strzelać w moim klubie?

Donnie wzruszył brwiami.

– Może premier Thatcher?

– Bardzo śmieszne! – „Wielki” Bob wymachiwał gniewnie piąstką. – To mój klub i tylko ja mogę w nim strzelać.

– Pozwolę sobie przypomnieć panu, że już dawno temu sugerowałem, aby przeszukiwać gości. Przynajmniej tych z ulicy, ale pan uznał, że odwiedzające nas osoby mogłyby zarzucić nam niegościnnosć i posądzić o nietakt.

– Pamiętam, co powiedziałem, dupku! A teraz ty mi powiedz, co robić, do cholery?

– Jesteśmy w takiej sytuacji pierwszy raz. Naprawdę nie wiem, co moglibyśmy...

– Nie wiem, nie wiem... gdybym chciał mieć papugę, tobym ją sobie sprawił. Zamiast niej mam ciebie. Jesteś moim pieprzonym doradcą, Donnie. Rób, co do ciebie należy!

– Spokojnie, panie Brodin. Jestem skłonny założyć, że już po wszystkim i nikt panu nie zagraża. Jednak lada chwila przyjedzie tu policja, a obaj doskonale zdajemy sobie sprawę, że ich obecność na *Czarnym Lodzie* jest wielce niepożądana. – Donnie mówił spokojnie, starając się zapanować nad niepokojem szarpiącym jego wnętrzem jak ryba uwięziona w sieci. – Dlatego jestem zmuszony nalegać, aby pozwolił mi pan opuścić swój gabinet, żebym mógł naocznie ocenić konsekwencje tego... incydentu i przedsięwziąć stosowne środki.

„Wielki” Bob rozważył propozycję, drapiąc się po swojej lśniącej, ogolonej do skóry głowie.

– Nie, to gówniany pomysł!

– Ma pan lepszy?

– Zaczekamy na Jimmy’ego.

Donnie opuścił kąciki ust, z dezaprobatą kręcąc głową.

– Z całym szacunkiem dla pańskiej pomysłowości, ale w sprawie życia lub

śmierci osobiście nie polegałbym na Jimmym „Hot-dogu”.

Kaprawe oczka szefa zniknęły znad krawędzi biurka. W gabinecie zapadła grobowa cisza, zmacona pełnymi namysłu chrapnięciami i sapnięciami.

Po dłuższej chwili „Wielki” Bob wynurzył się zza biurka jak krokodyl z rzecznej otchłani.

– No dobrze, idź i zobacz. Ale masz zaraz wrócić!

– Proszę się nie martwić – uspokoił doradca, ale jakby na przekór swoim zapewnieniom sięgnął do przypiętej do pasa kabury po broń, zanim przekręcił klucz w zamku. – Wrócę, zanim się pan...

Drzwi zatrzęsły się we framudze i Donnie upadł na podłogę jak ścięty.

– O kurwa! – krzyknął „Wielki” Bob, kuląc się, jakby usłyszał grzmot pioruna. – Niedobrze, niedobrze... – Wychylił się na czworakach zza biurka, spoglądając kolejno na ziejącą w drzwiach dziurę po kuli i bezwładne ciało doradcy z roztrzaskaną czaszką. – Bardzo źle. – Sięgnął po wciąż spoczywającą w martwej dłoni Donniego broń.

Za drzwiami rozległy się kroki; wolne, ale pewne. Ten, kto je stawiał, nie spieszył się, ale też nie krył swojej obecności. „Wielki” Bob odwrócił wzrok od drzwi i w poszukiwaniu drogi ucieczki, z odcisniętą na twarzy trwogą, spojrzął w okno. Odziedziczony po matce temperament przesłonił, jak chmura księżyc, najsilniejszy ludzki instynkt, jakim jest wola przetrwania. Umysł sparaliżowała najczarniejsza wizja, jaka tylko mogła powstać w głowie „Wielkiego” Boba Brodina.

– Daj spokój, Tyler. Przecież to nie ja – wyszeptał z modlitewnym pietyzmem na ustach. – To nie ja! – wrzasnął zza biurka. – Słyszysz!?

Kroki ucichły. Mosiężna klamka poruszyła się, wydając ciche szczęknięcie.

„Wielki” Bob wybałuszył oczy, głośno przełykając ślinę. W odróżnieniu od brata nie był zwolennikiem dialogu. To, co Mickey nazywał w biznesie negocjacją, on czczył gadaniną, równie skuteczną w przekonywaniu opornych, co wobec nawałnicy; prosząc żywioł, aby ominął jego dom. Nie, „Wielki” Bob był człowiekiem czynu.

Wynurzył się zza biurka, oparł ramiona o blat i szybkimi, nerwowymi szarpnięciami za spust wystrzelił w drzwi cały magazynek. Refleksja przyszła dopiero, kiedy drzazgi opadły na dywan. Mały rewolwer kaliber 22,

z krótką lufą, stanowił poręczne i dyskretne zabezpieczenie, ale nie był w stanie przebić zrobionych na zamówienie, dębowych drzwi.

„Wielki” Bob z irytacją spojrzął kolejno na broń i zwłoki swojego doradcy. Martwa twarz Donniego Donovitza, świeć Panie nad jego duszą, miała ten sam beznamiętny wyraz co za życia. Ulubiony doradca jak zwykle okazał się irytująco przewidujący. „Nic dziwnego”, pomyślał „Wielki” Bob. „Donnie był wart każdego wydanego nań funta i każdej obitej dziwki, przy których zdejmował maskę niewzruszonego profesjonalisty. Niestety jego kontrakt przedwcześnie wygasł. W biznesie tak bywa”.

– No dobra, jak sobie chcesz, ty podstępny, szalony gnojku. – „Wielki” Bob cisnął rewolwerem w drzwi i schował się za biurkiem. – Chcesz ze mną zatańczyć?! – Wyłonił się, raczkując w stronę przylegającej do gabinetu łazienki. – Już ja z tobą zatańczę! – Sięgnął do klamki, otworzył drzwi na oścież i nie zapalając światła, zniknął w ciemnym pomieszczeniu. – Cóż to będzie, kurwa, za taniec!? – Ze środka dobiegł odgłos przesuwania po terakocie czegoś ciężkiego. – Mój ulubiony! – Wyskoczył z łazienki, ściskając w rękach radziecki karabinek automatyczny AK-47. – Kostucha prosi do tańca! – Pociągnął za dźwignię przełącznika mechanizmu spustowego, przestawiając na opcję prowadzenia ognia ciągłego, przyłożył umocowaną na stałe kolbę do złączenia ramienia z barkiem i wpakował w drzwi całą serię trzydziestu nabojów w magazynku.

Po drugiej stronie, w pogrążonym w ciemności korytarzu, rozbłysło światło. Drobiniki kurzu i pyłu tańczyły w złocistych snopach, sączących się z gabinetu przez otwory w drzwiach.

Faith wyszła z cienia wnęki prowadzącej do sąsiedniego pomieszczenia.

„Wielki” Bob stał jak skamieniały – gdyby karabinek zamienić na ręcznie wykonaną wędkę, a ciemny garnitur na futro z kapturem, mógłby do swojej kolekcji dołożyć posąg Eskimosa. Zdjął palec ze spustu. Kropelki potu lśniły na jego łysej głowie, podczas gdy serce boleśnie tłukło się w piersi.

Wstrzymał oddech, widząc, jak ktoś zagląda przez dziurę na wysokości swojej głowy, i odruchowo odliczył jakieś 180 centymetrów. „Tak”, upewnił się, „przygląda mi się powiększona źrenica otoczona granatową tęczęwką”.

Szarpnął za spust. Rozległo się ciche „klik”. Magazynek był pusty. Zdjął

rękę z łoża karabinku i wolno sięgnął do kieszeni po zapasowy. Całą siłą woli starał się nad sobą zapanować, powstrzymując od wykonywania gwałtownych ruchów. Tak jakby obserwował go drapieźnik.

Oko zniknęło w otworze.

Po chwili znowu się pojawiło. Na wysokości 135 centymetrów, gdzie znajdowała się jego głowa. Błysnęła żółta źrenica i czerwona, rozszerzająca się tęczęwka.

– Kim ty, kurwa, jesteś!? – zawołał, ciskając bezradnie pustym magazynkiem w drzwi.

W odpowiedzi poszatkowane kulami drewno zostało wyłamane z drugiej strony. „Wielki” Bob zobaczył w wyrwie zaciśniętą pięść w czarnej skórzanej mitence i rzucił się biegiem do łazienki. Zatrzasnął za sobą drzwi, aby natychmiast je otworzyć. Wyskoczył z łazienki, złamał kolbę karabinku klamkę i ponownie się ukrył.

Skulony pod umywalką słuchał dochodzącego z zewnątrz trzasku pękającego drewna, mocując się z łukowym magazynkiem. AK-47, rocznik ’49, długo leżał w schowku pod wanną „Wielkiego” Boba. Właściciel traktował go jak eksponat muzealny, którym okazjnie można się pochwalić, i mimo że uchodził za niezawodny, czas zrobił swoje. Karabinek był zakurzony oraz nienaoliwiony.

W pasku światła pod drzwiami pojawił się cień. „Wielki” Bob wstrzymał oddech. Cień zniknął. Rozpłynął się w świetle jak jeden z duchów, których w dzieciństwie on i Mickey tak bardzo się bali. Drzwi zatrzeszczały we framudze, jakby uderzył w nie taran.

Na usta „Wielkiego” Boba spontanicznie zaczęły się cisnąć słowa modlitwy:

– *Boże, użycz mi pogody ducha...*

„Jeb!”

– *...abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić...*

„Łup!”

– *...odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić...*

„Jeb!”

– *...i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego.*

Drzwi ustąpiły, upadając na terakotę. Ten, kto stał w progu, odstawił fotel i pchnął go z powrotem w stronę biurka.

„Wielki” Bob czmychnął jak spłoszona mysz w kąt, między ścianę a sedes.

Otoczony blaskiem światła, z twarzą pozostającą w cieniu, zabójca przekroczył próg łazienki. Uniósł wyprostowane ramię i w ciemności zalśniła stal. Z bliska rewolwer wydawał się wielki jak armata.

„Wielki” Bob schował głowę między ramiona, desperacko zasłaniając się krótkimi rączkami. Usłyszał kliknięcie spowodowane odciągnięciem kurka i pomyślał o rodzinie; nieżyjącym ojcu, którego jako dziecko bał się bardziej niż samego diabła, o despotycznej matce znającej na wyrywki Stary Testament, ale też i o młodszym o cztery minuty bracie, Mickeyu. Jedynej osobie na świecie, jaką kochał zgodnie z Bożą nauką, czyli bardziej niż siebie samego. „Może Mickey miał rację”, pomyślał w czarnej godzinie „Wielki” Bob. „Negocjacje w biznesie, to coś więcej niż czcza gadanina”.

– Słuchaj, mam tu pół miliona funtów w gotówce! – krzyknął zza kibla. – Może być twoje! – Zachowywał się jak skazaniec wygłaszający ostatnią mowę, żeby tylko odwlec wykonanie wyroku. Ale kat go nie słuchał.

Podszedł bliżej, do umywalki, i przyłożył zimną lufę do spoconej głowy „Wielkiego” Boba.

– Nie wierzę, że Tyler zapłacił ci więcej. – Gangster chlipał jak małe dziecko. – Dlaczego? – Opuścił rączki i podniósł wzrok na swojego zabójcę. – Jeśli nie dla pieniędzy, to powiedz chociaż dlaczego?

Czerwona tęcza rozblęła w oczodole, zwiększając rozdzielczość.

– Żyjemy w podłym, pełnym rozczarowań świecie.

CZEŚĆ 4

SELEKCJONER

Rozdział 8

Londyn – 11 lipca 1985 roku

Godz. 23:57

Could You Be Loved – śpiewał w zaparkowanej w zaułku taksówce Bob Marley, a z nim Marlon Mendoza. Taksówkarz kołysał głową, wyglądając przez przednią szybę na niebo. Lubił jeździć nocą. Świat był wtedy spokojniejszy, myśli krążyły wolniej, a łącząca go jedność z Jah bardziej odczuwalna.

Trzasnęły tylne drzwi taksówki i Marlon przyciszył radio, zerkając we wsteczne lusterko.

– Hej, krótko tam zabawiłaś, złotko.

– Możemy jechać – oznajmiła Faith, przyciskając biały ręcznik do twarzy. Marlon zmarszczył czoło.

– Ktoś cię uderzył?

Faith pokręciła głową, nie odrywając ręcznika od twarzy.

– Nie.

– To co się stało?

Spojrzała jednym okiem w lusterko.

– Nie chcę o tym mówić.

– Jak sobie chcesz... – Marlon wzruszył ramionami. – Dokąd teraz?

– Chciałabym trochę pozwiedzać.

– „Pozwiedzać”? – Chyba się przesłyszała. – W środku nocy?

Faith rozsiadła się wygodnie, wyglądając przez okno na wyłaniający się

pomiędzy chmurami sierp księżyca.

– Lubię jeździć nocą.

Marlon wybuchł spontanicznym, tubalnym śmiechem.

– Ja też. – Zapuścił silnik. – Tak się składa, że jestem najlepszym przewodnikiem na północnym brzegu Tamizy.

Faith rozchyliła wargi w czymś, co w założeniu miało stanowić uśmiech.

– Szczęściara ze mnie.

– Pojęcia nie masz.

– O czym?

– Tak się mówi.

Ruszyli. Praca na nocną zmianę wiązała się z jeszcze jednym, niezaprzeczalnym aspektem wpływającym na to, że Marlonowi Mendozie bliższy był świat duchowy niż ten doczesny. Ciągłe obcowanie z wałęsającymi się po zmroku, nietuzinkowymi ludźmi sprawiło, że niewiele mogło go zdziwić, a z zadawania trudnych pytań dawno temu się wyleczył.

Tym razem też zachował się jak profesjonalista.

– Nie ma sprawy, złotko. Możemy jeździć i zwiedzać do rana. – Zacisnął dłonie na poręczy kierownicy, zerkając na błyszczącego na swoim przegubie srebrnego rolexa, kosztującego małą fortunę, i udał, że nie widzi krwi na ręczniku swojej pasażerki. – Na początek proponuję... – zaczął, podkręcając radio.

I tak to już z nim było, z Marlonem Mendozą; nie dociekał i nie osądzał.

Wszystko zostawiał woli Jah.

*

Po drugiej stronie rzeki, na ogrodzonym powlekaną siatką terenie, służącym od pokoleń jako złomowisko, znajdował się dwukondygnacyjny przedwojenny magazyn. Na parterze mieściła się hala, gdzie za dnia segregowano i składowano metal. Piętro wyżej małe klitki przystosowane na biura. Natomiast w wieńczącej budowlę kwadratowej wieżyczce, gdzie niegdyś stało działo przeciwlotnicze ostrzeliwujące bombowce Luftwaffe, urządzona została część mieszkalna. W znajdującym się na rogu oknie

świeciło światło nocnej lampki osłoniętej abazurem, a od gołych ścian pokoju, zaimprovizowanego na sypialnię, odbijał się dźwięk Queen – *The Hero*.

Całe umeblowanie pomieszczenia, obok odrapanej szafki nocnej, stanowiła okazała palma w czerwonej glinianej donicy. Żółty, czterokanałowy, czarno-biały telewizor stał uśpiony na stołku, dwukasetowy radiomagnetofon z autorewersem i wbudowanym mikrofonem brzmiał na parapecie, a na środku rozłożono łóżko polowe typu kanadyjka, z miękkim kieszonkowym materacem. Za właściciela kanadyjki, a także i całego złomowiska, podawał się mężczyzna przedstawiający się imieniem Gavin.

Stelaż z drewna liściastego trzeszczał, trąc o wyłożoną kamiennymi płytami posadzkę. Znad krawędzi łóżka zwisały dwie pary stóp, skierowane palcami w dół, pocierając się i wymachując w powietrznym tańcu. Po bokach większe i owłosione, a w środku te o kilka rozmiarów mniejsze, blade i wypielęgnowane. Wełniany koc w brunatnoszarą kratę wznosił się i opadał jak fala przyboju, w takt rytmicznie poruszających się, zwartych ciał.

– „Masz prawo milczeć. Wszystko, co powiesz, może i będzie użyte przeciwko tobie...” – Gavin z nutką rozbawienia w głosie ekspresyjnie deklamował Prawo Mirandy.

Leżąca pod nim Palicki zadarła głowę, aż jej żyły wystąpiły na szyi, krzycząc:

– Jeszcze raz!

– „Masz prawo...”

– Głośniej!

– Jesteś stuknięta. – Gavin wbił rozczapierzone palce w chudy pośladek partnerki, a drugą rękę podparł na łokciu, zasłaniając jej dłonią usta. – I masz prawo milczeć.

Przez muzykę i krzyki przebił się dźwięk telefonu.

Palicki oddychała spazmatycznie przez rozszerzony nos, zaróżowione z wysiłku policzki uwypukliły jej się nad zaciśniętą na ustach dłonią, a zarysowane pod skórą mięśnie odciągniętych do tyłu ramion lśniły jak wypolerowane płaskie kamienie.

Gavin zniecka ugryzł ją w ucho.

– Mmf... – jęknęła.

Pociągnął zębami za małżowinę jak niesforny psiak.

– Mmmf...

– Coś mówiłaś?

Palicki napała mocniej ustami na jego dłoń.

– Mhm!

– Słucham.

Opadła twarzą w zagłębienie mokrej od potu poduszki. Gavin położył jej dłoń na karku, zasłaniając tatuaż, i odchylił się, wyginając plecy w łuk.

Palicki obróciła głowę na poduszce, ciężko dysząc:

– Odbierz.

Gavin puścił jej kark i wsunął rękę pomiędzy materac a rozgrzany płaski brzuch. Przyspieszył, głośno uderzając biodrami o pośladki.

– Niech dzwoni.

– Nie przestanie.

– Skąd wiesz? – wysapał jej do ucha, obejmując ją ciasno ramionami w talii.

– Mam... przecucie – odpowiedziała drżącymi ustami.

Pisnęła automatyczna sekretarka, nagrywając wiadomość:

– *Cześć, to znowu ja. Nie spodziewałaś się, co? Niestety znowu musimy...*

– Odbierz ten... och... cholerny telefon.

Gavin niechętnie usłuchał. Przestał na nią napierać, oparł się na łokciu, odgarniając z twarzy budzące skojarzenia z lwią grzywą, bujne blond włosy, i sięgnął do kasetowca, naciskając przycisk STOP, a potem pod łóżko po słuchawkę telefonu.

– Kto dzwoni?! – zapytał, nie kryjąc irytacji. – Kto taki?!

Palicki poczuła na policzku jego gorący oddech, a potem, jak się z niej wysunął. Gavin zrzucił koc na podłogę i wyszedł z łóżka, ściskając bezprzewodową słuchawkę, aż pobiełały mu knykcie. Kręcił się nerwowo, spacerując wzdłuż ściany poza kręgiem światła, jak lew schwytyany w klatkę.

– To pomyłka, nie wzywałem... – Urwał i powoli obejrzał się za siebie. – Inspektor Nell Palicki?

Palicki przewróciła wciąż zamglonymi oczami. Podobnie jak przedtem

dobry, teraz udzielił jej się od Gavina zły nastrój. Napięła mięśnie brzucha, podnosząc głowę z poduszki, i wykręciła szyję, oglądając się przez ramię. W skąym świetle przesłoniętej abażurem żarówki widziała jego rozbudowaną, lśniącą od potu, pokrytą starymi bliznami klatkę piersiową i wciąż potężną erekcję w białej prezerwatywie. Z rozdrażnieniem uświadomiła sobie fakt, że najlepsza godzina, jaką przeżyła od wielu tygodni, właśnie dobiegła końca i czas wracać do szarej, brutalnej rzeczywistości.

– To do mnie.

Szeroko otwarte oczy Gavina rozbłysły w półmroku. Obserwował Palicki, stojąc w bezruchu, jakby kontemplował jakiś rzadki egzotyczny okaz.

Po chwili potrząsnął głową, szybko podszedł i usiadł na krawędzi łóżka.

Pochylił się, przykładając jej słuchawkę do ucha.

– Dobrze się bawisz, Palicki? – zapytał z rozbawieniem dźwięczny głos.

– Już nie – warknęła. – Jak mnie znalazłeś, Alan?

– Murph spisał numer rejestracyjny samochodu tego gościa, z którym odjechałaś. – Po drugiej stronie linii rozległ się z trudem powstrzymywany śmiech. – Niekarany, jeśli chcesz wiedzieć.

Kątem oka zerknęła ponad słuchawkę na zastygłą w skupieniu twarz Gavina. „Z tej odległości musiał słyszeć każde słowo”, pomyślała. Jej i Alana.

– Urodzony z ciebie detektyw. Czego chcesz?

– Mówi ci coś nazwa: *Czarny Łód*?

Palicki ściągnęła brwi i odruchowo przechyliła głowę, wciskając słuchawkę i dłoń Gavina między swoje ramię a ucho. Koła zębate maszyny w jej głowie zostały wprowadzone w ruch.

– Tak, to w Soho. Dawny teatr z końca XIX wieku. Potem przejęła go stacja BBC, adaptując na studio nagraniowe dla programów radiowych i telewizyjnych. Osiem lat temu wynajęły go dwie amerykańskie działaczki społeczne i bojowniczkę o prawa człowieka, urządzając tam klub nocny. – Bezwiednie zatrzymała wzrok na stojącej na szafce nocnej butelce Jamesona i chrząknęła, czując, że zaschło jej w gardle. – Cichym współnikiem jest „Wielki” Bob Brodin. Plotka głosi, że w ścianach ukrył setki tysięcy funtów z oszustw podatkowych.

– Był – oznajmił Alan; w tle słycać było odgłosy krzątania w zatłoczonym pomieszczeniu i stłumione, niewyraźne rozmowy. – Ktoś go właśnie sprzątnął.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – powiedziała zamyślonym głosem.

– Co mają do tego jabłka?

– Najwyraźniej w rodzinie Niparów niecierpliwość jest jak dziedzicznie przenoszona choroba. Kiedy?

– Trupy jeszcze nie wystygły, ale jeden twardziel wciąż dogorywa.

– Musi przeżyć, jeśli ma ci coś powiedzieć. Ofiary?

– Tylko łachudry Brodina... i jeden niedźwiedź polarny.

Palicki zacisnęła usta, siłą woli powstrzymując odruch zajęcia czymś rąk; sięgnąć po kartkę i ołówek, papierosa, cokolwiek. Najlepiej jej się myślało, kiedy mogła niewerbalnie odciążyć umysł. Co w obecnej sytuacji było niemożliwe.

– Jak to wygląda?

– Jak „Pokój dla Galilei”[\[9\]](#).

– O kurwa.

– A żebyś wiedziała. – Usłyszała, że Alan przemieszcza się w jakiś odległy kąt, a rozmowy w tle stopniowo cichną, jak zmniejszany pilotem dźwięk telewizora. – „Dziadek” podał na strzępy twój wniosek urlopowy, więc wciągaj spodnie i przyjeżdżaj. Wysłałem już po ciebie radiowóz.

– Słuchaj uważnie, Alan.

– Trzy rzeczy?

Palicki uśmiechnęła się z aprobatą do słuchawki, zupełnie jakby rozmówca mógł ją widzieć.

– Wyrzucić wszystkich na ulicę.

– Zwariowałaś? Ten budynek jest wielki jak Wembley Arena.

– Łącznie z technikami, patologiem i fotografem. Za kwadrans ma tam, kurwa, nikogo nie być. Odgródź cały teren kordonem na pięćdziesiąt metrów.

– Przecież to Soho!

– Na dachu postaw dwóch ludzi i przekaż wszystkim, że jeśli natknę się w środku na choćby jednego dziennikarza, to ktoś wyleci z roboty. Po drugie... – „Gavin najwyraźniej się nasłuchał”, zamyśliła się, odprowadzając

wzrokiem jego rękę sięgającą do szafki; nalał sobie drinka do szklanki i poczęstował morleyem z jej paczki.

– Zasada Locarda? – podpowiedział Alan.

– Nie, tym ja się zajmę. A ty zbierz zeznania świadków.

– Zejdzie się do rana, tu było chyba z tysiąc osób.

– Po trzecie... – Palicki zamknęła oczy, próbując się skupić, ale rozprzestrzeniający się w sypialni dym z papierosa skutecznie ją rozpraszał; nie chciała się stąd ruszać, za to chciała drinka, zapalić z Gavinem, wysłuchać do końca ulubionej kasyty oraz zasnąć i obudzić się w nie swoim łóżku, czując przyjemny ból zmęczonego ciała.

– Nie jestem jakimś cholernym dzinnem z butelki! – zaprotestował Alan.

Palicki zachłannie wciągnęła dym do nosa.

– Dzinn mieszkał w lampie, a teraz zamknij się i słuchaj! To nie był odwet, Alan.

– Ale mówiłaś, że...

– Tyler Nipar to impulsywny, krwiożerczy psychopata, ale nawet on nie potrafiłby zaplanować tak perfekcyjnej wendety.

– Nie?

Usłyszała, jak Gavin odstawia szklankę.

– Myśl ekonomicznie, Alan. Jak brzmi zasada Ockhama?

– Żeby znaleźć rozwiązanie danej zagadki, należy dążyć do prostoty, wybierając założenia, które opierają się na jak najmniejszej liczbie hipotez.

– Mniej więcej – chrząknęła. – I jak to się ma do zabójstwa Brodina?

– Tyler Nipar miał na to zwyczajnie za mało czasu?

– Kiedyś będziesz dobrym śledczym, Alan.

– „Kiedyś”?

Rozbolał ją wykręcony kark, gardło wyschło na wiór, a pod skórą zagłębiło się przeczucie, że czeka ją jeszcze jedna rozmowa; znacznie trudniejsza.

– A zanim to nastąpi, znajdź Colina O’Harę.

– Pilnuje frontowych drzwi.

– Daj mu zmiennika i poproś, żeby przyniósł mi puszkę Coca Coli. Nie New Coke, tylko zwykłej, cholernej coli.

– To będzie problem, wiosną wycofali ją ze sprzedaży.

– Nie dla Colina.

– A co ja mam robić do twojego przyjazdu?

Wzruszyła ramionami, przez przypadek wciskając uchem któryś z plastikowych przycisków.

– Jesteś w teatrze, Alan. Improwizuj.

– Na to też jest jakaś definicja?

– Zaczynj od toalety, ale niczego nie dotykaj do mojego przyjazdu.

Odkleiła policzek od słuchawki i znużona westchnęła, kładąc głowę na poduszce.

Rozległ się przeciągły sygnał kończący połączenie.

– Co to, do diabła, było? Co się tutaj dzieje?

Palicki otworzyła oczy, patrząc na stężałą twarz Gavina. Nie przypominał już zmieszanego, a zarazem dowcipnego faceta, którego poderwała w pubie. Drżała mu opadająca powieka lewego oka, zdradzając z trudem trzymane w ryzach emocje, szukające ujścia.

Serce niespokojnie zakołatało jej o żebra, ale obawy szybko zagłuszył głos rozumu. „Nawet jeśli za tymi dużymi piwnymi oczami ukrywa się szaleństwo, to na pewno nie głupota”, analizowała. Przecież on wie, że Alan zna jego adres, a pod bramą już pewnie czeka radiowóz.

Palicki zmusiła się, żeby wytrzymać jego spojrzenie. Żeby nie okazać strachu.

– Pieprzyliśmy się, a potem zadzwonił telefon.

Gavin przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, zanim wolno pokiwał głową.

– A więc jesteś gliną. – To nie było pytanie, stwierdził fakt.

Łóżko zgrzytnęło, kiedy się podniósł, a Palicki przyłapała się na tym, że odetchnęła z ulgą. Nie pomyliła się co do niego. To nie było szaleństwo, tylko rozczarowanie.

– Cholera... – Gavin zgasił papierosa, zdjął prezerwatywę i nalał sobie kolejnego drinka. – Myślałem, że to tylko taki nieszkodliwy fetysz.

Palicki wyprostowała za plecami ręce, uśmiechnęła się i rozłożyła dłonie, napinając łańcuch kajdanek.

– Masz coś przeciwko glinom?

Gavin odwrócił się do niej plecami.

– Niecały rok temu się rozwiodłem, bo moja żona przez cały czas podawała się za kogoś, kim nie była.

Palicki skrzyżowała stopy w kostkach. Koło zębate znów się obróciło. Wzruszyła brwiami.

– Takie rzeczy ciągle się zdarzają.

Gavin zacisnął pięść, stając przed ścianą, ale zaraz rozluźnił dłoń, jakby się rozmyślił.

– Od tamtej pory próbuję się jakoś odnaleźć.

– Dobrze ci idzie, skoro potrafisz o niej mówić w czasie przeszłym.

Wychylił gwałtownie ze szklanki i obejrzał się, wykrzywiając usta.

– Jesteś jakimś psychologiem, czy co?

– Mam doktorat z kryminologii.

Oparł się plecami o zimną ścianę, skrzyżował ręce na klatce piersiowej i opuścił głowę, słuchając własnego głosu:

– Podobno najlepszym lekarstwem na utraconą miłość jest nowa, ale za każdym razem, kiedy poznaję kobietę, która mi się podoba, to okazuje się, że ma ptasi mózdzek, jest mężatką... albo gliną.

– Ty też mi się podobasz, Gavin.

Zamrugnął i objął się ciasniej ramionami.

Przyglądał się tej policjantce, tak jak tam w pubie. Jak ona miała na imię? Podrapał się w głowę. Nie podała mu go, ale ten drugi gliniarz powiedział, że...

Policjantka obróciła się na bok, podciągnęła kolana, odepchnęła ramieniem i usiadła na łóżku. Opuściła stopy miękko na posadzkę. Przygaszone światło padło na jej odciągnięte do tyłu blade ramiona i spoconą twarz, odbijając się w czarnych jak węgiel źrenicach.

– Ale teraz chciałabym, żebyś mnie rozkuł.

W milczeniu odepchnął się plecami od ściany i odstawił szklankę obok butelki.

– Kluczyk znajduje się w tylnej kieszeni moich spodni. Leżą gdzieś w korytarzu... – Wskazała głową. – W połowie drogi do windy towarowej.

Wyszedł z sypialni.

Palicki rozprostowała plecy, przeciągając się tyle, na ile mogła. Metalowe

obręcze wbiły jej się w skórę u nasady kciuka. Odezwała się zablizniona rana.

Za oknem rozległ się dźwięk policyjnej syreny, krótki jak klakson. Obróciła głowę i zobaczyła w szybie własne odbicie. Tej nocy mijały równo dwa miesiące. Skóra odrosła, kolano bolało tylko na zmianę pogody, ale koszmary wciąż powracały. Straciła na wadze, przestała ćwiczyć i regularnie piła. Z sylwetki atletki, jaką mogła się poszczycić jeszcze wiosną, pozostał sam zarys mięśni. Szary szkic postaci, z której wytarto kolory.

Gavin wrócił do sypialni, niosąc jej ubrania.

– Cholera, musiał ci wypaść.

– Kurwa... – Palicki zacisnęła powieki. – Sprawdziłeś dokładnie korytarz i windę?

Gavin znów się uśmiechał z tym swoim chłopięcym wigorem.

– Tak, pani inspektor. – Położył rzeczy na brzegu łóżka i usiadł obok, obejmując Palicki ramieniem. – Nie martw się, chyba mam tu gdzieś pilnik do paznokci.

Spojrzała na niego, siłą woli powstrzymując się od uśmiechu. Była pod wrażeniem, że w takiej sytuacji zdołał zachować pogodę ducha. „Gavin musiał należeć do rzadkiego rodzaju mężczyzn, którzy nawet w dramatycznych okolicznościach nie tracili optymizmu”, pomyślała. Oprócz niego znała tylko jednego takiego faceta.

– Wierzysz w magię? – zapytał już całkiem poważnie.

– Wierzę w dwie rzeczy, ale żadna z nich to nie jest magia – odparła Palicki.

Gavin pokazał jej swoją otwartą dłoń. Następnie sięgnął za ucho Palicki.

Po chwili cofnął dłoń, obracając w palcach mały kluczyk.

– Cały czas trzymałeś go między palcami.

– A skąd. – Odchylił się, otwierając kajdanki. – Cały czas miałaś go za uchem.

– Dziękuję. – Roztarła nadgarstki i wychyliła szklanekę, dopijając drinka Gavina. Podniosła się, zapaliła papierosa i zaczęła ubierać; bielizna, dziurawe na kolanach džinsy, wskutek utraty wagi o numer za duży bezrękawnik, bluza z kapturem, skarpetki, sportowe buty za kostki i czerwona motocyklowa

kurtka. – Chciałabym jeszcze kiedyś do ciebie przyjść – oświadczyła.

Z rękami opartymi na kolanach i zwieszoną głową Gavin znów wyglądał jak zbity pies.

Nie odpowiedział jej.

Palicki zgasiła niedopalonego papierosa i rozejrzała się, zastanawiając, czy czegoś nie zapomniała. Zabrała kajdanki, papierosy i nacisnęła EJECT, wyjmując z radiomagnetofonu kasetę. „To by było na tyle”, pomyślała, wychodząc z sypialni.

– Puskę Coca Coli znajdziesz w mojej lodówce.

Zatrzymała się na chwilę w progu, kładąc dłoń na futrynie, i nie odwracając się, uśmiechnęła się szeroko.

Pięć minut później otworzyły się drzwi radiowozu stojącego przed bramą złomowiska.

– „...według wstępnych ustaleń w wieczornej strzelaninie, która miała miejsce w restauracji w Soho, śmierć poniosły...”

– Dobry wieczór, pani inspektor – przywitał się, uchylając czapki, uśmiechnięty funkcjonariusz o twarzy nastolatka.

– Mamy środek nocy, Brian. – Palicki wsunęła się na siedzenie obok kierowcy. Miała pamięć do twarzy. Wystarczyło, że raz zamieniła z kimś kilka zdań, i po wielu miesiącach była w stanie podać miejsce, nazwisko oraz temat rozmowy. Gorzej już szło z liczbami. Te musiała skrupulatnie zapisywać na czym popadnie, jakby w archiwum jej pamięci zabrakło miejsca na jeszcze jedną szafkę.

– „...jedną z ofiar jest znany przedsiębiorca i filantrop Alexander Nipar...”

– Taki był z niego filantrop, jak ze mnie astronauta – skomentował doniesienia z wiadomości młody funkcjonariusz.

Palicki usadowiła się wygodnie i odchyliła głowę, przymykając oczy.

– Świat nie jest doskonały, Brian.

Radiowóz cofnął spod bramy, wzburzając tumany kurzu. Szybka zmiana biegów, pisk opon i włączona syrena.

– Owszem, ale po co mu przeszkadzać, kiedy kręci się we właściwą stronę – odrzekł młody funkcjonariusz.

Palicki rozchyliła zaspane powieki. Jechali na zachód wzdłuż

południowego brzegu Tamizy. W przesuającym się za oknem radiowozu krajobrazie zobaczyła dobrze znane i wciąż niespełnione obietnice urzędników miejskich wobec Woolwich. Okna mieszkań świeżo postawionych bloków wychodziły na zaśmiecone, zarośnięte trawą nieużytki, mające w przyszłości stać się fundamentem dla ułatwiających życie centrów handlowych z wielopiętrowymi parkingami. Jednak na pytanie, kiedy to ma nastąpić, nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tak tylko myślałem na głos – odparł Brian.

Palicki uchyliła szybę do połowy i zapaliła papierosa.

– To myśl głośniej.

Młody funkcjonariusz z zakłopotaniem wsunął dłoń pod czapkę i podrapał się po głowie.

– Chodzi o te strzelaniny w Soho. Skoro przestępcy się nawzajem wybijają, to po co im przeszkadzać, pani inspektor? Zły człowiek, martwy człowiek.

Palicki przytaknęła mu w zamyśleniu, zdając sobie sprawę, że młokos wyraża nie tylko swoją, ale powszechnie panującą opinię. Przy takich nastrojach niezwykle ciężko o motywację do pracy. Cholera, sama myślała w ten sposób.

– Tak, to kusząca myśl. Ale niestety musimy im przeszkodzić – odparła zmęczonym głosem.

– Ta... niewdzięczna psia robota – zachnął się młodzian.

– Powiem ci, dlaczego to ważne. – Palicki obróciła głowę. – Po pierwsze: żyjemy w państwie prawa, funkcjonariuszu Brianie Grimesie. Po drugie: jeśli będziemy tolerować samosądy, to pewnego dnia zaczną ich dokonywać zwykli obywatele, tylko dlatego, że pies jednego z nich narobił na trawnik tego drugiego. Po trzecie: jak się miewa twoja żona?

Zaskoczony nagłą zmianą tematu funkcjonariusz Grimes zasepił się, wpatrując nieobecny wzrokiem w pustą jezdnię.

– W zeszłym tygodniu minęło dziewięć miesięcy. Lekarze chcą zastrzykami wywoływać poród.

Palicki wyłączyła syrenę i wsunęła kasetę do policyjnego radia.

– Nie martw się, to będzie inteligentny dzieciak.

Brian ożywił się, uśmiechając do niej.

– Tak pani podpowiada intuicja?

Palicki zaciągnęła się papierosem, opierając łokciem o drzwi, i nosem wydmuchała dym, aż we wnętrzu radiowozu obróciła się siwa chmura. Raport sprzed niespełna dwóch miesięcy, w którym przedstawiła okoliczności ujęcia seryjnego mordercy nazwanego przez media *Rzeźnikiem z Greenwich*, stał się najbardziej pożądaną lekturą w szeregach londyńskiej policji. Pisała go w szpitalnym łóżku przez całą burzliwą noc, bijąc się z własnymi myślami. Na jednej szali leżała prawda, czytaj: kompromitacja w oczach przełożonych, zatrzaśnięcie drzwi do dalszej kariery i kontrowersyjna sława w mediach, której nie życzyła sobie bardziej niż śmierci. Przeciwwagę stanowiło kłamstwo, czytaj: awans na inspektora w wieku 27 lat (najmłodsza kobieta w tym stopniu w całym Zjednoczonym Królestwie Brytyjskim, jaka kiedykolwiek reprezentowała wymiar sprawiedliwość), powszechny szacunek i niestety też sława, która w jej przypadku bardziej stanowiła nastające na prywatność utrapienie niż upragniony przez szarych obywateli stan ducha, pozwalający myśleć, że w jakiś sposób jest się wyjątkowym, lepszym, zasługującym na specjalne traktowanie.

Mniej więcej o północy zdecydowała się na to drugie. Do rana skrzętnie komponowała zdania do raportu, wielokrotnie wypełniając luki w dochodzeniu, do którego nie była przydzielona, a które rzekomo prowadziła w wolnym czasie na własną rękę, słowem: *intuicja*.

Jej przełożeni, na których czele stał przymierzany do teki Ministra Sprawiedliwości komendant Raymond Newman, znaleźli się w nie lada kłopotcie. Jak wytłumaczyć opinii publicznej, że powołana do sprawy *Rzeźnika* specjalna grupa dochodzeniowa została uprzedzona przez biorącą nieodpłatne nadgodziny, jedną policjantkę? Na pomysł, jak uniknąć kompromitacji, wpadła podczas lunchu ambitna rzeczniczka prasowa, przeglądając najnowsze wydanie „Vogue”; i tak narodziła się nowa gwiazda kryminalistyki, o umyśle ostrym jak nóż oraz przenikliwej intuicji.

Palicki za każdym razem miała mdłości, czytając o sobie w bulwarowej prasie. Zastrzegła numer telefonu domowego, a wychodząc na ulicę,

zaciągała kaptur na głowę. Nie miała kompleksu niższości, na wszystko, co posiadała, ciężko zapracowała i wiedziała, że jest bystra. Cholera, ale nie aż tak. Jeśli jednak ceną za niezasłużoną sławę i życie w kłamstwie miał być spokój ducha pewnego ochroniarza ze stadionu na Highbury, to była gotowa dźwigać to brzemie.

Opuścili Greenwich, wjeżdżając do przebiegającego pod rzeką tunelu Blackwall, łączącego południowy brzeg z północno-wschodnimi dzielnicami miasta, słuchając *Crazy Little Things Called Love*.

Palicki strzepała popiół za okno, odpowiadając na pytanie funkcjonariusza Grimesa:

– A kto normalny spieszyłby się na taki świat.

*

Po drugiej stronie Greenwich, kierując się na wschód wzdłuż portu handlowego Woolwich, znajduje się gmina Bexley. Specyfikę przedmieść stanowiły liczne stacje kolejowe, tor, na którym rozgrywano wyścigi chartów, oraz wybudowana w XIX wieku fabryka broni. Opustoszałe nocami drogi wiły się między osiedlami domów jednorodzinnych, bliźniaków i szeregowców, otoczonych trawnikami oraz żywopłotami, a także niedostępnymi, ogrodzonymi rezydencjami.

Jedna z nich, stojąca nieco na uboczu, granicząca od północy z ciągnącym się wzdłuż Tamizy pasmem wrzosowisk, sprawiała wrażenie gęściej obsadzonej, a przez to bardziej zacienionej i ponurej od sąsiednich. W okalającym posiadłość marmurowym murze umieszczono przed laty kamień z wykutym nazwiskiem właściciela: BRODIN.

Gospodarz był w domu. Zajmował pokoje na piętrze w zachodnim skrzydle wiktoriańskiej rezydencji, urządzonej, a właściwie pozostawionej w nienaruszonym stanie od czasów, kiedy jeszcze mawiano, że nad Imperium Brytyjskim słońce nigdy nie zachodzi. Każdy gość, który dostąpił rzadkiego zaszczytu przekroczenia tych zacnych progów, zaraz po wejściu potrzebował chwili, aby uporać się na własny sposób z aurą niesamowitości i tajemniczości, bijącej z każdego pomieszczenia.

W sypialni panował półmrok. Mickey Brodin gwałtownie otworzył oczy, jak jastrząb. Wbił wzrok w wytapetowaną ścianę oblaną złotą smugą wpadającą przez wysokie okno, za którym stała lampa ogrodowa, i słuchał odgłosów dobiegających z dworu. Nic, tylko znajome pohukiwanie sowy. Zaskoczyło go to, bo zazwyczaj sypiał spokojnie; pogodzony z własnymi myślami oraz sumieniem trzymanym na krótkiej uwięzi. To Bobby był niespokojnym duchem; mającym przez sen w pijackim ukojeniu i zrywającym się z łóżka z krzykiem, świecąc w ciemnościach przekrwionymi ślepiami.

Zewnętrznie wyglądali tak samo, ale ich wnętrza skrywały charaktery składające się z wzajemnie uzupełniających się różnic. Niewielu jest ludzi, którzy potrafią być jednocześnie twardzi i inteligentni. Bobby był twardy, Mickey inteligentny. Zupełnie jakby dzielili jedną duszę.

Mickey Brodin leżał nieruchomo pod zaciągniętą pod szyję kołdrą i wciśniętą w poduszkę spoconą głową, doznając osobliwego, paraliżującego uczucia błęgiego lęku, jaki podobno odczuwa się w chwili śmierci. Spróbował się poruszyć. Na próżno.

Wziął więc głęboki, spazmatyczny oddech, próbując przekonać nieposłuszne, zdradzające go ciało, że przecież jeszcze nie umiera. Nie ma ataku serca, za to ma tyle do zrobienia.

Całe życie przeleciało mu przed oczami. Życie, którego motorem napędowym był przymus.

Wdech. Musiał uważać na ojca.

Wydech. Musiał słuchać matki.

Wdech. Musiał przekonać Bobby'ego, powstrzymać Bobby'ego...

Wydech. Przeszło.

Odetchnął, wycierając rękawem koszuli pot z czoła. Wybrał lęk. Lepiej go znał, ale teraz znowu coś musiał. Musiał wziąć coś na ból głowy, zanim rozpadnie się na kawałki. Czuł to.

Rozdzwonił się telefon. Zastrzeżony numer znany nielicznym, nigdy niewybierającym go bez ważnego powodu.

Mickey podniósł antyczną słuchawkę z kości słoniowej.

– Tak? – Wychrypiał. – Mów. – Odgarnął kołdrę, siadając na krawędzi

łóżka. – Jesteś pewien? – Zapalił lampkę nocną, zerkając na mechaniczny budzik. – Kiedy? – Zamknął oczy. – Zabieraj się stamtąd.

Plotka głosiła, że braci Brodin można wyprowadzić z równowagi na sto sposobów. Na dziewięćdziesiąt dziewięć Boba i tylko na jeden Mickeya. Starszy z Brodinów, nazywany „Wielki”, chełpił się swoją ksywą. Natomiast młodszy i spokojniejszy swojego przydomku nienawidził, toteż używali go jedynie najbardziej aroganccy, zadeklarowani wrogowie, ale nie dało się ukryć, że pasował jak dłoń do rękawiczki.

Mickey ciężko westchnął, upewniając się co do godziny, i głośno załkał, chowając w dłoniach pucołowatą twarz, którą dzielił razem z bratem. Nie umarł. To nie był atak serca. Tej nocy ziścił się zapowiedziany już w chwili wspólnych narodzin koszmar. Niewidzialna dłoń wniknęła w klatkę piersiową Mickeya i wyrwała mu serce wraz z połową duszy. Zawsze myślał, że będzie na odwrót; silniejszy, charyzmatyczny brat pochowa jego. Życie jednak wybrało mniej uczęszczaną ścieżkę.

Otarł rękawem łzy i zmusił się, żeby wstać. Wsunął bose stopy w kapcie. Wyszedł z sypialni na tonący w ciemnościach korytarz, ruszając na pamięć do wschodniego skrzydła domu. W połowie drogi się zawahał.

Nie chciał dalej iść, ale wiedział, że musi. Wyobraził sobie brutalne nagłówki bulwarowych gazet i dotarł do drzwi matczynej sypialni. Nacisnął klamkę. Przesząpił próg, wspiął się na palce i pociągnął za pstryczek ściennej lampy.

– Mamo...? – Podszedł do łóżka, spojrzął na leżącą na szafce nocnej, oprawioną w skórę Biblię i położył dłoń na ciepłym matczynym ramieniu. – Śpisz?

Eleonor Brodin obróciła się na łóżku.

– Mickey?

– Musimy porozmawiać, mamo.

Koścista dłoń starej kobiety wysunęła się spod pościeli, gładząc go po twarzy.

– Tyle razy ci mówiłam, kochanie... – ziewnęła. – Duchy nie istnieją.

Mickey cierpliwie wytrzymał pieszczoty, czekając, aż matka sięgnie po szklankę wody.

– Chodzi o Bobby’ego, mamó. Coś mu się stało.

[\[9\]](#) Wojna libańska 1982-1985, nazywana przez Izrael operacją „Pokój dla Galilei”.

Rozdział 9

Londyn – 12 lipca 1985 roku

Godz. 00:43

Natural Mystic – mruczał Bob Marley przez opuszczoną szybę w wolno toczącej się taksówce. Marlon przyciszył radio, drobniawo wykładając swojej pasażerce lekcję historii.

– ...ogień strawił niemal wszystko, ale Katedra Świętego Pawła ocalała, wyłaniając się spośród dymu i pożogi. Odtąd jest symbolem niezłomnego ducha narodu.

– „Niezlomnego ducha” – powtórzyła w zamyśleniu Faith.

– Tak. – Marlon kiwnął głową. – Nazwano to „Drugim Wielkim Pożarem Londynu”. Odbudowano wszystko, jeszcze większe. Londyn to nie Pompeje. To miasto nigdy nie upadnie.

Jechali na wschód od średniowiecznych murów City, przemierzając uboższe dzielnice miasta. Mijali kolejno rozświetlony szpital, zamkniętą o tej porze szkołę i rozległy park.

– To tutaj.

– Co? Gdzie?

Faith wskazała przez przednią szybę.

– To miejsce.

Marlon zmarszczył czoło, patrząc na szereg zapuszczonych zabudowań.

– Które?

– Zatrzymaj się, Marlon – zażądała Faith.

– Ale po co? – Marlon podjechał do krawężnika i zgasił silnik. – Znasz tu kogoś?

– Nie znam w Londynie nikogo poza tobą.

– Chyba naprawdę mocno oberwałaś w głowę, Faith. Chcesz się włączyć sama po nocy? – Spojrzał we wsteczne lusterko. – Jesteśmy w Whitechapel.

Faith wychyliła się zza siedzenia kierowcy.

– To źle?

– Tak, jakieś sto lat temu Kuba Rozpruwacz wypatroszył tutaj jedenaście kobiet. Od tamtej pory trochę się poprawiło, ale jak to w dużym mieście bywa, lepiej nie kusić losu. Ktoś z twoim wyglądem nie będzie musiał długo czekać na kłopoty. Zdecydowanie lepiej bym się czuł, wysadzając cię pod Savoy'em.

Ściągnęła brew, rozważając argumenty taksówkarza.

– Myślę, że dam sobie radę.

– Tak, a ja usłyszę jutro o tobie w wiadomościach. – Marlon usłyszał, jak otwierają się drzwi. – Hej, zaczekaj! – Odwrócił się gwałtownie do swojej pasażerki. – Zamknij te drzwi – poprosił, a kiedy usłuchała, westchnął, odgarniając dredy z twarzy. – Widzę, że cię nie przekonam, ale chociaż mnie wysłuchaj.

Faith w milczeniu, nie odrywając ręcznika od twarzy, skinęła głową. Ufnie, jak dziecko.

Marlon złożył dłonie i przycisnął czubki palców do ust.

– Boże, dodaj rozumu – wymamrotał, po czym klasnął ożywiony. – Posłuchaj mnie uważnie. Ludzie w tym mieście... zwłaszcza mężczyźni, to podłe i dwulicowe sukinkoty. Nie możesz z nimi rozmawiać tak prosto z mostu jak ze mną.

– „Z mostu”? – powtórzyła Faith.

Marlon klepnął się w czoło.

– Nie możesz być taka szczerą, bo nie dożyjesz końca weekendu. Zjedzą cię. – Wskazał za okno, a Faith podążyła wzrokiem za jego ręką. – Skup się, czas na krótką lekcję przetrwania.

Dał jej chwilę.

Znowu skinęła głową.

– Jeśli jakiś facet zapyta cię, czy jesteś sama, to nie będzie miało nic wspólnego z troską. Równie dobrze mógłby spytać otwarcie, czy może cię przelecieć.

– Odbyć stosunek?

– W skrócie: zerznąć – wyjaśnił.

– Rozumiem.

– Na pewno?

Zmrużyła jedno widoczne oko.

– Nie jestem opóźniona w rozwoju, Marlon.

– Tylko dobrze wychowana, ale tym swojego bladego tyłka nie uchronisz. Nigdy nie odpowiadaj komuś obcemu otwarcie na pytanie. Jeśli jakiś facet zapyta cię, czy mieszkasz w okolicy, co mu odpowiesz?

Faith zamknęła oko.

Po chwili je otworzyła.

– Może?

– Dobrze! A jeśli zapyta, skąd jesteś?

– Myślę, że to chyba nie jest twoja sprawa.

Rastaman wyszczerzył zęby.

– Możesz wysiąść.

– A kobiety? – Faith zawahała się, chwytając za klamkę. – Co mam im odpowiadać?

Marlon przestał się uśmiechać i wybałuszył oczy, głośno przełykając ślinę. W jego taksówce zapanowała cisza. Słysząc tylko głos Boba Marley i Marlon Mendoza nagle uświadomił sobie, że swoim zachowaniem dalece mija się z naukami Zwycięskiego Lwa Plemienia Judy, głoszącym, że pokój na ziemi zapanuje dopiero wtedy, gdy wszelkie podziały i różnice między ludźmi staną się nie mniej trywialne od koloru ich oczu.

Zawstydzony odwrócił wzrok, zdając sobie sprawę, że pytanie tej młodej kobiety było jak najbardziej logiczne.

– Mniej więcej to samo... tylko bądź dla nich bardziej wyrozumiała. Wzgardzona kobieta jest groźniejsza od trzęsienia ziemi – przestrzegł.

Faith jeszcze raz skinęła głową.

– Zapamiętam.

Marlon opadł na siedzenie kierowcy, kiedy zamknęły się tylne drzwi, i ciężko westchnął. Zamknął oczy, czując, że musi sobie zrobić przerwę przed następnym kursem.

Światło latarni padającej na jego twarz przesłonił cień. Otworzył oczy.

– Mogłabym jeszcze raz być szczerą?

Wskazał głową na szereg zapuszczonych zabudowań, straszących powybijanymi szybami.

– Byle ostatni.

– Dziękuję za twoje rady, Marlon. Zapamiętam je i jestem ci też wdzięczna, że chciałeś zatrzymać się dla mnie przed apteką. Już mnie nie boli, a ten piosenkarz, o którym mi opowiadałeś, co umarł na raka...

– Nieśmiertelny Bob Marley – wtrącił.

– Jego i ciebie nigdy nie zapomnę.

Uśmiechnął się, patrząc, jak odchodzi.

– I tak Jah przygarnął jeszcze jedną zbłąkaną duszę – wymamrotał, zapuszczając silnik. – Zaczekaj! – Zrównał się z idącą chodnikiem Faith i sięgnął do schowka. – Przecież nie możesz chodzić z podbitym okiem po ulicy. – Wygrzebał to, czego szukał. – Nie jestem lekarzem, ale na pewno nie chcesz, żebym chociaż to obejrzał?

– Obawiam się, że dla ciebie nie byłby to przyjemny widok.

– Jak sobie chcesz, ale chociaż weź to. – Podał jej skórzane etui. – Ray-Ban model Aviator. Generał Douglas MacArthur podbił w nich południowo-zachodni Pacyfik.

Faith jedną ręką wyciągnęła ze środka okulary przeciwsłoneczne. Odwróciła się do niego plecami i przymierzyła.

– Dziękuję, Marlon. – Cisnęła ręcznik do ustawionego na chodniku kosza. – Jesteś dobrym człowiekiem.

– Daj spokój. – Wzruszył ramionami. – Ładne dziewczyny nie dziękują, tylko się uśmiechają. – Podniósł z uznaniem brwi. – Właśnie tak. – Odbił od krawężnika, podkręcając radio. – Niech Jah będzie z tobą, Faith!

– I z tobą, Marlon!

Odjeżdżając w noc, Marlon patrzył w tylne lusterko na machającą mu jeszcze przez chwilę dziewczynę, zanim wsunęła ręce do kieszeni

i rozglądając się ciekawie po opustoszałej okolicy, przeszła na drugą stronę ulicy.

Przeniósł wzrok na kołyszący się metalowy brelok z wizerunkiem lwa.

– Też widzisz to w czarnych barwach?

*

Radiowóz zwolnił, zjeżdżając z Regent Street w boczną ulicę. Jaskrawe światła neonów rozjaśniały noc jak bożonarodzeniowe lampki. Palicki mieniło się w oczach od nadmiaru kolorów rozmywających się w pociągłej poświacie.

– O, cyrk przyjechał. – Funkcjonariusz Grimes skomentował kłębiący się na ulicy tłum.

Palicki otworzyła zaspane oczy. „Zabawa przeniosła się na dwór”, pomyślała, patrząc na skupisko ludzkiego mrowia: niedoszłych imprezowiczów, przygodnych przechodniów i fotoreporterów trzymających w pogotowiu długonose aparaty.

– Raczej wesołe miasteczko.

– Na pewno nie chce pani, żebym podjechał od tyłu, pani inspektor? – upewnił się Grimes. – Sierżant Salisbury rozkazał mi zasugerować wejście z drugiej strony budynku przez suterенę znajdującą się pięć stopni poniżej poziomu ulicy, służącą obecnie za schowek dla zasobów alkoholowych.

Palicki obróciła głowę. Grimes nie kpił. Alan pewnie kazał mu się nauczyć tego na pamięć i jej powtórzyć, Bóg jeden wie, co mu za to obiecując.

– Troska śledczego Salisbury jest doprawdy wzruszająca – skwitowała Palicki zmęczonym głosem i wskazała przez przednią szybę. – Zatrzymaj się tuż przed nimi. Jeszcze...

Funkcjonariusz Grimes włączył syrenę, wzywając zbiegowisko do rozstąpienia się, ale tylko zwrócił na siebie uwagę.

– Jeszcze...

Ostrożnie lawirował, starając się nie obetrzeć żadnego z zaparkowanych radiowozów oraz wozów transmisyjnych i przy okazji nikogo nie potrącić przed obiektami kamer.

– Jeszcze...

Tłum rozrzedził się, ale najzatatwardzialsii nie odstąpili najlepszych miejsc, tuż przed ustawionymi przez policję barierkami.

– Już!

Gołe dłonie oparły się o maskę radiowozu, a ukryte za obiektywami ciekawe oczy zaglądały przez okna.

Grimes z rezygnacją puścił kierownicę.

– Oni panią zjedzą.

Palicki oparła stopę o drzwi i pchnęła je na oścież.

– Powiedz żonie, że trzymam za nią kciuki, Brian.

Grimes zacisnął zęby i uderzył otwartą dłonią w poręcz kierownicy, kiedy wysiadła.

– Szlag by panią...

Palicki zmrużyła oczy przed ostrzałem fleszy, żałując, że nie uzbroiła się w ciemne okulary.

– Inspektor Palicki?! – krzyknęła ufryzowana dziennikarka w obcisłym beżowym spodniem, podkreślającym nienaganną figurę.

– Dopiero przyjechałam – oznajmiła półgłosem do podetkniętego pod nos mikrofonu z logo zagranicznej stacji telewizyjnej.

– Prowadzi pani śledztwo w sprawie masakry w *Czarnym Lodzie*? – zapytał młody, agresywny dziennikarz, pretendujący do miana londyńskiego Tony’ego Wilsona.

– Jak widać – odparła, torując sobie drogę wyprostowanym ramieniem.

Błyskały kolejne flesze.

– Czy to jest odwet za zamach na Alexandra Nipara?

– Nie jestem jasnowidzem.

– Podobno obrońca Rzeźnika z Greenwich zamierza się powołać na jego niepoczytalność, co pani na to?

Zignorowała pytanie.

Dziennikarz nie ustępował. Uzbrojony w mikrofon, pewność siebie i kamerzystę za plecami zastąpił jej drogę. Palicki podniosła wzrok. Na pierwszy rzut oka młody dziennikarz wydał jej się wystarczająco przystojny, zdeterminowany oraz dwulicowy, żeby zrobić karierę w wiadomościach.

– Czy użycie broni podczas zatrzymania było konieczne, inspektor Pa...

Pchnęła go, uruchamiając efekt domina; dziennikarz poleciał do tyłu, tracąc pewność siebie, a także równowagę, wpadając wprost na kamerzystę i chwytając się ramienia ufryzowanej koleżanki po fachu, którą pociągnął wraz z sobą, upadając na ulicę.

Palicki stawiała kroki pomiędzy nimi, uważając, żeby na żadne nie nadepnąć. Zdawała sobie sprawę, że nie najlepiej wypadła przed kamerami, ale jeśli w najbliższym czasie postanowi się wybrać na popijawę do policyjnego pubu, to była pewna, że nie będzie musiała brać ze sobą portfela.

– Dobry wieczór, pani inspektor. – Funkcjonariusz podnoszący przed nią taśmę odgradzającą wejście na miejsce zbrodni szczyrzył zęby od ucha do ucha.

– Mamy środek nocy, Tom.

Znajdujący się tuż nad wejściem sierp księżycy zmienił barwę z błękitnej na purpurową. Na animowanej twarzy pojawił się wyraz znużenia, a w zaciśniętych ustach tlił się niedopałek papierosa.

Palicki zasunęła kurtkę pod szyję i ruszyła na miejsce zbrodni. Stalowe drzwi otwarto na oścież i podparto kołem zapasowym wyciągniętym z jednego z radiowozów, aby uniemożliwić ich zatrzasknięcie za pomocą zamka magnetycznego. Weszła do zaciemnionego wnętrza.

– Pani inspektor.

Wzdrygnęła się, czując na ramieniu czyjąś dłoń, po czym odetchnęła. Znała ten głos.

– Cześć, Colin.

Odebrała od funkcjonariusza ochraniacze na buty oraz lateksowe rękawiczki. Stojący w ciemnościach policjant sięgnął do kieszeni i wsunął jej w dłoń zimną puszkę Coca Coli.

– To druga najlepsza rzecz, jaka mnie dzisiaj spotkała – wyznała.

– *The Gooners*^[10] ponad wszystko, pani inspektor.

Palicki uśmiechnęła się, zakładając ochraniacze.

– Zawsze i wszędzie.

Funkcjonariusz O'Hara uchylił czapkę, zegnając się, i wyszedł na chodnik.

Palicki zmrużyła oczy, kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do półmroku.

Spojrzała w górę. Ciemność rozpraszał jedynie blask księżyca, wpadając przez eliptyczny otwór umieszczony w suficie. Zauważyła, że jedno ze skrzydeł świetlika było uchylone. Wciągnęła głęboko powietrze przez nos. Wyczuła gęsty fetor potu, dym z papierosów i swąd marihuany.

Rozejrzała się, wolno obracając głowę. Chciała zapamiętać to miejsce takim, jakim je zastała, w myśl reguły, że pierwsze wrażenie jest na ogół trafne, a jeśliby się pomyliła – co zdarzało się rzadko, ale jednak – to byłby tylko wyjątek, który ją potwierdzał.

W półmroku wyróżniła smukłe kształty kolumn podpierających dach i kontury ceramicznych figur naturalnej wielkości: fok, pingwinów, słoni morskich. Nigdy nie była w *Czarnym Lodzie*, ale widziała zdjęcia wewnątrz regularnie zamieszczanych w kolorowych magazynach. Wystarczy.

Wyciągnęła z kieszeni ołówkową latarkę i zapaliła. Omiotła wąskim strumieniem światła zapierające dech, przepastne, fantazyjne wnętrza. Patrząc pod nogi, zeszła po stopniach na upstrzony brokatem i potłuczonym szkłem parkiet, zastanawiając się, kogo należałoby przykładowo zjechać za wyciemnienie miejsca zbrodni. Przyszła jej do głowy tylko jedna osoba.

– Każdego ranka, każdej nocy – rozbrzmiał głos z ukrytych w ścianach głośników Hi-fi. – Dla męki ktoś na świat przychodzi. Jedni się rodzą dla radości. Inni dla nocy i ciemności.

Palicki obróciła się, podążając wzrokiem za strumieniem latarki.

– William Blake – odgadła. – Zdziwiasz mnie, Alan.

Światło gwałtownie rozbłysło, jak eksplodujący wulkan. Ruchome reflektory w kolorach tęczy zaczęły penetrować salę, aby po chwili zmienić spektrum na upiorną biel, zaglądającą w każdy zakamarek wnętrza.

Palicki zachwiała się na nogach, osłaniając dłonią oczy.

– Powiedz mi, Palicki. – Głos ze ścian grzmiał donośnie, wspomagany akustyką sali. – Miewasz czasami kompleksy?

Zamrugła oczami, chowając latarkę.

– Nie, ale to podobno wada.

W przestronnym, ale pustym wnętrzu dawnego teatru łatwo było dostrzec ruch. Palicki kątem oka zauważyła na wysokości półpiętra, jak jej partner wychyla się zza konsoly didżeja.

– Pierwszy, znajdujący się najbliżej ciebie, leży na barze – oznajmił już normalnym głosem, niesionym przez echo.

Palicki przeszła na drugą stronę sali. Odgłos pękającego pod stopami szkła sprawił, że podniosły się jej włoski na wytatuowanym karku. Minęła uformowany na przerębел zbiornik wodny i zatrzymała się przy barze. Nogi denata zwiślały od strony klienteli, a po drugiej górna część ciała. Jeden but leżał na posadzce w odległości kilku kroków od zwłok. Widziała już taki efekt, kiedy zaraz po szkole policyjnej została przydzielona do drogówki w Bexley. Ciężarówka prowadzona przez zmęczonego kierowcę zjechała z drogi i dosłownie zmiotła z powierzchni ziemi przypadkowego przechodnia, rzucając nieszczęśnika na płot pobliskiej posesji. Tutaj było podobnie: połamane żebra, kręgosłup, kości przebijające organy... Można by stwierdzić kilka przyczyn zgonu, gdyby nie ziejąca z klatki piersiowej, pojedyncza rana wlotowa od pocisku dużego kalibru.

Odsunęła butelki i szklanki, wychylając się za bar. Dobrze zbudowany, biały mężczyzna musiał być niewiele młodszy od niej. Oczy wciąż miał otwarte, a twarz czerwoną i napuchniętą; kiedy w organizmie ustaje przepływ krwi, ta, zgodnie z grawitacją, spływa do najniższej położonych partii ciała.

Obejrzała się przez ramię, mrużąc oczy. Spróbowała ocenić, skąd padł strzał, ale chociaż zwłoki wyglądały na nieruszone, to nie znajdowały się na płaskiej powierzchni, więc mogła jedynie zgadywać. Pod schodami prowadzącymi na antresolę, naprzeciw wejścia prowadzącego do sąsiedniej sali, leżały kolejne dwa ciała.

Obeszła szczątki niedźwiedzia polarnego, z których w całości ocalał tylko łeb, i kucnęła. Chwyciła za koniec plecionej liny. Powiodła wzrokiem wzdłuż stalowych krokwi znajdujących się pod dachem i przyłożyła palec do ust. Skinęła głową w zamyśleniu.

Pochyliła się, zaglądając w twarz zastałego w pozycji siedzącej denata, niemal rozpląszczonego na szorstkiej marmurowej ścianie. Zmiażdżona klatka piersiowa wyglądała, jakby przepuszczono ją przez prasę hydrauliczną, ale twarz pozostawała ta sama.

Palicki zamrugnęła, doznając zjawiska *déjà vu*. Słyszała opowieści doświadczonych policjantów, którzy rezygnowali ze służby tuż przed

emeryturą, bo zobaczyli o jednego trupa za dużo. Wzięła wdech przez nos, robiąc wydech ustami, dochodząc do logicznego wniosku: rodzinne podobieństwo. Ta sama droga życia, którą wybrali bracia Brodin, ale w tym przypadku twarz o kilka lat starsza.

Przeniosła wzrok na kolejnego denata, leżącego u podnóża schodów. To był wielki odstręczający typ, który nawet po śmierci – z raną wlotową od pocisku, który wybił mu cztery górne zęby i wyrwał z czaszki potylicę – potrafił wzbudzić grozę.

– Na górze jest jeszcze paskudniej – oznajmił Alan, wychylając się zza podziurawionej kulami kolumny.

Palicki wyprostowała się, złapała za poręcz i wspięła się na schody, nucąc pod nosem. Zatrzymała się w połowie drogi prowadzącej na antresolę. Uważnie przyjrzała się krwawej pieczęci otaczającej wlot po kuli i obejrzała przez ramię na zwłoki wielkoluda. Następnie wbiegła na półpiętro, pokonując po dwa stopnie na raz. Na szczycie schodów czekał na nią Alan.

Sierżant Salisbury był od niej rok młodszy, choć mógłby uchodzić za wyrosniętego licealistę: wysoki na ponad dwa metry, chudy jak szczapa, z dłońmi wielkimi jak bochny i kręconą rudą czupryną nie miał w szkole łatwego życia. Palicki pracowała z nim dopiero od miesiąca, ale już przy pierwszym spotkaniu odniosła wrażenie, jakby znali się całe życie. Plotka głosiła, że po awansie na inspektora Alan Salisbury został jej przydzielony, bo jako jeden z nielicznych w wydziale nie miał oporów, aby dowodziła nim kobieta. Palicki nie zgadzała się z tą opinią; jej zdaniem młody sierżant był bystry, sumienny i zdyscyplinowany. Bez wątpienia miał potencjał na dobrego śledczego, o czym z perwersyjną przyjemnością lubiła mu przypominać, używając okolicznika „kiedyś”.

– Patolog stwierdził siedem zgonów. – Alan wskazał palcem na znajdującą się tuż pod ich stopami scenę. – Tego jednego nieboraka zabrała karetka.

Palicki ostrożnie podeszła do krawędzi półpiętra, wsunęła stopy pomiędzy sterczące kikuty wyłamanych prętów i rozejrzała się po sali, wyglądającej z góry, jakby przetoczył się przez nią orkan.

– Powiedział coś?

– Miał skręcony kark, nie był zbyt rozmowny. – Alan stanął tuż obok

i zatoczył ramieniem łuk.

– Swoją drogą, fajny tu klimat.

Palicki wymownie na niego spojrziała.

– To znaczy pewnie był, zanim zostało nabała...

– Ćśśś... – Przyłożyła palec do ust. – Słyszysz tę muzykę?

Alan bezwiednie poprawił poły czarnego znoszonego płaszcza przeciwdeszczowego, z którym nie rozstawał się nawet w pogodne dni.

– Jaką muzykę? Kazałem wyłączyć ten wściekły jazgot.

Palicki odwróciła się, obeszła zaschniętą kałużę krwi i pochyliła się nad kolejnym ciałem.

– Żeby zidentyfikować tego, trzeba będzie pobrać odciski palców, ale zgaduję, że to Jimmy „Hot-dog” Morelli.

– Ta... Wszyscy wyglądają, jakby kropnięto ich z armaty. Oprócz tego – wtrącił Alan.

Palicki dała długi krok przez kałużę i kucnęła pod ścianą. Denat miał nienaturalnie dużą głowę, co wskazywało na jakąś wadę genetyczną. Wyglądał, jakby go upozowano, a z szyi wystawała srebrna rękojeść noża.

– Bo ten zginął pierwszy. – Podniosła wzrok. – Co znalazłeś w toalecie u *Josephine*?

Alan oparł łokcie na kolanach, kucając z drugiej strony zwłok.

– Wciąż trzymamy się teorii „braku czasu”?

Palicki pokręciła głową.

– Na tym etapie śledztwa nie mamy żadnej teorii. Podstawowym błędem jest podawanie teorii, zanim uzyska się dane.

– „Człowiek z wywiniętą wargą?”

– „Skandal w Bohemii”.

Alan bezradnie rozłożył ręce.

– Ale mówiłaś, że...

– Nie myl teorii z kobiecą intuicją, Alan – przerwała mu Palicki. – Co ty zazwyczaj robisz w wolnym czasie?

Alan uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

– Podrywam nieznajome w pubie, a potem czytam im Arthura Conana Doyle’a.

Palicki wyprostowała się i skrzywiła, czując znajomy ból w kolanie.

– Całe szczęście, że nie puszczasz im swoich kaset.

– A w rewanżu na pytanie...

„Zaczyna się”, pomyślała.

– To nie moja sprawa...

– Masz rację – mruknęła, zaglądając przez kotarę do łoży dla VIP'ów; przewracane meble, butelki francuskiego szampana i kreski białego proszku na szklanej ławie. Sama nie wiedziała, co spodziewała się zastać za słynną *Szkarłatną Kotarą*, ale czuła się rozczarowana.

– ...ale pozwolę sobie zauważyć, że picie w samotności nie najlepiej świadczy o kondycji psychicznej. Natomiast wychodzenie z pubu w towarzystwie pierwszego lepszego napotkanego faceta to już jest głupota.

– Alan dał upust swojej nadopiekuńczości i cierpliwie czekał, aż jego partnerka spojrzy mu w oczy. – Daj spokój, Palicki, kto tak postępuje? W dzisiejszych czasach?!

– Osobiście uważam, że picie w samotności zasadniczo się nie różni od tego w towarzystwie, a jeśli chodzi ci o Gavina... – Odwróciła się do niego.
– To był przemyślany wybór.

Na smukłej, niezdolnej ukryć żadnych uczuć twarzy sierżanta pojawił się bolesny grymas, jakby zjadł coś nieświeżego.

– To mógł być jakiś świr. – Bezwiednie gestykulował dłońmi. – Jak ten w Kalifornii, co zabił już jedenaście osób i jeszcze go nie złapali.

– Masz rację. – Zgodziła się Palicki.

Alan spojrzał na nią podejrzliwie.

– Naprawdę?

Palicki przytaknęła skinieniem głowy.

– Żeby schwytać jednego seryjnego mordercę, potrzeba około trzydziestu doświadczonych, wyszkolonych agentów, koordynacji działań wszystkich służb porządkowych oraz czujności zwykłych obywateli. Często i to nie wystarcza. Zbrodniarzy tego typu cechuje zwykle wysoka inteligencja, a także czarująca osobowość. Wbrew powszechnie panującej opinii to nie są potwory w ludzkiej skórze, tylko na odwrót. Oni mają w sobie wiele dobrego. Taka odwrócona likantropia. Bez tego nie mogliby długo pozostać

nieuchwytni. – Stłumiła dłonią ziewnięcie. – Gavin pasuje do tego opisu.

Alan potrzebował chwili, żeby przetrwać natłok informacji. Znów miał to irytujące przeczucie, że Palicki próbuje wyprowadzić go w pole.

– To dlaczego z nim poszłaś?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Może chciałam, żebyś mnie uratował.

Wciąż patrzył przed siebie, nawet kiedy już go ominęła, klepiąc w ramię.

– Ty jesteś stuknięta, wiesz?

Alan obejrzał się przez ramię, słysząc nucenie. Znał tę melodię.

Palicki podeszła z powrotem do szczytu schodów i przykucnęła na zdrowym kolanie. Alan miał okazję przeczytać jej raport dotyczący dochodzenia w sprawie Rzeźnika z Greenwich. Zrobił to dwukrotnie. Osobiście uważał, że jest w nim sporo niedomówień, uproszczeń i omijania faktów. Zupełnie jakby czytał przeciętny kryminał jakiegoś debiutującego pisarza, ale liczył się efekt. Przełożeni nie szukali dziury w całym; dowody znalezione w domu 45-letniego mówcy pogrzebowego były niepodważalne. Zapamiętał zwłaszcza opis samego zatrzymania. Przypominał scenariusz rodem z horroru. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jakim cudem Palicki nie odeszła od zdrowych zmysłów.

Wstała i zawróciła. Zatrzymała się obok filaru, który obecnie musiał zawierać więcej ołowiu niż marmuru, i przeniosła wzrok na ścianę pokrytą rozbryzgami krwi, a także kawałkami kości i mózgu, jakby dorwało się do niej jakieś mroczne alter ego Jacksona Pollocka. Znów miała ten beznamiętny wyraz twarzy, a oczy zdawały się płonąć wewnętrznym blaskiem.

– Jeśli już skończyłeś mnie umoralniać, to proponuję, żebyśmy zajęli się tropieniem kolejnego wilkołaka. – Założyła ręce na klatce piersiowej. – Zaczniemy od tego, co znalazłeś w kiblku tej burżujskiej knajpy.

Alan zamrugał oczami i chrząknął.

– Tommy’ego Malone’a. Zakutego nożem do ryb. Zadowolona?

Palicki zacisnęła usta w zamyśleniu.

– Ulubiony ochroniarz Alexa „Gilotyny”, Tommy „Tom-Tom” Malone. O wielkim kutasie i małym mózgu... Myślałam, że gorzej skończy. Nie, nie

jestem zadowolona. Sprawdź, czy ten nóż pasuje do serwisu sztućców z tamtej restauracji. A jeśli tak, to na wczoraj chcę wiedzieć, kto tam był, przy którym stoliku siedział i co zamówił. Interesuje mnie zwłaszcza rysopis tych klientów, którzy zażyczyli sobie obiad z trzech dań.

Alan uśmiechnął się, drapiąc w głowę.

– Takich serwisów jest w Londynie więcej, niż mam włosów na głowie. Moja babcia wyciąga taki na święta Wielkanocne. Czemu tak się przy tym upierasz?

Palicki wskazała brodą na denata ułożonego pod ścianą.

– Bo ten może być do dania głównego. Kiedy twoja babcia nakrywa do stołu podwójny komplet sztućców, co to oznacza?

Alan zmarszczył brwi, spoglądając bezwiednie na swoje buty.

– Że ukochany wnuczek Alan ma wilczy apetyt – pomogła mu Palicki.

– A nasz zabójca długą listę – wyszeptał. – Skąd wiedziałaś?

– Od ciebie. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy zadzwoniłeś pierwszy raz, do pubu... Jak to się wyraziłeś...? Że zostali wybrani jak widelcem z talerza?

Alan podszedł bliżej i z zaciekawionym pochylił się nad niższą o dwie głowy Palicki.

– Możliwe, i co z tego?

Odsunęła się, udając, że nie chce się zapomnieć i zostawić odcisku buta w zaschniętej kałuży, w rzeczywistości obawiając, że podkomendny mógłby wyczuć od niej alkohol.

– Rozumowanie abdukcyjne to proces polegający na tworzeniu dla zbioru faktów ich najprostszego wyjaśnienia. Zakładając, że Tyler Nipar miał za mało czasu, żeby zaplanować wendetę za śmierć ojca, a dwóch lub więcej zamachowców posługujących się tym samym schematem, w zbliżonym do siebie czasie, to zbyt duży zbieg okoliczności...

– Zostaje najprostszy scenariusz – dokończył po chwili Alan.

Zaczęło padać. Deszcz zabębnił w szyby świetlika, co w opuszczonym przestronnym wnętrzu teatru brzmiało jak ostrzał na wojennym froncie.

– A więc według ciebie zabójca z restauracji położonej kilka przecznic na wschód – podjął Alan, wskazując palcem w stronę frontowych drzwi – wybrał się do klubu i dokonał kolejnej rzezi.

Palicki przytaknęła, jednocześnie wskazując kciukiem przez ramię, że wschód jest w drugą stronę.

– Jeden człowiek w jedną noc zabił dziesięciu ludzi i rozpułnął się w ciemności. – Cała powaga zniknęła z twarzy Alana, kiedy załamał ręce. – Czyś ty zwariowała?

Palicki wycelowała w niego ostrzegawczo palcem.

– Już trzeci raz tej nocy kwestionujesz moją poczytalność.

Alan oniemiał; jako jedynak wychowany przez samotną matkę był nad wyraz wyczulony na punkcie kobiet. Zanim zdążył wymamrotać przeprosiny, Palicki odwróciła się do niego plecami, przyglądając się dziurze w ścianie, gdzie tkwiła kula, która roztrzaskała czaszkę Jimmy’ego Morellego.

– Oto i twoja armata, Alan.

Sierżant spojrział ponad jej głowę.

– Magnum 357?

– Raczej 44.

– Broń Brudnego Harry’ego.

– Naboje tego kalibru przechodzą przez tkanki jak przez masło. To cud, że nikt postronny nie ucierpiał. Prawda? – spytała Palicki, zadzierając głowę.

– Tylko zbiry.

– Osobiście dopilnujesz, żeby spece od balistyki wyciągnęli ze ścian każdą cholerną kulę i porównali je z tymi z restauracji. Znajdź łuski.

Alan spojrział na tył jej głowy. Dyskretnie pociągnął nosem, upewniając się co do swoich podejrzeń, które miał, od kiedy usłyszał o odwróconej likantropii.

– W tym bałaganie potrwa to z tydzień.

– Powinny być przynajmniej cztery.

„Tak”, przyznał sobie rację w myślach, „była na bani”.

– Tutaj mamy pięć trupów, z czego tylko trzy podziurawione. – Słusznie zauważył.

Palicki chwyciła go za połą płaszcz i pociągnęła do krawędzi antresoli.

– Tak, ale ten niedźwiedź polarny nie spadł z nieba.

Alan powiódł wzrokiem wzdłuż metalowych krokwi rozciągających się pod dachem i na wysokości świetlika odnalazł wzrokiem zawieszony hak.

– A więc zabójca wszedł przez frontowe drzwi i udając się najkrótszą drogą na piętro, w pewnym momencie zaczął eliminować ochroniarzy.

– Tak brzmi muzyka – oznajmiła Palicki.

Alan rozdziawił usta.

– Ta... ale jak zdjął pozostałych? Pojawiły się nad ich głowami neony z napisem: To ten? – Wyciągnął ramię i wyprostował kciuk oraz palec wskazujący, przenosząc go kolejno od ciała do ciała, na koniec celując w hak. – Nie... nie kupuję tego, Palicki. Jakim cudem jeden człowiek, w jedną noc, miałby wysłać na tamten świat ośmiu uzbrojonych po zęby zbirów i dwóch najpotężniejszych gangsterów w mieście? Może powinniśmy dać mu etat?

– Już to dziś słyszałam – mruknęła.

– Nastroje w obozie niebieskich nie są zbyt bojowe.

Palicki zignorowała uwagę.

– Wszyscy mieli powyżej 180 centymetrów wzrostu, byli potężnie zbudowani i wyróżniali się w tych pogrzebowych garniturach. Spójrz tylko. – Wsunęła się za kolumnę. – Strzelali w jednym kierunku. – Skrzyżowała ręce, wskazując palcami przeciwne kierunki. – Celne strzały i gówniane pudła. Te celne łatwo odróżnić, ale jestem ciekawa, ilu z naszych umrzyków zdążyło nie tyle perfekcyjnie spudłować, co w ogóle wystrzelić.

– To potwierdzi analiza balistyczna. – Alan podrapał się w brodę. – Teoria linii strzału jak w zamachu na Kennedy’ego.

– Masz rację. – Palicki klepnęła podkomendnego w plecy. – Podobnie jak w Dallas, tutaj też coś nie gra. Czegoś takiego mógł dokonać tylko ktoś o niezwykłej precyzji, błyskawicznym refleksie i... – Przyłożyła palec do ust, patrząc, jak zacinające krople deszczu wpadają przez uchylone skrzydło świetlika – ...nadludzkiej determinacji.

Alan wzruszył ramionami. Słuchał innej muzyki niż Palicki.

– A jak tu wszedł z bronią? Przecież na zewnątrz stali ochroniarze, którzy na pewno...

– Decyzję podejmuje zawsze selekcjoner. Wpuszcza tylko nielicznych, którzy wedle jego uznania pasują do koncepcji klubu. Nie zaniżą jego renomy, utrzymają albo wręcz ją podniosą swoją obecnością. Tych ludzi

mami się obietnicą, że w miejscu takim jak to poznają kogoś, kto odmieni ich życie. W rzeczywistości chodzi o dopływ świeżej krwi i pięknego ciała, żeby sławy mogły się zabawić.

Alan posępniał, zwieszając ramiona. „Sławy”, pomyślał, przypominając sobie, że właśnie rozmawia z jedną z nich.

– A zatem ten gość musiał...

– Zapewne musiał mieć w sobie „to coś”. – Palicki płynnie zakołysała biodrami. – Ale co to dokładnie było, to już sam zapytasz, kiedy znajdziesz Steviego Rathcliffe’a.

– Fajnie – burknął Alan, próbując niezdarnie powtórzyć jej ruch, i w duchu musiał przyznać rację swojej żonie, kiedy spocony jak mysz poprosił ją do tańca na szkolnej zabawie, a ona po wszystkim powiedziała mu, że Michaeliem Jacksonem to on nie jest. – A co takiego trzeba w sobie mieć, żeby zostać takim selekcjonerem?

– Chcesz zmienić pracę, Alan?

– Myślę o tym, odkąd cię poznałem – odparł, zdając sobie po chwili sprawę, że Palicki już obok niego nie stoi. – Hej, zaczekaj!

Wszedł za nią po schodach prowadzących na piętro, słuchając, jak nuci. Na korytarzu doznał olśnienia. To było *Stairway to Heaven*.

Palicki z niedowierzaniem obejrzała włącznik światła na ścianie, na którym został utrwalony zakrwawiony, częściowy odcisk palca, i wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Alanem. To było niepodobne do zawodowca porywającego się na głowy największych gangsterów w mieście. No chyba że jego linie papilarne i DNA nie widnieją w żadnej bazie danych, do których dostęp ma MI5, Scotland Yard i wszystkie stowarzyszone agencje wywiadowcze takie jak CIA. Ten pierwszy, wyraźny trop jednoznacznie utwierdził Palicki w przekonaniu, że mają do czynienia z kimś z zewnątrz.

Idąc korytarzem do wskazanego przez Alana, znajdującego się na wprost gabinetu, z którego do niedawna „Wielki” Bob Brodin rządził połową miasta, Palicki odświeżała w archiwum swojej pamięci wiedzę na temat zdobywających w Londynie z roku na rok coraz większych wpływów rosyjskich wórow oraz ich metod działania. Mafijni żołnierze byli wyszkoleni i zdyscyplinowani jak prawdziwa armia, a także niezwykle

okrutni. Nie stronili od tortur i lubili zabijać swoje ofiary publicznie. Raz się z nimi zetknęła i wystarczyło, żeby pogratulować sobie w duchu, że nie ma męża ani dzieci. Nie pasował jej tylko jeden szczegół. Rzadko się zdarzało, aby sowieci działali w pojedynkę.

Zwolniła, wodząc wzrokiem wzdłuż ścian podziurawionych kulami po obu stronach korytarza. Na posadzce leżały odłamki drewna oderwane z otwartych na oścież drzwi, a właściwie tego, co z nich zostało, trzymając się na zawiasach. Za progiem czekał na nią następny denat, ale Palicki się nie spieszyła. Położyła dłoń na klamce i delikatnie zamknęła drzwi. Obejrzała dziury po kulach w solidnym stolarskim rzemiośle. Zerknęła przez ramię na stojącego tuż za jej plecami Alana i cofnęła się do wnęki prowadzącej do sąsiedniego pomieszczenia, aby po chwili zajrzeć do gabinetu przez znajdującą się na wysokości klatki piersiowej, wybitą od zewnątrz wyrwę w drzwiach. Wystarczy.

Palicki ostrożnie otworzyła drzwi na oścież, zostawiając je tak, jak zastała, i weszła do środka. Witające ją za progiem zwłoki należały do Donalda „Donniego” Donovitz, zaufanego zausznika „Wielkiego” Boba; słynącego z elokwencji uznanego mecenasa, a także znawcę luksusowych prostytutek i damskiego boksera. Leżąca obok ciała dwudziestka dwójka mogłaby pasować do dziur po kulach, które nie przebiły dębowych drzwi, ale Palicki bardziej zainteresowała walające się po dywanie łuski oraz łukowy magazynec od karabinku automatycznego.

Obróciła dowód rzeczowy w dłoni obleczonej w lateksową rękawicę, aby przekonać się, że jest pozbawiony amunicji, i machinalnie pomyślała o Gavinie. O tym, co teraz robi, a także o tym, co zrobi, kiedy znajdzie przyklejoną do drzwi lodówki, wyrwaną z notesu kartkę z numerem telefonu. Zadziwiająco, bo nigdy wcześniej jej się to nie zdarzało. Dotychczas faceci w jej życiu byli jak te wschody słońca za oknem, kiedy się z nimi rozstawała; piękni i ulotni. Lubiła ich wspominać, ale nigdy do nich wracać. W życiu, które wiodła, nie było miejsca na kompromisy. Tylko na puste, pozbawione uczucia, a z czasem też wyblakłe wspomnienia.

– Nikt niczego nie dotykał – zaręczył Alan, opierając się ramieniem o futrynę z rękami wsuniętymi w kieszenie płaszcza. – Patolog stwierdził

siedem zgonów, fotograf zrobił zdjęcia, a wkurzeni technicy czekają w furgonetce.

Palicki z zadowoleniem skinęła głową. W jej oczach gabinet „Wielkiego” Boba Brodina stanowił pozbawione gustu połączenie siedziby korporacyjnego watażki, aspirującego do miana niepodzielnego oligarchy. Ustawiona w kącie, zaginająca się pod sufitem palma i okazałe biurko, dominujące na ograniczonej przestrzeni, dawały jej jasny obraz człowieka pragnącego obsesyjnie odcisnąć swój ślad na tym świecie.

Palicki przystanęła na środku, uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę zaschniętych wymiocin. Kucnęła i wzbudzając niesmak obserwującego ją Alana, podniosła bułkę bez parówki, a następnie przystawiła do nosa; sos pomidorowy i musztarda rosyjska.

Przeniosła wzrok na barek pod ścianą, stwierdzając, że jest wystarczająco dobrze zaopatrzony, żeby potencjalnemu alkoholikowi wyjąć co najmniej tydzień z życia. Zastanowił ją obrotowy fotel z wysokim oparciem.

Obeszła biurko, skąd został zabrany, i przechyliła głowę, patrząc na stojący u swoich stóp aparat telefoniczny; porzucona w pośpiechu słuchawka wisiała na jednym z widełek.

– Jak myślisz, do kogo dzwonił? – spytał Alan, zachodząc z drugiej strony biurka.

– A ty do kogo byś zadzwonił, gdybyś miał brata bliźniaka?

– Tak myślisz?

Palicki westchnęła, kręcąc głową.

– Nie, tylko zgaduję.

Gestem kazała Alanowi się odsunąć, kiedy spostrzegła leżącą pod fotelem klamkę; złamana. Stała w progu ciemnej łazienki i spojrzała na swój cień, padający na wyważone drzwi.

– Światło było zapalone czy zgaszone?

– Zgaszone, tak jak teraz. Zapaliłem, kiedy przyszedł doktor Tucker. Nie musiał nawet wchodzić do środka, żeby stwierdzić zgon, ale i tak to zrobił.

Palicki uśmiechnęła się do siebie. Doskonale знаła starego Alfreda Tuckera i nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej. Nie należał do lekarzy, którym pacjenci – po uprzednio stwierdzonym zgonie – siadali na stołach

sekcyjnych.

Alan cofnął się na środek gabinetu. Palicki obejrzała się na niego.

– Ja już tam byłem – usprawiedliwił się, unosząc ręce.

Z ciasnej łazienki wydobywał się słodkawy odór krwi i bzyczenie much. W ciemności wyróżniały się kształty: kabina prysznicowa, wanna, szafka na ścianie, lustro, umywalka, sedes i coś wciśniętego w kąt, co na pierwszy rzut oka nie pasowało do tego pomieszczenia. Zapaliła światło.

Przeszła po wyważonych drzwiach; leżały nierówno na terakocie. „Coś musiało się pod nimi znajdować”, pomyślała, opierając nogę na dekle od sedesu i łokieć na kolanie.

– No i dograłeś się, co, Bob?

Alan dyskretnie się wychylił, zaglądając do łazienki.

Zwłoki „Wielkiego” Boba leżały w kącie, skurczone do pozycji embrionalnej, którą człowiek obiera w chwili tak wielkiego lęku, że nie jest w stanie go znieść i podświadomie chce wrócić do bezpiecznego łona matki. Łysa głowa przypominała owoc winogrona rozdeptany obcasem.

– Zły człowiek, martwy człowiek – mruknęła Palicki.

Alan obserwował ją, zasłaniając chusteczką nos i usta.

Palicki wyciągnęła z martwych dłoni „Wielkiego” Boba karabinek AK-47. Obejrzała go i przyłożyła kolbę do ramienia; mechanizm spustowy się zaciął.

Pochyliła się nad umywalką; na niebieskim kurku i w odpływie znajdowały się brunatne ślady i zacieki. Wolno podniosła wzrok, patrząc tam, gdzie niewątpliwie musiał patrzeć również zabójca. Na dłuższą chwilę zastygła w bezruchu.

– Co słyhać po drugiej stronie lustra? – zapytał w końcu zniecierpliwiony Alan.

– *Grozeszły się po mrokolicy* – zaintonowała Palicki zmienionym, chrypliwym głosem. – *Smokropne strasznowiny: Dziwolęk znowu smokolicy. Ponurzył się w grzęstwinie.*[\[11\]](#)

Alan zmarszczył brwi.

– Co ty pleciesz?

Palicki wskazała na drzwi.

– Złap z drugiej strony.

Podnieśli wyważone skrzydło i oparli o futrynę. Pod spodem znajdowała się skrzynka na narzędzia, a za nią niewielki otwór w terakocie pod wanną. Palicki nachyliła się, świecąc latarką do środka; znalazła tylko kurz i zerwane pajęczyny. Otworzyła skrzynkę i wyciągnęła młotek.

Alan poprawił poły płaszcza.

– Co teraz, pani inspektor?

Palicki dała mu gestem znać, że ma się zamknąć. Weszła do wanny i zaczęła opukiwać płytki.

– Mogę chociaż spytać...

Otworzyła drzwi do kabiny prysznicowej i dała krok, wchodząc do brodzika.

– ...czego ty właściwie...

Tuż nad kranem odpowiedziało jej echo pustej przestrzeni po drugiej stronie ściany. Zamachnęła się młotkiem i uderzyła, rozbijając płytkę.

– Palicki!?

Zaświeciła latarką do wybitego otworu. Zaciekawiony Alan wyjrzał ponad jej ramieniem i zaniemówił. Palicki gwizdnęła.

– Zadzwoń do kancelarii pani premier i powiedz, że rozwiązaliśmy problem deficytu budżetowego.

*

Pięć minut później znów stali na antresoli, gdzie w oparciu o uzyskane dane Palicki wysunęła pierwszą teorię. Po zasłyszanej rewelacji Alan długo wodził wzrokiem wzdłuż metalowych krokwi, pod sufitem dawnego teatru, aby ostatecznie wygłosić przemyślany komentarz.

– Nie ma szans.

Palicki nie odpuszczała.

– O której sprzątnięto Nipara?

– Około dwudziestej trzeciej.

– A Brodina?

– Jakież trzydzieści do góra czterdziestu minut później.

– Jak szybko dojechał tu pierwszy radiowóz?

Alan zmierzwił palcami rudą czuprynę.

– Najbliższy stał cztery ulice dalej. Dojechał tu w niespełna dwie minuty, od kiedy dyżurny przyjął zgłoszenie. Drugi znalazł się na tyłach klubu minutę później.

Palicki w zamyśleniu pokiwała głową.

– Za mało czasu, żeby uciec.

Alan bezradnie rozłożył ręce.

– A jednak. – Palicki wskazała palcem. – Zabójca wyszedł przez świetlik, wspiął się po schodach pożarowych na dach sąsiedniego budynku, a następnie tą samą drogą zszedł z drugiej strony niezauważony.

Alan sceptycznie przewrócił oczami.

– Zostaje tylko jeden szkopuł. Do najbliższej krokwi jest od konsolyty didżeja, a to jest jakieś... trzy i pół metra.

– To mnie właśnie zastanawia. – Palicki przygryzła dolną wargę, wpatrując się w uchylone skrzydło świetlika, dające się otworzyć jedynie od wewnątrz.
– Alan, z kim my mamy do czynienia?

Sierżant Alan Salisbury długo zastanawiał się nad odpowiedzią, zanim bezradnie wzruszył ramionami.

– Może z Harrym Houdinim?

*

W zacisznej, oznaczonej kamieniem umieszczonym w marmurowym murze rezydencji w Bexley paliło się światło na piętrze. Mickey Brodin przebrany w żałobny dwurzędowy garnitur siedział za biurkiem w domowej bibliotece służącej mu za gabinet. Z niewzruszoną, poźólkłą w świetle lampki twarzą i uporem maniaka trwał z przyciśniętą do ucha słuchawką, ale słowa otuchy, podobnie jak deszcz za wychodzącym na wrzosowiska oknem, nie były w stanie ugasić pożaru, podłożonego z rozmysłem w jego sercu.

– Dziękuję, ojcie Martin. – Mickey machinalnie, z zaszczepioną mu od dziecka pobożnością uklonił się do stojącego na biurku aparatu telefonicznego. – Przyprawdzą mamę na poranne nabożeństwo. Ojca kazania zawsze podnosiły ją na duchu i wierzę, że to – w intencji

ukochanego syna – choć odrobinę ukoi ból rozdartego matczynego serca.

Po drugiej stronie linii rozległo się stłumione ziewnięcie.

– Postaram się, Mickey, ale musisz mieć wzgląd na to, że natchnienie nie płynie jak manna z nieba podczas 40-letniej wędrówki Izraelitów po pustyni Synaj.

Gangster uśmiechnął się zaciśniętymi ustami. „Staruszek nic się nie zmienił”, pomyślał.

– Mam na to wzgląd, a ojca trudy potraktuję jako osobistą przysługę.

Wyrwany ze snu przez młodego wikarego ojciec Martin, choć nie miał w zwyczaju odbierać osobiście telefonów po godzinach pracy kancelarii parafialnej, ukontentowany wyraźnie się ożywił.

– Opiekuj się matką i zachowaj wiarę...

– Zrobię jedno i drugie – uciął Mickey, nie czekając, aż dobrodziej się rozgada.

– ...wygłoszę najzarliwsze kazanie od czterdziestu lat, kiedy chrzcilem ciebie i twójego... świętej pamięci brata Roberta.

– Szczęść Boże. – Słuchawka opadła ze szczękiem na widełki.

Mickey westchnął, przesuwając dłonią po strapionej twarzy. „Zawsze to samo”, rozmyślał w czarnej jak noc za oknem godzinie. Od dziecka otaczali go najpierw despoci i fanatycy, później lokalne łobuzy, wyłudzający haracze zbiry, a w końcu mordercy, przekupni politycy oraz mający nie mniejszą władzę niedzielni złodzieje. Uderzył się w pierś, szczerze przyznając, że w tym gronie nie był białym krukiem, ale czy w ogóle miał wybór? W zamyśleniu pokręcił głową. To było tak, jakby został przeklęty jeszcze przed swoimi narodzinami.

Spojrzał na telefon. No, dość już tego użalania się nad sobą. Czeka go jeszcze długa noc.

Podniósł słuchawkę i wybrał z pamięci kolejny numer. Rozmówca odebrał już po trzecim sygnale.

– Import-Export dla twojej firmy lub domu.

– Nazywam się Michael Brodin. – Podał kod pocztowy i adres. – Chcę zamówić import dla mojej firmy.

– Proszę poczekać.

Czekał posłusznie całą minutę, świadom, że po drugiej stronie linii ktoś przyciskał dłoń do słuchawki, informując kogo trzeba o jego telefonie. Być może nawet używał zniechęconego przezeń przezwiska.

– Witam, panie Brodin. – Głos był mocny i rzeczowy, ale miał też w sobie coś śliskiego; sposób, w jaki zmiękczał spółgłoski. – Szczere kondolencje z powodu pańskiej straty. W czym mogę pomóc?

Mickey wysunął dolną wargę, z uznaniem kiwając głową. Co prawda wątpił w szczerść kondolencji, ale docenił fakt, że z wyczuciem nie wymieniono imienia brata, co pogłębiłoby jego ból.

– Chciałbym, żebyście znaleźli pewną osobę – oświadczył bez zbędnego wstępu, podając imię, nazwisko, rysopis i domniemany adres. – Mówią na niego Szczur. Do niedawna jego chlebodawcą był Alex Nipar.

Po drugiej stronie zaległa grobowa cisza. Żadnego szumu, trzasku, przekładania słuchawki z ręki do ręki, tylko chłodna kalkulacja w ostrym jak brzytwa umyśle.

Mickey czekał z dyplomatyczną cierpliwością. W całym Londynie było raptem kilka osób, których naprawdę się obawiał. Mógłby je policzyć na palcach jednej ręki. Pierwsze miejsce zajmował jego nieżyjący ojciec. On i Bobby bali się go bardziej niż samego diabła, a jakby tego było mało, duch nieboszczyka po dziś dzień nie dawał mu spokoju; włącząc się po domu, paląc światła i trzaskając drzwiami. Dalsze miejsca zajmowali: żądny zemsty za śmierć ukochanej żony Alex Nipar; ponoć zwariował po tym felernym postrzale. Schedę po nim przejmie nie mniej szurnięty syn, Tyler. Tak, hydra ma wiele głów. Była jeszcze Żelazna Dama; sprawująca rządy silnej ręki premier Margaret Thatcher, prowadząca w całym królestwie krucjatę przeciwko tzw. „zbrodniczemu elementowi”. A także ta osoba.

Mickey nie lubił z nią rozmawiać. Dotychczas robił to Bobby, ale jego już nie ma, a on nie ma wyboru. Jeśli chce zachować pozycję, musi odnaleźć zabójcę brata i jego zlecniodawcę, a potem w przykładowy oraz widowiskowy sposób ich ukarać. Nie wiedział jeszcze w jaki, ale coś wymyśli; tak żeby całe miasto słyszało, a każdy następny drań wiedział, że zamiast strzelać do Brodinów, lepiej od razu palnąć sobie w łeb. Właśnie ta osoba go do nich doprowadzi, ale Mickey musiał być ostrożny. Są na świecie drapieźniki,

z którymi nawet lew musi się liczyć.

– Z całym szacunkiem, panie Brodin, ale nie mogę przyjąć tego zlecenia – oznajmił w końcu rozmówca.

Na twarzy Mickeya odbiło się zdziwienie.

– Dlaczego? Ja oraz mój brat wielokrotnie korzystaliśmy z waszych usług i zawsze wywiązywaliśmy się z finansowych zobowiązań na czas.

– Zachodzi konflikt interesów. Młody pan Nipar, mniej więcej przed godziną, złożył nam identyczne zamówienie.

Bobby w tym momencie wydarłby się do słuchawki, ale nie Mickey. Wygładził poły marynarki i wciągnął brzuch. Nadszedł czas na negocjacje.

– Ile wam obiecał?

– To nieistotne, panie Brodin. Jesteśmy rzetelną firmą o nieposzlakowanej opinii, bazującą na jakości naszych usług oraz...

– Wszyscy wiedzą, że Tyler Nipar to nieopierzony, niezrównoważony psychicznie zasraniec. Jeśli opierasz przychody swojej firmy na takich zleceniodawcach, to sam nie wiem, czy mam ci gratulować odwagi, czy boleć nad twoją głupotą. Ja proponuję czysty jak wody obejmujące Kajmany biznes.

Wytarł chusteczką krople potu z łysej głowy, rozważając, czy aby się nie zagalopował, ale negocjując, nigdy nie należy okazywać strachu. Zarzucił przynętę i czekał, aż ryba weźmie.

Wzięła.

– Pan Nipar dał już zaliczkę, a ja rozmawiam teraz z panem z czystej uprzejmości.

– Obiecał wam góra... pół bańki. Ja dam całą oraz pozwolenie na poszerzenie waszych wpływów na północnym brzegu miasta.

Oby się tylko nie zerwała.

– Połowę z góry, na konto banku w Szwajcarii, a resztę po dokonaniu importu – oświadczył zleceniobiorca.

Mickey odetchnął, zapominając zasłonić dłonią słuchawkę.

– Co do funta, tylko mi go, kurwa, znajdźcie!

– Spokojnie, panie Brodin. Proszę być dobrej myśli. Do usłyszenia – żegnając się, rozmówca nie krył zadowolenia z dobitego targu. W niczym nie

przypominał zaspanego, rozlazłego kaznodziei, próbującego wyszarpać garść srebrników nad grobem jego brata. To był w pełni przytomny, zorganizowany profesjonalista, znający swoją cenę.

Mickey oprzytomniał, dopiero kiedy usłyszał przeciągły sygnał kończący rozmowę, i zrozumiał, że jednak się zagalopował. Za schwytanie zabójcy swojego brata zapłacił nie tylko skrzynią złota, ale i daleko idącymi ustępstwami. Jeśli zleceniobiorca dotrzymania wszystkich warunków umowy, to mapa wpływów Londynu nieodwracalnie zmieni swój kształt.

Wyczerpany Mickey odchylił się w fotelu, patrząc na rozciągające się za oknem wrzosowiska. Wiedział już, jak czuł się Churchill, układając się ze Stalinem w Jałcie.

[10] (ang.) chuligani kibicujący drużynie Arsenal F.C.

[11] Wiersz Lewisa Carrolla pochodzący z jego książki: „Po drugiej stronie lustra”.

Rozdział 10

Londyn – 12 lipca 1985 roku

Godz. 05:49

Świt nad miastem przybrał barwę kawy z mlekiem, kiedy słoneczna poświata rozjaśniła czarne niebo. Szum pojedynczych samochodów dobiegał przez wybite okno na piętrze opuszczonej kamienicy przeznaczonej do rozbiórki. Mieszkanie wyglądało jak miniaturowe, zadaszone wysypisko; pełne starych, zniszczonych mebli i śmieci, z których większość stanowiły puste butelki i opakowania po jedzeniu na wynos. Pokryte wilgocią ściany szpeciło graffiti, namalowane ręką pozbawionego talentu pseudoartysty.

W zdewastowanej łazience, gdzie tynk sypał się z sufitu na powiew wiatru, żarzyła się żarówka. Rozebrana od pasa w górę Faith pochylała się nad stożkowym kawałkiem lustra, usuwając małym palcem resztki oka. Miękką konsystencją pękła, ale rdzeń pozostał twardy. Oko wciąż się trzymało na zaczepach mięśni i wiązaniu stanowiącym nerw wzrokowy. Szarpnęła. Granatowa tęczęwka zalśniła na dłoni, ale czarna źrenica rozlała się, kiedy mięśnie przestały ją trzymać w okrągłej formie, odsłaniając coś metalowego i nie większego od główki szpilki.

Faith zadrżała, a głęboko w oczodole czerwona tęczęwka, okalająca pierścieniem upiorną źrenicę w kolorze ecru, rozszerzyła się, zwiększając rozdzielczość. Oko wypadło jej z dłoni i stoczyło niczym kula śniegowa po pokrytej zaciekami umywalce do pozbawionego sitka odpływu. Kurtyna niepamięci uchyliła się, odsłaniając ukryty w głębi podświadomości obraz;

unosila się w szczelnym kokonie wypełnionym gęstą, oleistą konsystencją. Czula otaczające ją ciepło, wszechogarniający spokój i usilną chęć, żeby tam powrócić.

Zjawisko *déjà vu* trwało jedynie kilka sekund i tak jak się zaczęło, nagle dobiegło końca, pozostawiając w pamięci broczącą smutkiem, otwartą ranę.

Na dole rozległ się hałas. Kopnięte drzwi uderzyły o ścianę przy wtórze ryku dzikich bestii. Było ich czworo. Dowodził trzydziestoletni recydywista, postrach dzielniczy zwany Skórzaną Szczęką. Ubrany w dzinsową kurtkę bez rękawów z odsłoniętymi, umięśnionymi ramionami i długimi, skołtunionymi włosami, swój wdzięczny pseudonim zawdzięczał tatuażowi kamuflującemu powstałe po oparzeniach blizny na dolnej części twarzy, które szpeciły go od dzieciństwa. Tuż za nim, jak cień, kroczył krępy, rubaszny młodzieniec z wydatnym brzuszkiem i chudymi kończynami, nazywany przez okolicznych Robal. Wysoki blondyn o wyłupiastych oczach i ospowatej cerze nie miał ksywy, wszyscy zwracali się do niego po imieniu – Russell. Na końcu człapał najmłodszy, a zarazem najnowszy członek gangu; chorobliwie chuda, roześmiana nastolatka z kółkiem w nosie. Miała na imię Alicia, ale pozostali wołali na nią Panna Pierce, ponieważ ze wszystkich nałogów, którym się oddawała, za najbardziej dziwaczny uznawali regularne oglądanie amerykańskiego serialu *Detektyw Remington Steele*; bynajmniej nie dla fabuły, a obsesyjnej fascynacji grającym w nim główną rolę irlandzkim aktorem, czego sama do końca nie rozumiała.

Wszyscy byli zmęczeni, wściekli i niedopici. Powody ich frustracji zdawały się mnożyć za każdym rogiem; papierosów w paczce było wечно za mało, w oknach sklepów monopolowych zaczęto wstawiać pancerne szyby, a noc była dla nich, jak zawsze, zbyt jasna i za krótka, żeby mogli dać temu miastu do zrozumienia, że to ono należy do nich, a nie oni do niego.

Pociechę stanowił fakt, że oto mają przed sobą cały dzień, żeby odespać i zaplanować następny wypad – a nie tak jak reszta nieudaczników iść do głupiej roboty – ale intruz, którego zastali na swojej melinie, skutecznie rozbudził ich drapieżne instynkty.

– Hej, ty! – ryknął Skórzana Szczęka.

Nieznajomy stał odwrócony przodem do okna, zdając się go nie słyszeć.

– Pomyliłeś budynki, koleżko? To nasza nora! – zawtórował Russell.

– I nawet płacimy za nią czynsz – wtrącił Robal, wzbudzając salwy śmiechu wśród kompanów.

Skórzana Szczęka uniósł zaciśniętą pięść, nakazując im milczenie. Zmierzył intruza wzrokiem: skórzana kurtka bez emblematu przynależności do gangu, dość wysoki, ale szczupły. Jeśli gość nie jest uzbrojony, to będą mieli z nim kupę zabawy, a wieczorem wrzucą do stojącego w zaułku kontenera na śmieci i zakleją taśmą wieko.

– Nikt, kto ma równo pod sufitem, nie wszedłby tu z własnej woli – oświadczył, machinalnie rozbawiając pozostałych. – Wiesz, co oznacza ten znak?! – Wskazał na pokrywające ścianę graffiti, gdzie widniała czaszka z dwoma skrzyżowanymi butelkami zamiast puszczeli i wyzierającym z oczodołu zielonym węzem, chwytającym w paszczę białego gołębia. – Pytam po raz pierwszy i ostatni: kim ty, kurwa, jesteś, że włączysz tutaj jak do siebie!?

– A kogo to obchodzi – prowokował Russell. – Bierzmy się za niego.

Nasyciwszy się widokiem swojego pierwszego wschodu słońca, Faith odwróciła się tyłem do okna, stając w majestatycznej aureoli. Skórzana Szczęka i wyglądający mu zza ramion kompani zmrużyli oczy, dostrzegając kobiece kształty.

– Patrzcie, co kot przywłókł – mruknęła przeciągle Panna Pierce, wychodząc przed szereg. – Ja chcę kurtkę i buty. Reszta jest wasza.

– To Ray Ban? – Russell zamrugał wyłupiastymi oczami, namierzając przynależny mu łup.

Faith opieszale sięgnęła do twarzy, zdejmując ciemne okulary.

Trzydzieści sekund później Skórzana Szczęka wypadł z budynku razem z drzwiami. Za nim biegł wrzeszczący Russell. Robal potknął się w progu, a kiedy próbował złapać równowagę, wpadła mu na plecy Panna Pierce, popychając na chodnik. Cała czwórka zniknęła w pobliskim zaułku.

Obserwująca ich z okna Faith z powrotem włożyła ciemne okulary.

Nad połyskującymi w poświacie brzasku wodach Tamizy rozbrzmiała syrena promu. Czerwony volkswagen golf minął port handlowy w Woolwich, rozległy park po drugiej stronie ulicy, i przeciął skrzyżowanie z niedziałającą sygnalizacją świetlną, wjeżdżając na senne osiedle nowo postawionych, czteropiętrowych bloków z czerwonej cegły. Siedzący za kierownicą sierżant Alan Salisbury, pomimo nieludzko wczesnej pory, był pełen wigoru, jak zawsze, kiedy słyszał głos Stevie Nicks; tym razem w wykonaniu melancholijnego usypiacza *Dreams*, na który Palicki zareagowała wręcz odwrotnie. Obudziła się, kiedy partner niezdarnie zaparkował, uderzając kołem o krawężnik. Przetarła zaspane oczy, rozpoznając znajomą okolicę, i chwyciła za klamkę, otwierając drzwi od strony pasażera.

– Dzięki.

– Nie musisz dziękować za każdym razem, kiedy odwożę cię do domu.

– A to dlaczego? – Obejrzała się, tłumiąc dłonią ziewnięcie. – Kulturalni ludzie dziękują sobie, kiedy jedno zrobi coś dla drugiego.

Alan westchnął, drapiąc się po głowie.

– Ja chyba już taki jestem.

Palicki cofnęła nogę z chodnika, przymykając drzwi.

– Jaki?

Alan wzruszył ramionami, unikając jej wzroku.

– Zawsze muszę wszystko doprowadzić do końca. To silniejsze ode mnie. Dostrzegam sens tylko wtedy, kiedy wiem, że jestem komuś potrzebny. Może to przez to, że ojciec od nas odszedł... ode mnie i od mamy.

Palicki wciągnęła przez usta rześkie, poranne powietrze i zakłęła w duchu, że zamiast pytać, zwyczajnie się nie pożegnała. Nie nawykła do takich rozmów. Takiej otwartej, rozbijającej szczerości, którą potrafili znienacka zaskoczyć tylko wrażliwi i niezdolni do tłumienia w sobie bólu ludzie jak Alan. Pomimo doktoratu z kryminologii nie czuła się kompetentnym rozmówcą, ale skoro już tak wyszło, to postanowiła chociaż się postarać. Nacisnęła w radiu przycisk STOP; Stevie poszła spać.

– Może. – Palicki położyła Alanowi dłoń na ramieniu. – A może to nie ma z nim nic wspólnego, a ty po prostu jesteś dobrym człowiekiem. Nosisz w sobie dobrą cechę, powinieneś ją pielęgnować, a nie analizować. To nie

zaprowadzi cię do miejsca, które chciałbyś odnaleźć.

Alan obrócił głowę, mrużąc oczy.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. – Palicki klepnęła go w ramię. – I pamiętaj, że zaliczasz się do nielicznych, którzy ją posiadają. Założę się, że w szkole byłeś przewodniczącym klasy.

– Sekretarzem.

– To dobrze się składa, panie sekretarzu, bo napiszesz na popołudnie raport.

Alan uśmiechnął się, biorąc głęboki wdech. Istnieje pewien nienazwany stan ducha, w którym radość miesza się z lękiem, jak tęcza wyłaniająca się z deszczowej chmury. Ludzie obdarzeni empatią potrafią w niej dostrzec osobliwy kontrast, budzący skojarzenia z udeptaną ścieżką w gęstym, ciemnym lesie, i choć nie wiedzą, dokąd prowadzi, to nie mogą się oprzeć pokusie, aby nią podążać.

– Ja?

– To twoja pierwsza duża sprawa. – Palicki pchnęła drzwi i wysiadła. – Zobaczysz, jak to jest być sławnym.

– A ty?

– Ja pójdę spać.

Zamknęła drzwi samochodu i odwróciła się, ruszając w stronę ganku. Wstuknęła kod w domofon. „Iluzja bezpieczeństwa”, pomyślała, otwierając oszklone drzwi prowadzące na klatkę schodową.

– Wpadnę po ciebie około siódmej! – krzyknął przez uchylone okno Alan.

Palicki wdrapała się po schodach na piętro, czując znajomy fetor zgnilizny dochodzący z piwnicy, który czuć było w każdym mieszkaniu. Na zebraniu rady mieszkańców specjalista zajmujący się takimi przypadkami obszernie wyjaśnił, że system wentylacyjny w ścianach bloku posiadał wadę konstrukcyjną, przez co pleśń może się dogodnie rozwijać. Wiązały się z tym przykre dolegliwości jak ból głowy, pieczenie oczu czy przewlekłe zmęczenie, bynajmniej niespowodowane trudami roboczego tygodnia. Na koniec dodał, że pleśń można usunąć, ale to wymaga czasu. Siedząca na krześle ustawionym najbliżej drzwi świetlicy Palicki była zafascynowana wykładem. Sąsiad z drugiego piętra, wybrany na przewodniczącego rady,

wstał z miejsca i najwyraźniej uważając, że w zakres jego obowiązków wchodzi troska o dobry humor mieszkańców, wygłosił własną teorię, jakoby za fetor był odpowiedzialny mieszkający za dnia w piwnicy, a nocami grasujący po korytarzach *Potwór z bagien* z horroru Wesa Cravena. Przemowa spotkała się z gromkim aplauzem. Tamtego wieczoru Palicki poważnie zaczęła wątpić, czy inwestycja w nowe mieszkanie w bloku była dobrym pomysłem.

Otworzyła kluczem drzwi, słysząc równoległy szcęk klamki i brzdęk łańcucha założonego w drzwiach mieszkającej za ścianą sąsiadki.

– Dzień dobry, pani Forsyth.

W szparze pojawiła się pomarszczona twarz starej kobiety, łypiąca bystrymi i nieufnymi oczami polującej sowy.

– Nie było cię całą noc, już myślałam, że coś się stało – oświadczyła Dorothy Forsyth; mieszkająca samotnie, dziewięćdziesięcioletnia zdewociała wdowa, której Palicki w pierwszym tygodniu po przeprowadzce zaoferowała pomoc w wynoszeniu śmieci i robieniu zakupów w pobliskim Super Markecie. Ceną za ludzki gest była całodobowa troska o jej zdrowie, regularnie nadwątlane papierosami wypalnymi na balkonie, i życie, które niechybnie mogło się skończyć, rzecz jasna, nocą spędzoną poza domem.

– Bo się stało. Pracowałam.

Oczy sąsiadki podejrzliwie się zwęziły.

– Mówiłaś w zeszły czwartek, że masz dwutygodniowy urlop.

Palicki z westchnieniem pchnęła drzwi do swojego mieszkania.

– Już nie... niestety.

Stara kobieta zmarszczyła pokryty bruzdami kartoflany nos, wyczuwając oprócz znajomego fetoru zgnilizny jeszcze inny; pozamałżeńskiego seksu.

– Pieprzenie.

Palicki oparła dłoń o ścianę, wychylając się z wycieraczki.

– Proszę obejrzeć poranne wiado...

Trzasnęły drzwi sąsiedniego mieszkania, a po nich kolejno dwie zasuwki – górna i dolna – oraz wykonany na zamówienie rygiel.

Palicki zamknęła usta w pół słowa, rozważając, jak to będzie z nią, kiedy – i jeśli – dożyje sędziwego wieku, ale ponieważ żadna pora – ani wczesna, ani

późna – nie sprzyjała dalekiemu wglądowi we własną przyszłość, skupiła się na bieżących sprawach.

W mieszkaniu panowała ciemność, ale we wpadających przez odsłonięte okna promieniach brzasku można było dojrzeć zarys wyłożonego wykładziną przedpokoju. Z lewej, za na wpół przymkniętymi drzwiami, znajdowała się garderoba. Z prawej ściana z zawieszonym lustrem. Zamknęła drzwi, przekręciła zamek i zapierając się jedną stopą o drugą, zsunęła buty.

Cały salon pokrywał gruby, miękki dywan i nowe meble. Na wprost oszklone drzwi wychodziły na ulicę i rozpościerający się dalej park. We wnętrzu po lewej został urządzony odgradzony blatem aneks kuchenny. Po prawej, w przeciwległej ścianie, znajdowały się dwie pary drzwi: jedne – otwarte – prowadziły do łazienki, a drugie – zamknięte – wiodły do sypialni. W narożnik salonu udało się wcisnąć biurko i szafkę – od podłogi do sufitu – wypełnioną powieściami kryminalnymi, kasetami VHS i magnetofonowymi. Ceną za londyński adres dwupokojowego mieszkania było rodzinne gospodarstwo – położone ponad 100 km na zachód od stolicy – w pozbawionej komunikacji publicznej wsi, kojarzonej wyłącznie z postacią pisarza Iana Fleminga, pochowanego na tamtejszym cmentarzu przed dwudziestoma laty.

Palicki nie chciała czekać tam całego życia, aż pochowają także i ją, więc zaraz po śmierci rodziców wszystko sprzedała. Zaczynając dzień od obrządku w oborze, wiecznie rozmarzona matka pewnie by ją zrozumiała, ale zarzynający się dzień po dniu na polu ojciec musiał przewracać się w grobie. Ironia losu polegała na tym, że przez całe swoje dwa żywoty rodzice Palicki nie przeczytali ani jednej książki. Młodość pielęgniarki Gwen i plutonowego Andrzeja, liżącego rany w szpitalu polowym po krwawym boju pod Monte Cassino, przypadła na objęte chińską przepowiednią „ciekawe czasy”, a po osiedleniu się w Anglii byli zbyt zajęci uprawą roli oraz długoletnimi staraniami o upragnionego syna. Katolicki Bóg, do którego wspólnie co niedziela zanosili swoje modły, nie pozostał na nie głuchy, ale miał też poczucie humoru. Mała Nell od dziecka uwielbiała słuchać wojennych opowieści taty, a potem zastąpiła je książkami. Przeczytała ich tysiące, wraz z treścią wysysając światopogląd niemieszczący się w wąskich ramach

wiejskiego zaścianka.

Rzuciła kurtkę na fotel i weszła do aneksu. Lodówka świeciła pustkami, ale o tak wczesnej porze głód jej nigdy nie doskwierał. Wyciągnęła butelkę ulubionego irlandzkiego piwa. Pociągnęła z gwinta długi, przyprawiający o mdłości łyk, a resztę przelała do szklanki; hołdując zasadzie, wedle której nawet samotność nie zwalniała od kultury picia.

Wróciła do salonu, uruchomiła wieżę hi-fi ustawioną na odbiór ulubionej radiostacji, preferującej muzykę rockową, i opadła ze znużeniem na kanapę, kładąc nogi na ławę.

– ...rzeczniczka prasowa rady miejskiej oświadczyła, że do wieczora zostaną usunięte wszystkie skutki awarii zasilania, które wczoraj sparaliżowały Wielką Brytanię. Prądu zabrakło również w krajach północno-zachodniej Europy, ale jak dotąd nikt od Lizbony po Berlin nie wyjaśnił przyczyny tego zjawiska – oświadczył próbujący wycisnąć z tematu więcej niż się dało dziennikarz muzyczny. – Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że jutrzejszy koncert Live Aid przebiegnie bez zakłóceń, a jako dobry zwiastun posłuchajmy wspólnie najlepszego z najlepszych, który jutro, na stadionie Wembley, zapowiedział swój występ.

Palicki wychyliła ze szklanki, zapaliła papierosa i oparła głowę na oparciu kanapy. Patrzyła beznamiętnym, drżącym wzrokiem na wpadające przez okno, wypalające cienie w jej salonie promienie wschodzącego słońca, wyobrażając sobie stojącego w nich Davida Bowiego, śpiewającego *Heroes*.

Zanim piosenka dobiegła końca, niedopalony papieros wysunął się spomiędzy jej palców do popielniczki i zasnęła, zanurzając się w otchłan czyhających na nią koszmarów.

CZEŚĆ 5

NIEZŁOMNY DUCH

Rozdział 11

Londyn – 12 lipca 1985 roku

Godz. 20:22

Ostatnie promienie dogorywającego dnia świeciły już tylko w najwyższe okna wieżowców. Pozamykano biura i sklepy, a środki komunikacji miejskiej zaczęły kursować coraz rzadziej. Serce Londynu przesunęło się z Saint James Park – lekko na północny-zachód – do Covent Garden, i znowu zaczęło bić. W dzielnicy rozrywki – jedna po drugiej – zapalały się latarnie i kolorowe neony, dając miastu drugie życie.

Wielkomięski zgiełk odbijał się w ciemnych okularach Faith, od dłuższego czasu stojącej opartą plecami o ścianę teatru operowego i wpatrzonej w jeden punkt, jak jastrzęb szykujący się do pikowania. W oczekiwaniu na zmierzch zdążyła odmówić grupce pijanych turystów przyłączenia się do maratonu po pubach oraz dwóm podejrzanym typkom proponującym odpłatne pozowanie do aktu.

Ponad ocalałymi z zawieruchy wieków – ozdobionymi spływającą po ścianach winoroślą – klasycystycznymi kamienicami wyłaniały się wieżowce; smukłe i niedostępne, a także spełniające wszystkie wymogi przepisów przeciwpożarowych. Faith odepchnęła się stopą od ściany, zanurzając w ulicznym labiryncie beztroski i gąszczu przechodniów entuzjastycznie nastawionych na weekend.

Kwadrans później oraz cztery przecznice dalej stanęła przed ośmiopiętrowym budynkiem. Upewniła się, że wychodzące na taras okno,

znajdujące się na najwyższej kondygnacji, wciąż jest uchylone i przeszła na drugą stronę ulicy. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. Ktoś ciągle wchodził i wychodził, toteż pierwszą przeszkodę pokonała bez problemu. Potem już było trudniej.

– Przepraszam?! – zawołał stary portier, otwierając drzwi dyżurki. – A panienska do kogo?

Faith rozejrzała się po holu i z ociąganiem podeszła do kontuaru portierni.

Stary portier nie znał tej młodej kobiety. Choć pamięć w ostatnich latach często go zawodziła, tego oczywistego faktu był pewien. Od ponad roku znajdował się w przedziale wieku emerytalnego i szczerze bolał nad tym, że nie ogląda trzeciego sezonu ulubionego serialu *Allo 'Allo!* we własnym mieszkaniu, tylko po kryjomu na przemyconym przenośnym telewizorku, w ciasnej niczym schowek na szczotki portierni. Niestety scenariusze pisane przez życie, w odróżnieniu od tych w telewizji, były nieprzewidywalne i tak strudzony konduktor kolei miejskich znów został wezwany na służbę. Mógłby teraz siedzieć w ulubionym fotelu, żyjąc z należnych mu, ciężko zapracowanych profitów, pozwalających samotnemu wdowcowi na względnie godziwą starość, ale nie, gdy miał córkę, która samotnie wychowywała ukochanego wnuczka. Nie było wyjścia, musiał jakoś dorobić do emerytury, i choć praca portiera na nocną zmianę mu nie służyła, to mimo wszystko nie zamierzał lekceważyć swoich obowiązków. Jednym z narzuconych przez administratora budynku było wypytywanie wszystkich obcych, do kogo przyszli.

Młoda kobieta w ciemnych okularach i skórzanej kurtce położyła dłonie w mitenkach na blacie kontuaru.

– Przyszłam do Ginger.

Stary portier zamarł, jakby usłyszał odgłos grzmotu zbliżającej się burzy. Znał dobrze to imię; należało do kobiety mieszkającej na ósmym piętrze. Zanim podjął pracę, administrator budynku poinstruował go nie tylko o zakresie obowiązków, ale i przestrzegł przed znanym w mediach, pewnym „małym człowiekiem”. Portier skinieniem głowy potwierdził, że zna z wiadomości owego „małego człowieka”. Administrator dodał, że gdyby taki zjawił się w budynku, a będzie to robił zazwyczaj dwa razy w tygodniu,

należy jego i towarzyszące mu osoby o nic nie pytać oraz wykazać szczególną czujność. Na co? – zapytał wówczas przyszły portier. Na wszystko, co może się zdarzyć – odparł niejasno administrator, insynuując, że jeśli zajdzie potrzeba wezwania policji lub pogotowia, to najpierw – bez względu na porę – należałoby wykręcić jego prywatny numer w celu dalszej konsultacji.

– Ach tak – westchnął stary zmęczony konduktor; poczucie obowiązku nie pozwalało mu przepuścić żadnemu gapowiczowi, ale z drugiej strony był już na emeryturze. Obrócił leżącą na blacie Księgę Wejść i Wyjść, podając wieczne pióro, i poprosił, wyjątkowo nie nalegając:

– Zechce się panienka wpisać?

Młoda kobieta uśmiechnęła się i ostentacyjnie pochyliła, odczytując przez ciemne okulary jego imię wygrawerowane na złotej plakietce zatkniętej agrafką na dumnej piersi: *Winston*. W rubryce wejść wpisała po prostu: *Faith*. Portier o nic więcej już nie zapytał. Odprowadził kobietę wzrokiem do windy, a kiedy ta w niej zniknęła, w rubryce „wejść” sumiennie wpisał godzinę. Potem wrócił do ulubionego serialu.

Faith wysiadła na ósmym piętrze, ale zamiast ruszyć korytarzem, pchnęła drzwi prowadzące na klatkę schodową. Na szczycie schodów znajdowały się kolejne drzwi, zamknięte na klucz. Chwyciła za poręcz i naparła barkiem na przeszkodę. Przy trzecim uderzeniu drzwi ustąpiły. Wyszła na płaski dach i zaczerpnęła w płuca rześkiego wieczornego powietrza, omiatając wzrokiem panoramę miasta. Nie tracąc czasu, wydobyła zza paska rewolwer, podeszła do przymocowanej do ściany wyłazu skrzynki i rękonożką rozbiła zabezpieczającą drzwiczki kłódkę. Rozwinęła wąż pożarniczy; upewniła się, że łącznik jest dobrze podłączony, a drugi koniec zaciągnęła na krawędź dachu i opuściła wzdłuż ściany. Wąż tłoczny miał tylko jedno zastosowanie, ale łatwość zwijania umożliwiła jego wykorzystanie do jeszcze innego celu.

Przełożyła nogę nad krawędzią i po chwili wisiała już na wysokości 25 metrów. Chwyciwszy dłońmi – w zwiększających tarcie mitenkach – szorstki materiał i krzyżując nogi w kostkach, wolno opuściła się na wysokość tarasu. Chłodny podmuch wiatru szarpnął jej ciałem, przypominając o nieujarzmionej sile natury. Wsunęła stopę między metalowe pręty barierki,

a następnie złapała za poręcz. Na tarasie stały rattanowe meble i sztuczna palma kokosowa. Podwójne oszklone drzwi prowadziły do przestronnego salonu; wewnątrz grała muzyka, ale poza tym nie było widać żywego ducha.

Postawiła stopy na tarasie i wciągnęła za barierkę wąż. Na stoliku leżała popielniczka wypchana po brzegi petami, ale żaden się nie dymił. Podeszła do okna, pchnęła uchylone skrzydło i wskoczyła na parapet. W salonie stały drogie meble, po lewej stronie wykuto w ścianie marmurowy kominek z paleniskiem na gaz, a po prawej znajdował się aneks kuchenny, który bardziej przypominał dobrze zaopatrzony bar. Na ławie stał włączony telewizor; mężczyzna w marynarce cedził przez zęby monolog, celując rewolwerem w bezbronną ofiarę.

Wyszła na korytarzyk, minęła hol i przystanęła pod drzwiami prowadzącymi do sypialni. We wnętrzu wibrowała muzyka, odbijając się od ścian: wokalista przyjemnym, agresywnym tonem śpiewał, że życie jest niczym, jak tylko żartem.

Wślizgnęła się do środka, omiatając pomieszczenie lufą rewolweru. Na wprost łóżko przykryte narzutą z lamparciej skóry. Dalej czterodrzwiowa szafa, a na przeciwległej ścianie lustro, sięgające od podłogi do sufitu. Na komodzie stała kolekcja płyt oraz japoński gramofon. Po podłodze wił się kabel telefonu, znikając w drzwiach kolejnego pomieszczenia.

Zaparowana łazienka tonęła w bieli niczym arktyczna grotka. W wilgotnym powietrzu unosiły się bąbelki piany i czuć było zapach olejku eterycznego. Ginger leżała wyciągnięta w wannie, ze skrzyżowanymi stopami opartymi o krawędź oraz słuchawką przyciśniętą do ucha. Zepsuty piątkowy wieczór rekompensowała sobie mieszanką aromaterapii z relacją z życia dziewczyny gangstera.

– ...przecież to był jego brat, Grace. W dodatku bliźniak. Przerazający człowiek. Mickey jest inny. Jezu, zabiłby mnie, gdyby to usłyszał, ale może dobrze się... Grace? – W słuchawce rozległ się przeciągły dźwięk zerwanego połączenia, kiedy czyjaś stopa nacisnęła na widełki stojącego na posadzce aparatu. Wzdłuż ściany przesunął się cień. Ginger uniosła wypielegnowane brwi, aby po chwili zareagować z typowym dla siebie entuzjazmem.

– A kim ty, kurwa, jesteś?! Jak tu wlaźłaś?!

Nie doczekała się odpowiedzi. Młoda kobieta w skórzanej kurtce spojrzała w lustro, poprawiając ciemne okulary zasłaniające pół twarzy, i ze znużeniem usiadła na sedesie.

Ginger oniemiała, będąc świadkiem tak niesłychanej arogancji, a ponieważ na wszystkie nietypowe wydarzenia w swoim życiu zwykła reagować żywo, toteż i tym razem nie zastanowiła się nad motywami osoby zadającej sobie trud dostania się do jej apartamentu, pomimo zamkniętych drzwi, przechodząc od razu do słownej perswazji.

– Wypieprzaj z mojej łazienki!

Czerwone światełko w jej głowie zapaliło się dopiero, kiedy dostrzegła zwisającą niedbale z dłoni kobiety broń. Poznała po bębenu, że był to rewolwer. Nie pistolet. Mickey też taki nosił, tylko że ten był srebrny, a tamten czarny. No i znacznie większy.

– Nie krzycz – powiedziała nieznajoma; zabrzmiało to bardziej jak prośba niż rozkaz.

– Nabity? – spytała cicho Ginger.

Nieznajoma potwierdziła skinieniem.

– Czego chcesz? Pieniądze są w...

– Szukam Michaela Brodina.

Ginger potrzebowała pięciu sekund do namysłu, aby ostatecznie wydać swoje ponętne usta i wzruszyć ramionami wystającymi z pianistej kąpieli

– Pomyłka. Tu nikt taki nie mieszka.

Nieznajoma w milczeniu przyglądała jej się przez ciemne okulary.

Nie mogąc znieść dłużej niezręcznej ciszy, Ginger potrząsnęła głową, aby podkreślić prawdomówność własnych słów.

– Nie znam człowieka.

Nieznajoma przechyliła głowę, przyglądając jej się z ukosa.

– Nie kłam, Ginger. Wiem, że cię odwiedza. – Wzruszyła brwiami ponad okularami. – Regularnie.

Ginger odwróciła wzrok, zmieniając pozycję. Z wypełnionej po brzegi wanny chlupnęła woda, wylewając się na posadzkę.

– Pomyliłaś mieszkania. Popytaj u sąsiadów. – Wskazała palcem dłoni, w której wciąż trzymała słuchawkę. – Zaczynij od tych pode mną,

narzekających na hałas i ciekącą wodę.

Nieznajoma przeczesła palcami krótkie, ale gęste czarne włosy.

– Mam za sobą ciężką noc. Boli mnie głowa... a zabijanie jest męczące.

Ginger upuściła słuchawkę, chwytając się za krawędź wanny.

– To ty zabiłaś Bobby’ego?

– Tak.

– A teraz chcesz zabić Mickeya?

– Tak.

– Dlaczego? Ktoś ci zapłacił?

Nieznajoma nie odpowiedziała, siedząc w bezruchu jak zaklęta w biblijny słup soli.

Zanurzona w gorącej wodzie Ginger zadrżała, chowając stopy.

– Mnie też zabijesz?

Nieznajoma wolno pokręciła głową, dodając:

– Nie, jeśli nie będę musiała. – Kciukiem odciągnęła kurek rewolweru. – Michael Brodin.

Ginger zawsze miała cięty język, nieliczni szczęściarze przekonali się, że też potrafiła czynić nim prawdziwe cuda, ale teraz potrzebowała go, żeby ujść z życiem, toteż szybko jej się rozwiązał.

– Dziś do mnie nie przyjdzie.

Nieznajoma nachyliła się, opierając łokcie na kolanach.

– A gdzie mogę go znaleźć?

– A diabli go wiedzą! – Ginger przewróciła oczami. – Przychodzi mi do głowy z tuzin miejsc.

Nieznajoma zacisnęła usta, kręcąc głową.

– Nie pomagasz mi, Ginger. Ja stąd nie wyjdę, dopóki mi czegoś nie powiesz. A ty na pewno nie chcesz sprawdzić, jak smakuje lufa tego rewolweru.

Ginger przełknęła ślinę.

– Sprawdzałaś w domu?

Nieznajoma ściągnęła brwi.

– W domu, w Bexley?

– Nie uwierzysz, ale on wciąż mieszka ze swoją matką. Nawet kiedy jest ze

mną, nigdy nie zostaje do rana. – Ginger bezradnie rozłożyła ręce, chlapiąc wodą. – Na miłość boską, w zeszłym miesiącu skończył czterdzieści lat!

Gdzieś w oddali, ponad konwersacją dwóch nieznanym sobie kobiet i muzyką rozbrzmiewającą w sąsiedniej sypialni, rozległ się dźwięk syreny strażackiej.

Faith w zamyśleniu pokiwała głową.

– To musi być przykre.

– Pojęcia nie masz.

Uśmiechnęła się nieznacznie na przelotne wspomnienie życzliwego taksówkarza. Młoda murzynka o skórze czarnej jak heban i krótkich kręconych włosach imponowała jej charakterem, a także niezłomnością ducha nawet w sytuacji dramatycznej.

– Po co ci te okulary?

Faith odruchowo sięgnęła dłonią do twarzy.

– Nie zrozumiesz, ale to dla twojego dobra.

Ginger zrobiła duże oczy, faktycznie nie rozumiała.

Faith podniosła się z sedesu.

– Wyskakuj z wanny.

Ginger podniosła na nią wzrok.

– Mam ci pomóc? – zapytała Faith.

Ginger zasłoniła się pokrytymi pianą ramionami, kiedy nieznajoma przeszła wzdłuż łazienki, stając w progu, a kiedy obróciła głowę, na jej twarzy wylądował ściągnięty z haczyka puchowy ręcznik. Faith wyszła do sypialni, chowając rewolwer z tyłu za pasek spodni. W łazience chlupnęła woda. Ginger wygramoliła się z wanny, owinęła się ciasno ręcznikiem i krytycznie obejrzała małą zasuwkę w drzwiach.

– Fajne! – zawołała Faith, omiatając wzrokiem kolekcję płyt. – Kto to?

Kątem oka dostrzegła w lustrze jak Ginger, zostawiając za sobą mokre ślady stóp, bezszelestnie wchodzi do sypialni, pochyła się, sięga pod łóżko i prostuje, biorąc zamach.

– Jimi Hendrix! – krzyknęła przez zaciśnięte zęby.

Faith błyskawicznie się uchyliła. W sypialni rozległ się odgłos rozbijanego lustra. Niezrażona Ginger zaciskała palce na rękojeści bejsbolowej pałki, aż

pobielają jej knykcie. Faith cofnęła się, zwiększając dystans. Ginger doskoczyła do niej, zaganiając w róg pokoju, i wzięła następny zamach. Faith pochyliła się, wykonując płynny krok w bok. Tym razem ucierpiał gramofon.

W ciszy słyhać było pojedyncze wystrzały i ścieżkę dźwiękową z telewizora w salonie. Ginger miała przyspieszony oddech oraz gęsią skórę. Nie zauważyła nawet, kiedy w ferworze walki zsunął jej się ręcznik. Siedem lat nieszczęścia i japoński gramofon. Tyle jak na razie kosztowało ją ratowanie życia Mickeya. Nieważne. Nie wierzyła w przesady i stać ją było na nowy gramofon. Lepszy, szwajcarski. Zmrużyła drapieźnie oczy i napięła mięśnie zgrabnego, gibkiego ciała niczym szykująca się do skoku czarna pantera.

– Nie pozwolę ci skrzywdzić Mickeya – wysyczała.

Nieznajoma nie odpowiedziała. Dziwne, nawet nie próbowała sięgnąć po broń. Stała w bezruchu, zasłaniając sobą wyjście do salonu. Czekala.

Ginger uniosła nad głowę pałkę i z wściekłym okrzykiem rzuciła się do przodu. Nieznajoma wyczekała ją do ostatniej chwili. Jej ramię błyskawicznie wystrzeliło, jak atakujący grzechotnik. Palce zacisnęły się na opadającej pałce. Szarpnięcie było niezwykle silne. Ginger straciła równowagę, a potem nastąpiło pchnięcie. Rękojeść wysunęła się z dłoni murzynki, trafiając ją w splot słoneczny.

Nieznajoma bez cienia emocji obserwowała, jak Ginger zwija się z bólu, łapiąc za brzuch. Przechyliła głowę, oglądając pałkę. Ginger wybałuszyła oczy i wywaliła język, spazmatycznie łapiąc powietrze. Nieznajoma chwyciła ją za szczękę, brutalnie popychając na łóżko. Żarty się skończyły.

– Rozumiem twoje postępowanie, Ginger. – Nieznajoma zwinnie obróciła pałkę, jakby była przedłużeniem jej ramienia. – Nierozsądne, ale zrozumiałe.

Ginger cofała się, podpierając łokciami, kiedy nieznajoma okrążała łóżko.

– Teraz ty musisz zrozumieć, że zrobiłaś wszystko, co mogłaś, żeby ocalić Brodina. – Wskazała na nią pałką. – Nie udało się, a jeśli będziesz dalej próbować... zrobi się naprawdę paskudnie.

Ginger dotarła do wezglowia. Wbiła plecy w metalową poręcz, desperacko szukając wzrokiem drogi ucieczki. Nie znalazła takiej, więc wbiła palce w skórzaną narzutę.

– Jesteś szalona, jeśli myślisz, że go dostaniesz w swoje szpony. – W jej głosie rozbrzmiewała rozpacz wymieszana z historycznym śmiechem. – Z Bobbym ci się udało, ale Mickey jest inny. Użyj wszelkich sposobów, żeby cię dorwać, a potem... – urwała, przeciągając palcem wzdłuż swojej długiej, delikatnej szyi.

Nieznajoma wyduła usta, kopiując jej mimikę.

– Nie wątpię.

– Serio, kurwa – zachnęła się Ginger. – Ten dom jest lepiej strzeżony niż Pałac Buckingham. Żeby się tam dostać, musiałabyś mieć pieprzony czołg.

Nieznajoma pokiwała głową, jakby brała na poważnie jej przestrogi i sugestie.

– Pomyślę o tym, a póki co... – Przeniosła wzrok z Ginger na łazienkę, gdzie wciąż paliło się światło, i z powrotem na Ginger. – Miałabyś coś przeciwko, gdybym zechciała skorzystać z twojej wanny?

– Miałabym – rozległo się ciche burknięcie.

– Rozumiem. – Nieznajoma oparła pałkę na ramieniu, ogłaszając zawieszenie broni. – Poszukaj czegoś, czym mogłabym cię związać.

Ginger podkurczyła nogi, robiąc duże oczy.

– Wtedy sobie pójdę – obiecała nieznajoma.

Ginger uniosła otwartą dłoń, drugą kładąc na piersi, i wyszczerzyła białe zęby na samą myśl, że ta upiorna wizyta wkrótce dobiegnie końca.

– Nie wystarczy słowo harcerki, że nikomu nie pisnę o twojej wizycie?

– Nie wierzę ci, Ginger – odparła nieznajoma po dłuższej chwili.

Ginger przewróciła oczami.

– Dasz słowo, że potem sobie pójdiesz i więcej o tobie nie usłyszę?

– Możliwe, że jeszcze o mnie usłyszysz, ale więcej się nie spotkamy.

Odetchnęła.

– To mi wystarczy. Pod łóżkiem.

Nieznajoma oparła pałkę o szafkę nocną i nie odrywając wzroku od Ginger, sięgnęła pod łóżko. Wyciągnęła futerał na gitarę. Otworzyła wieko i zerknęła do środka. Spośród wielu zgromadzonych gadżetów za najbardziej interesujący uznała skórzany bicz.

Ginger wzruszyła brwiami, wstydliwie przykładając dłoń do ust.

- Czasami mnie ponosi.
- Nieznajoma uśmiechnęła się w zamyśleniu.
- Mnie też.

*

W szarym piętrowym budynku z oknami wychodzącymi na Hyde Park, przypominającym bardziej siedzibę biura ubezpieczeniowego z lokalami na wynajem niż Komendę Główną Policji, inspektor Palicki odchyliła się na obrotowym fotelu z regulowaną wysokością siedzenia. Na biurku leżały akta sprawy; zdjęcia nigdy nieoddające rzeczywistego obrazu miejsca zbrodni, zeznania świadków, którzy bez względu na charakter przestępstwa zawsze żywili głęboką rezerwę wobec stróżów prawa, i dołączony spinaczem, wycięty artykuł z „Daily Mirror”: *Selekcjoner czyści miasto*.

Raport balistyczny, a także wrzucony do komputera częściowy odcisk palca z klubu *Czarny Łód* otrzymały priorytet, ale mimo to wciąż czekała na wyniki, wątpiąc, czy wniosą coś do śledztwa. Ktoś, kto w jedną noc wykosił dwóch największych gangsterów w mieście, mógłby zostawić taki ślad? A jeśli tak, to czy mogła być to kobieta?

Palicki podniosła szkic wykonany przez policyjnego rysownika w oparciu o świadectwo studentki filozofii. Szczęśliwa posiadaczka złotej wstęgi, umożliwiającej wstęp na klubową antresolę, opowiedziała wszystko, co widziała. Szkopuł polegał na tym, że dziewczyna była w szoku, na prochach, pod wpływem alkoholu i w kluczowej chwili odbywała stosunek z gwiazdą rocka. Bez wątpienia mogło to rzutować na właściwy ogląd sytuacji, ale to oraz świadectwo kelnera potwierdzającego, że zamachowcem w restauracji *Josephine* mogła być młoda ciemnowłosa kobieta, w obecnej chwili stanowiły jedyne przekonujące dowody na to, że nie miała do czynienia z duchem.

Na biurku zadzwonił telefon, przekazujący rozmowy wewnętrzne przez obejmującego nocną służbę dyżurnego.

- Tak, Charlie?
- Pani inspektor, dzwoni jakiś mężczyzna, twierdząc, że posiada informacje

na temat Selekcionera. Nie chciał się przedstawić. Mówi, że będzie rozmawiał tylko z panią.

Palicki przewróciła oczami, wygrzebując z pomiętej paczki papierosa.

– To pewnie znowu jakiś dziennikarz.

Dyżurny na moment się zawahał.

– Nie wydaje mi się, ten brzmiał... bardzo przekonująco.

Palicki przypaliła papierosa.

– Połącz. – Poczekała na sygnał, wydmuchując dym do słuchawki. – Palicki.

– Dobry wieczór, pani inspektor – zabrzmiał cichy męski głos.

Palicki ściągnęła brwi.

– Kto mówi?

– Dziś dzwonię jako przyjaciel.

Zacisnęła dłoń na słuchawce.

– Jak się nazywasz, przyjacielu?

– Lepiej znała pani mojego brata.

Poczuła ukłucie w klatce piersiowej. Zaciągnęła się głęboko i wolno wydmuchała dym.

– Panie Brodin, istnieją tylko trzy okoliczności, w których chciałabym z panem rozmawiać: informując pana o przysługujących mu prawach, odbierając zeznania podczas przesłuchania i życząc długiego życia, tuż po usłyszeniu wyroku skazującego pana na dożywocie.

Po drugiej stronie rozległo się westchnienie zmęczonego człowieka, który – zgadywała – nie spał od wielu godzin.

– Ubiegłej nocy ktoś zamordował mojego brata.

– Wiem – odparła szorstko, bez cienia współczucia, zaciskając usta.

– A pani, Palicki, dostała to dochodzenie.

– Zgadza się, panie Brodin.

W głosie rozmówcy zaszła ledwo zauważalna zmiana. Złamany bólem brat ukrył się w cieniu, a jego miejsce zajął pewny siebie gangster.

– Nie muszę mieć przed oczami akt tej sprawy, żeby wiedzieć, że zrobił to fachowiec. A tak się składa, że tych najlepszych znam.

Palicki chciała strząsnąć słupek popiołu do popielniczki. Nie trafiła.

– Ta rozmowa niepotrzebnie się przeciąga, panie Brodin. A zatem, jeśli nie posiada pan żadnych informacji mogących pomóc w śledztwie, to...

– Powiem bez ogródek – przerwał jej gangster, nieprzywykły do protekcyjnego tonu. – Gdyby jakikolwiek inny inspektor dostał tę sprawę, tobym się nie fatygował zadzwonić. Do żadnego z nich. A znam ich wszystkich. I wiem, że są nieudolni. Nieudolni, ponieważ pozwolili mojemu bratu zbyt długo robić to, co robił... aż w końcu to go zabiło. Dzwonię więc do pani, Palicki, i pytam: Co... nie policja, tylko pani ustaliła? Co pani podpowiada przeczucie? To samo, które zaprowadziło panią pod drzwi Rzeźnika z Greenwich. Moja matka odchodzi od zmysłów. Natomiast ja jestem gotów zapłacić...

Palicki podniosła się z fotela.

– Panie Brodin, ma pan świadomość, że dzwoni na posterunek policji, proponując...

– Ile tylko pani zażąda, Palicki. Za choćby szczątek informacji. Posiadam środki. Środki, które zaoszczędzą pani dalszego trudu, podatnikom pieniędzy, a mnie zaprowadzą pod drzwi bestii w ludzkiej skórze, która zamordowała mojego...

Krążyła nerwowo po gabinecie, przykuta do telefonu na długość kabla.

– Panie Brodin, proszę pozwolić mi dojść do...

– Jeśli brzydzi się pani moich pieniędzy, Palicki, to proszę wiedzieć, że ja doskonale to rozumiem. Są brudne, ale przecież nie musi ich pani brać dla siebie. Mogą zdziałać tyle dobrego... niech je pani odda Bobowi Geldoffowi na głodujących w Etiopii.

Zmiażdżyła niedopałek w popielniczce. Tego było już za wiele.

– Sam mu je oddaj! Ale najpierw przestań pierdolić!

Za oszklonymi drzwiami nieliczni o tej porze policjanci, ubrani po cywilnemu, podnieśli głowy znad swoich biurk.

– Pani inspektor?

Palicki energicznym ruchem zasunęła żaluzje.

– Już kiedyś przysłałeś do mnie kogoś, kto zaproponował mi łapówkę. I nie waż się zaprzeczać, mały, przebiegły skurwysynu. Wiem, że to byłeś ty, a nie twój szalony brat.

Mickey Brodin przeszedł do defensywy.

– To było w innych okolicznościach.

Palicki gniewnie zacisnęła zęby.

– Wiesz, dlaczego jej nie przyjąłem? Moralność i etyka zawodowa nie miały tu nic do rzeczy.

– To była standardowa kwota. Proponuję ją wszystkim świeżo mianowanym inspektorom, cierpiącym niedostatek wskutek nieudolnych decyzji podejmowanych przez parlament – chrząknął – głupio tłumaczący się deficytem budżetowym. Od tamtej pory minęło trochę czasu. Wystarczająco, żebym zrozumiał, że zaproponowana kwota urągała pani zdolnościom intelektualnym. Proszę mi wybaczyć, ale nie jest łatwo odkryć talent. Za to potrafię go docenić.

– Bo brzydzę się takimi jak wy! – Uderzyła pięścią w blat biurka. – Ty i twój sprzątnięty brat byliście małymi gnojkami pochodzącymi z zamożnej rodziny, którzy w odróżnieniu od głodujących w Etiopii mieli wybór. Przy odrobinie wysiłku mogliście wieść spokojne, dostatnie życie. Ale wam, skurwysynom, było za mało. Zaczęliście od rabowania, wymuszania haraczy i gwałcenia żon oraz córek dłużników. Potem posunęliście się do zabójstw, a wszystko po to, żeby zbudować imperium zbrodni. – Podeszła do okna, wyglądając na miasto. Z budynków spływały wydłużające się cienie. – Choćbyś był księciem Windsor, to i tak gównu ci powiem o zabójcy brata, „Cichy” Mickey. – Uśmiechnęła się złowieszczo, celowo używając znienawidzonego przez gangstera przezwiska. – A twoja matka dewotka już dawno temu odeszła od zmysłów. Przekaż jej ode mnie, że zabójca twojego brata psychopaty powinien dostać od królowej Order Imperium! – Trzasnęła słuchawką. – A to bezczelny skurwiol.

Rozległo się pukanie i zza drzwi wychyliła się ruda głowa sierżanta Salisbury.

– Wszystko w porządku?

Palicki opadła na fotel. Jej blada cera na twarzy zaróżowiła się pod wpływem wzburzenia.

– Obcięto nam fundusze przeznaczone na nadgodziny, brakuje ludzi i środków, a „Dziadek” – wskazała palcem na sufit – trzęsie dupą na dźwięk

telefonu tak bardzo, że tynk sypie mi się na łeb. – Rozciągnęła usta w ironicznym uśmiechu. – Nie, Alan. Nic, kurwa, nie jest w porządku.

Sierżant Salisbury wszedł do gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Zarządziłem obserwację każdej speluny i szulerni na East Endzie oraz magazynów w dokach, należących do „Cichego”. Jak dotąd nigdzie się nie pokazał.

Palicki spojrzała na telefon, a potem na Alana.

– To gdzie ten mały zasraniec się schował?

Sierżant Salisbury wymownie wzruszył ramionami. Palicki ze zrezygnowaniem obróciła się na fotelu w stronę okna. Przez długą, ciągnącą się w milczeniu minutę wpatrywała się w niebo, a potem przyłożyła palec do ust, jakby chciała uchwycić ulotną, niewypowiedzianą myśl.

Alan wychylił się znad biurka.

– Coś się stało?

– Nie, mam tylko przecucie. – Palicki rozluźniła dłoń. – Gadał o matce...

– Obróciła się z powrotem na fotelu. – Wezwij chłopaków przez radio i zapytaj, jak się mają sprawy pod rodzinnym domem „Cichego” w Bexley. – Gestykulowała jak szykujący się do magicznej sztuczki prestidigitator. – Kto przyjechał, wyjechał, o której dostarczono pocztę... Każde pozornie nieistotne gówno.

Alan uciekł wzrokiem na gołą ścianę gabinetu, pozbawioną oprawionego w ramki dyplomu z kryminologii, bowiem jego właścicielka uważała, że nie musi nic nikomu udowadniać. A teraz wpatrywała się w niego swoim intensywnym drżącym spojrzeniem, jakby zamiast źrenic miała dwie rozgrzane grudki węgla kopalnego.

– Niestety... nie mamy tam nikogo.

Palicki oparła dłonie na blacie, pochyliła się nad biurkiem i obróciła głowę, nadstawiając ucha.

– Co takiego?

Alan zaciągnął się wonią lawendowego szamponu do włosów, po czym wyszeptał jej do ucha:

– „Dziadek” zabronił.

Palicki zerwała się z fotela. Alan cofnął się, opierając plecami o drzwi,

i podniósł rękę, sugerując obronną postawę.

– Hej, hej... to nasz przełożony, pamiętasz? A ja w odróżnieniu od ciebie nie mam statusu gwiazdy kryminologii, więc kiedy kapitan oświadcza, że mam go informować na bieżąco, to tak właśnie będzie.

Palicki okrążyła biurko i zatrzymała się, zakładając przed sobą rękę.

– I co powiedział?

Alan uśmiechnął się, drapiąc po głowie.

– A co ci podpowiada niezawodne przeczucie?

Palicki przewróciła oczami, oglądając się za paczką papierosów.

– Że nie ma ludzi ani funduszy na nadgodziny, a poza tym to bez sensu, bo ten dom ma lepszą obstawę niż Pałac Buckingham.

Alan w udawanym zdumieniu wytrzeszczył oczy.

– Cholera, to naprawdę działa! – Przyłożył otwartą dłoń do ust. – A próbowałaś obstawiać wyścigi konne w Ascot? Może się kiedyś razem wybie...

– Bierz płaszcz. – Palicki wróciła za biurko, pieczołowicie złożyła akta, a spod blatu wyciągnęła bliźniaczą kopię w brązowej teczce. – Możliwe, że będzie padać.

Rumiana twarz sierżanta Salisbury zbladła na widok rażącego pogwałcenia przepisów.

– To jest to, co myślę?

– Ja tu jestem od myślenia – odparła Palicki, wsuwając teczkę pod kurtkę.

Alan nie odpuszczał, oskarżycielsko wskazując palcem.

– Za to można wylecieć.

Palicki chwyciła go za palec, boleśnie wykręcając, aż stęknął.

– Tylko jeśli mnie sprzedasz.

Zabrał płaszcz i dogonił ją na schodach.

– Powiesz mi, dokąd jedziemy?

Palicki zamasyżuje pchnęła drzwi prowadzące na parking.

– Tam, dokąd wszyscy w piątkowy wieczór.

*

Tafla Tamizy pociemniała, odbijając nadciągające nad miasto chmury. Deszczowa aura zdawała się okrywać całą metropolię niczym całun trumnę. „Na przykład taką z mahoni, w której w razie śmierci Alex Nipar kazał złożyć swoje ciało, a następnie pochować na cmentarzu Kensal Green, tuż obok zmarłej żony” – rozmyślał Georgie Adams, spoglądając przez okno obskurnego hoteliku w Vauxhall. Był nieogolony, miał na sobie wczorajsze ubranie i nie spał całą noc. Ukryty za opuszczonymi żaluzjami, łypał przekrwionymi oczami, niczym wyglądający z nory szczur. Ta sama ulica ciągnąca się wzdłuż nabrzeża tej samej rzeki i przerzucony na północną stronę miasta most. A jednak coś się zmieniło. Był ostatnim ocalałym z rzezi w restauracji *Josephine*; „Gilotyna” Nipar, jego szofer Sonny oraz ten dupek Tommy gryźli ziemię, ale Georgiego kostucha ominęła. Przeszła przez salę wolnym krokiem i nie zauważyła, że ukrył się pod stołem. To nie był akt tchórzostwa, tylko głos rozsądku. Ustąpił pola w przegranej bitwie. „Churchill też tak zrobił pod Dunkierką w ’40”, tłumaczył sobie Georgie. Przez te wszystkie lata zadowalał się okruchami z pańskiego stołu Niparów, służył cennymi radami i musiał znosić poszturchiwania oraz przytyki twarogłowych popleczników, ale nie zamierzał nadstawiać karku za chlebobawcę. O nie, Georgie nie był mięśniami, tylko mózgiem. W dodatku ostatnim ocalałym.

Pociągnął zadartym nosem, na odległość wietrząc kłopoty. Nie trzeba być przesadnie byстрыm, żeby się domyślić, że ten jasny neon nie przysporzy mu zasłużonego splendoru. A on, Georgie, przecież był bystry. Dobrze wiedział, że w tym ciasnym, ponurym i wilgotnym mieszkanku, które z jakiejś przyczyny sobie upodobał, wisi nad nim piętno zdrajcy. Nipar dostał kulkę, starszy Brodin też, a Georgie znalazł się w samym środku tego ambarasu. Ludzie będą zadawać pytania. Żli ludzie. Na przykład, dlaczego... Nie, nie zamierzał czekać.

Odwrócił się od okna i przysiadł na niezastanym, cuchnącym łóżku. Stała na nim otwarta walizka, w której upchnął cały swój dobytek. Wszystko, czego potrzebował, żeby zniknąć. Wiedział, że kiedyś nadejdzie taki dzień, gangsterzy nie umierają śmiercią naturalną, więc się przygotował. Posiadał świadectwo pracy wydane przez legalnie działającą firmę, kopia metryki

została sfabrykowana bez zarzutu, a konto w banku opiewało na sporą sumę. Żeby narodzić się ponownie, wcale nie trzeba umrzeć. Wystarczy, że ktoś to zrobi za ciebie; na przykład szkocki marynarz, który podczas sztormu zaginął bez wieści na wodach Morza Północnego. Takiej osoby nie można zwyczajnie pochować. Można natomiast, kiedy umilkną już żałobne lamenty i szlochy, ją wskrzesić. Założyć konto w banku, znaleźć nową pracę albo złożyć wniosek o wydanie paszportu. Po jakimś czasie zaginionym nikt się już nie interesuje. Tym bardziej jeśli regularnie wpłaca składki emerytalne. Wielka Brytania to postępowy i nowoczesny kraj. Zbyt nowoczesny jak na lata osiemdziesiąte, a w stwarzaniu fikcyjnych tożsamości nieświadomie pomaga całe społeczeństwo. Połowa Brytyjczyków nie wtrąca się w cudze sprawy, a druga połowa nikomu się nie przyzna, że to robi – i ta zasada obowiązuje we wszystkich dziedzinach życia. Obywatele Zjednoczonego Królestwa nie są zobowiązani do okazywania dowodów osobistych, prawa jazdy są wydawane bez fotografii, zaś na potwierdzenie własnej tożsamości wystarczy adresowany do siebie list.

Georgie zamknął walizkę, wyciągnął spod poduszki radziecki podbyrin i włożył szary prochowiec, żeby zamaskować lekkie odkształcenie pod marynarką na lewym biodrze. Stanął przed lustrem, wkładając na głowę czarny melonik. Przejrzał się i wydał osąd: „oto nierzucający się w oczy urzędnik finansowo-handlowego City, wybierający się w służbową delegację”.

Uchylił drzwi i wyjrzał na pogrążony w ciemności korytarz. Pora była odpowiednia – wieczór. Podobnie jak szczur, Georgie robił się aktywny po zmroku – i tak jak Mickey Brodin nienawidził swojego przezwiska. Niechętnie jednak musiał przyznać, że podobnie jak w przypadku młodszego z karłów, jego pseudonim także pasował jak dłoń do rękawiczki. Ludzie nie doceniają szczurów; przede wszystkim są inteligentne, mają wyostrzony słuch oraz węch, a także posiadają zdolność adaptacji w nowym środowisku. W samej Wielkiej Brytanii, w warunkach miejskich, statystycznie na jednego mieszkańca przypadał jeden szczur, choć nieoficjalnie mówiło się, że ich liczba może być nawet dwukrotnie większa. Człowiek może i władać światem, ale to szczur potrafił w nim przetrwać.

Georgie wyszedł na korytarz, zostawiając otwarte drzwi mieszkania, do którego nie zamierzał już wracać. Minął sąsiednie lokum, w którym znajdowała się agencja towarzyska, i bez żalu pożegnał pracujące tam dziewczyny, naliczające mu podwójną stawkę za każdą wizytę. Ostrożnie zszedł na parter. Wspiął się na palce i pierzchnął obok drzwi właściciela przybytku; grubiańskiego turka, pana Rustu, który pomimo dwudziestu lat spędzonych w przyjaznym zielonym kraju ledwie władał językiem angielskim.

Georgie wyszedł na zalaną deszczem ulicę. Wycieraczki obracały się tam i z powrotem po przednich szybach przejeżdżających samochodów, a spacerujący przechodnie rozpięli parasole, umykając niczym spłoszone kurczęta. Rynsztok spływał wartkim potokiem. Nie zwlekając, Georgie postawił kołnierz płaszcza i garbiąc się pod naporem deszczu, ruszył wraz z nurtem w stronę stacji kolejowej Vauxhall.

Zatrzymał się po dziesięciu krokach, kiedy drogę zajęła mu wyłaniająca się z bocznej uliczki szara furgonetka z logo firmy kurierskiej. Szyba w drzwiach od strony pasażera została opuszczona i wychyliła się czyjaś głowa osłonięta czapką z daszkiem.

– Przepraszam. Mógłby nam pan pomóc? – Uśmiechnął się młody mężczyzna. – Szukamy z kolegą adresu.

– Jestem nietutejszy – odparł bez namysłu Georgie.

Mężczyzna zareagował na odpowiedź bulgoczącym śmiechem, jakby miał usta wypełnione wodą.

– Cholera, to tak jak my!

Georgie zrobił krok w bok, wchodząc do rynsztoku, żeby ominąć furgonetkę.

– Obawiam się, że nie mogę panom pomóc.

– Zlituj się pan! – Chłopak desperacko wyciągnął listę z adresami na twardej podkładce, wskazując piórem na ostatnią, jeszcze nieskreśloną pozycję. – Szefowa płaci nam od dostarczonej przesyłki.

Georgie zatrzymał się, myśląc o nabitym podbyrinie spoczywającym w kaburze przy biodrze. Nie podobał mu się szeleszczący wschodnioeuropejski akcent tego chłopaka, ale jednocześnie doszedł do głosu zazwyczaj obcy mu altruizm. „Szefowa płacąca od dostarczonej

przesyłki”. „A to dobre”, pomyślał. On sam był świadkiem, jak jego chlebodawca własnoręcznie ściął głowę toporem niełojalnemu pracownikowi. Georgie sam nie wiedział, czy to obowiązek wobec towarzysza niedoli, czy może wciąż żywa niechęć do zmarłego już pracodawcy zmusiła go do spojrzenia na tę listę.

– To tutaj... – Wskazał kciukiem przez ramię na obskurny hotelik pana Rustu, ale kiedy odczytał numer drzwi, mina mu zrzedła i raz na zawsze stracił chęć do pomagania obcym w potrzebie. To był jego adres.

Drzwi furgonetki gwałtownie się otworzyły, trafiając Georgiego prosto w twarz. Pociemniało mu w oczach, krew bluznęła ze złamanego nosa i zachwiał się, upuszczając walizkę. Leżąc na brudnym, mokrym chodniku doszedł do wniosku, że altruizm to zguba; światło w mrocznym lesie świata, prowadzące zbłąkanego wędrowca wprost pod chatę rozbójnika.

„Kurierzy” wysiedli z furgonetki i stanęli nad nim. Kierowca nadepnął Georgiemu na dłoń, zmierzając powolnym krabim ruchem do biodra, a pasażer go wyręczył, sięgając po podbyryna. Działali jak dobrze naoliwiony mechanizm. Pasażer obejrzał rewolwer z uznaniem, unosząc brwi, i zwrócił się do swojego towarzysza. Obaj młodzi mężczyźni rozmawiali po rosyjsku, ale Georgie, człowiek wykształcony, doskonale ich rozumiał.

– Ale ty jesteś durny, Ilja. – Pasażer klepnął kierowcę w ramię. – Mówiłem ci, że to on.

Zanim przechodnie zdążyli zainteresować się leżącym na chodniku omdlałym mężczyzną, „życzliwi kurierzy” postawili go na nogi, fachowo unieruchomili ramiona i zaciągnęli na głowę worek, wpychając na tył furgonetki.

Po chwili najemnik Ilja, któremu naliczano płacę od dostarczonej przesyłki, ponownie usiadł za kierownicą. Furgonetka wyjechała z bocznej uliczki, płynnie włączając się do ruchu, i Georgie Adams zniknął z powierzchni ziemi.

Pozostał po nim tylko melonik, który wraz z wartkim nurtem popłynął rynsztokiem w stronę stacji kolejowej Vauxhall.

Pół godziny później Georgiemu zdjęto worek z głowy. Znalazł się w ciemnym, zimnym pomieszczeniu bez okien, gdzie za jedyne źródło światła służyła lampka postawiona na stole. Stojące wzdłuż ścian regały po brzegi wypełniały kartony z owocami, chyba bananami. Georgie nie był pewien. Niczego nie mógł być już pewien oprócz tego, że jest obity, przemoczony oraz śmiertelnie przestraszony, ale wciąż czujny. Od momentu, w którym został wrzucony do furgonetki, przestał się stawiać. Nie było sensu, miał do czynienia z zawodowcami. Zrobił natomiast to, co doradca bossa mafii potrafił najlepiej; nadstawił uszu i słuchał.

Najpierw odgłosu ulicznego ruchu. Liczył zakręty na każdym skrzyżowaniu, nie było tego dużo. W oddali systematycznie słyszał syreny promów zawijających do portu. Musieli więc jechać wzdłuż nabrzeża. W pewnej chwili wszystkie dźwięki ustały, jak przecięte nożem. Furgonetka zwolniła, telepiąc się labiryntem mało uczęszczanych uliczek.

Stanęli. Georgie został wywleczony na zewnątrz i wciągnięty na podwyższenie do jakiegoś przepastnego wnętrza, w którym słychać było echo kroków odbijających się od ścian. Na końcu wepchnięto go tutaj, sadzając na rozkładanym metalowym krześle z gumowym obiciem. „Co to za miejsce?” Rozglądał się, wybałuszając oczy. Nagle doznał oświecenia – chłodnia. Doskonałe miejsce na śmierć.

– Georgie Adams! – Usłyszał za plecami mocny gardłowy głos. – Ten Georgie Adams? Mój Boże, to naprawdę ty? – Z ciemności wyłoniła się wysoka, barczysta postać w czarnym pulowerze z golfem. – Możesz mi wierzyć lub nie, ale w przeddzień Live Aid to ty jesteś najbardziej pożądaną osobistością w Londynie.

Skrzypnęło krzesło, kiedy usiadła po drugiej stronie stołu. Georgie nie widział twarzy, gdyż ta pozostawała poza kręgiem skąpego światła lampki. Widział natomiast wyprostowaną sylwetkę i położone płasko na blacie stołu wypielęgnowane dłonie. Georgie mrugnął. Zupełnie jak u jego świętej pamięci narcystycznego szefa. Tyle że te były większe.

Chrząknął.

– Nie wierzę.

– A jednak. – Palec wskazujący prawej dłoni powędrował w górę. – Jak już zauważyłeś, musieliśmy zadać sobie trud, żeby sprowadzić cię do nas. Powodem tego jest pewna niesłychana historia, którą usłyszeliśmy na twój temat. Nie wiem jednak, czy ty słyszałeś historie na mój temat?

W odpowiedzi kiwnął głową.

Postać nieznacznie wychyliła się z cienia. W bladym świetle zamajaczyła rozmazana uśmiechnięta twarz.

– Co słyszałeś, Georgie?

– Takie tam... gadanie.

– Mianowicie?

– Spotykasz się z różnymi ludźmi... i rozmawiasz o różnych rzeczach – wystękał Georgie, wierząc się na krześle.

– W istocie poznaję w swojej pracy różnych ciekawych ludzi. Zazwyczaj zapraszam ich do siebie, ale w szczególnych przypadkach składam również wizyty domowe. Moja praca polega na nakłanianiu ludzi do współpracy. Nie jest łatwo, to ciężki kawałek chleba. Czasami, żeby osiągnąć zamierzony cel, muszę sięgać po nadzwyczajne środki, które w liberalnej Wielkiej Brytanii uchodzą za niemoralne. – W ciemności błysnął płomień zapalniczki przypalającej papierosa. – Ironia losu polega na tym, że nawet w tak światłym, miłującym własność prywatną oraz prawa obywatelskie społeczeństwie, ktoś taki jak ja może robić to, co robi, i ma na swoje usługi popyt. – Postać w golfie odchyliła się na krześle, spoglądając na byłego doradcę mafii poprzez siwy dym. – Powiedz mi, Georgie... jak taki bystry facet jak ty wyjaśniłby ten fenomen?

Georgie zmarszczył swój połamany, zakrwawiony nos, czując drażniący swąd. Nie palił. Ten godny pożałowania nałóg zgubił jego ulubionego aktora Johna Wayne'a.

– Nie ma czegoś takiego jak liberalne społeczeństwo, ponieważ liberalizm już w chwili swoich narodzin z założenia miał charakter antydemokratyczny. W zróżnicowanym społeczeństwie, gdzie większość stanowią osoby niewykształcone, demokracja jest niczym więcej jak dyktaturą ciemniaków, którzy za obietnice zintensyfikowania polityki socjalnej państwa gotowi są oddać władzę w ręce najbardziej przekonującego hipokryty.

W chłodni zapanowała cisza, temperatura jakby nieznacznie się obniżyła, a potem rozległ się spontaniczny gardłowy chichot i dołączył do niego bulgoczący śmiech.

– Oto człowiek, który ujrzał prawdę! – Palec wskazujący zastukał w blat niczym młotek sędziego przywołujący zebranych do porządku. – Dobrze się składa, bo jesteśmy w miejscu, w którym nie obowiązują prawa obywatelskie ani wolność słowa. Tu liczy się tylko prawda.

Georgie dostrzegł, jak pod pulowerem napięły się okazałe mięśnie.

– A zatem przejdźmy do rzeczy – oświadczyła pozostająca w cieniu postać.
– Ja naprawdę nie mam nic... – Georgie przestał biadolić i znieruchomiał niczym bryła lodu, kiedy palec wskazujący obrał go za cel.

– Na twoje protesty i zaprzeczenia przyjdzie czas. Niebawem. Najpierw jednak wyjaśnię ci zasady tej gry. Ja będę zadawać pytania, a ty, Georgie Adamsie, będziesz udzielał mi na nie szczerych i przekonujących odpowiedzi. Jeśli się spiszesz... to możliwe, że cała sprawa rozejdzie się po kościach. Jeśli natomiast uznam, że twoje odpowiedzi nie są ani szczerze, ani przekonujące, to obiecuję, że nie wyjdiesz z tego pomieszczenia w jednym kawałku. – Niedopałek wylądował w usłudźniętej popielniczce. – Na początek udzielę ci dobrej rady: nie waż się kłamać. Od razu to zauważę. Zrozumiałeś?

Pomimo niskiej temperatury Georgie zaczął się pocić i zaschło mu w gardle. Nie nadawał się do tego. Nie był bohaterem. Chciał wyjść.

– To było pierwsze pytanie – ponagliła postać w golfie.

– Tak – stęknął.

– Więc to powiedz.

Chrząknął.

– Zrozumiałem.

Następny papieros z pomarańczowym filtrem wysunął się z paczki i powędrował do ust.

– Dobrze. Jak wyglądał człowiek, który sprzątnął Alexa Nipara?

Georgie zmierzwił na głowie rzadkie, rozwichrzone włosy.

– To była chyba kobieta... albo zniewieściały pedał. Nie jestem pewien.

– To w końcu kobieta czy pedał rozwalił twojego szefa? Jedno od drugiego

chyba potrafisz odróżnić.

– Raczej kobieta.

– Wysoka? Niska? Gruba czy chuda? – Głos był szorstki i rzeczowy, ale wyczułone ucho doradcy potrafiło wychwycić lekkie drgania świadczące o tym, że cierpliwość nie jest najmocniejszą stroną jego rozmówcy.

– Dość wysoka jak na kobietę. Szczupła. Miała na sobie czarną, skórzaną kurtkę.

– To wszystko, co zapamiętałeś?

– „To wszystko” działa się bardzo szybko.

Georgie złożył dłonie między kolanami i potulnie spuścił wzrok. Po czasie zdał sobie sprawę, że się zagalopował. Nie był już w zatłoczonej restauracji, a za plecami nie miał wyrozumiałego szefa, który się za nim ujmie. Tylko dwóch drabów gotowych zrobić z niego szaszłyk. Nie powinien nikogo przedrzeźniać. Musiał zapanować nad starymi nawykami.

Minęła dłuższa chwila, zanim padło następne pytanie.

– Gdzie wtedy byłeś?

– Przy stoliku... razem z Sonnym. Szef siedział w boksie razem z tą... jak jej tam...?

– Dlaczego nic nie zrobiłeś?

– Co?

– Nie lubiłeś swojego szefa? Czy tylko nie miałeś odwagi nadstawić za niego karku?

Georgie unikał wzroku rozmówcy, coraz bardziej wiercąc się na krześle.

– Przecież tłumaczę. Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund. A poza tym...

– Poza tym co!?

– Ta dziewczyna miała splotkę większą niż ona sama.

– Co to było?

– Wydaje mi się, że Smith&Wesson Model 29 z amunicją Magnum 44.

– Skąd taka pewność?

– Bo ten przymuł Tommy też taki miał. To najpotężniejsza broń krótka na świecie.

– Najpotężniejszy jest podbyrin 9.2 mm. – W głosie rozmówcy dało się

wyczuć zdziwienie.

Georgie zwiesił ramiona, kręcąc głową.

– Nic nie może się równać z Magnum 44.

W świetle lampki obróciła się siwa chmura dymu.

– To chyba możemy już zostawić. – Rozmówca zmiażdżył niedopałek w popielniczce. – Dobrze ci poszło, Georgie, i wcale nie bolało, prawda?

– Tak... to znaczy nie.

Palec wskazujący niecierpliwie zabębnił w blat.

– Pozostała jeszcze druga sprawa. Złe języki mówią, że podła, dwulicowa z ciebie menda, Georgie. Goszczę cię ledwo kwadrans i szczerze mówiąc, przychyliam się do tej opinii. Teraz w twoim interesie leży, żeby przekonać mnie, że nie przyłożyłeś ręki do zabójstwa swojego szefa. Niestety fakt, że wciąż żyjesz, świadczy przeciwko tobie.

Georgie gwałtownie pochylił się nad stołem, gotów zaręczać o swojej niewinności. Miał rzadki, sztywny zarost na twarzy do złudzenia przypominający szczurze wibrysy.

– Po co miałbym go wystawiać!? Dzięki niemu zarabiałem, żyłem na przyzwoitym poziomie, a ludzie się mnie bali. Bez niego jestem nikiem.

Rozmówca wykonał błyskawiczny, niesygnalizowany ruch, uderzając doradcę dłonią na odlew w twarz.

– Widzisz Georgie... ja długo już robię to, co robię, i wiem, że ludzi pchają do zdrady nawet najbardziej prymitywne motywy. Takie, do których nawet sami przed sobą nie potrafią się przyznać. Dawaj.

Georgie wypluł złamany ząb.

– Co? – wybełkotał zaskoczony, kiedy jeden z drabów unieruchomił mu lewe ramię za plecami. – Co jest, kurwa!? – Drugi zacisnął mu na prawym przedramieniu plastikową opaskę i przycisnął dłoń do stołu. – Przecież powiedziałem prawdę!

– Byłeś szczery, ale nieprzekonujący. – Rozmówca wstał, znikając w ciemnym kącie chłodni. – Taki bystrzacha jak ty powinien wiedzieć, że jedno nie zawsze idzie w parze z tym drugim!

– Ja naprawdę nie mam nic więcej do powiedzenia!

Po chwili wrócił. Pochylił się nad stołem tak, żeby Georgie mógł zobaczyć

jego twarz. Przez głowę doradcy przetoczyło się całe spektrum emocji; począwszy od zaskoczenia, przez zaprzeczenie, aż w końcu jego umysłem zawładnął paniczny strach.

– Wiesz dlaczego lubię swoją pracę, Georgie? Bo moich mocodawców nie interesuje, czy metody, jakie stosuję, są moralne lub niemoralne. – Błysnęła uniesiona stal. – Mają być skuteczne.

– Nie musisz tego robić!

– Masz rację, nie muszę. Zazwyczaj zaczynam od łamania palców i to wystarczy. Ale ciebie, Georgie, nie lubię. Podobnie jak szcurów.

Georgie zacisnął oczy i palce dłoni. Nie poczuł bólu. Przez chwilę miał nadzieję, że ostrze tasaka nie trafiło w jego przegub. Kiedy ponownie otworzył oczy, palce dłoni wciąż były zaciśnięte.

– Co my tu mamy... – Rozmówca uniósł kąciki ust, pod górną wargą zalśniła złota plomba. – Spójrz, Georgie. Przypatrz się, mały zasańcu! – Dłoń doradcy luźno zwisała, trzymana za środkowy palec. – Za chwilę dołączy do niej druga, a potem rzucę je na pożarcie szcurom.

Georgiemu pociemniało w oczach, krew szumiała mu w uszach. Dalsze pytania docierały do niego stłumione, jakby słyszał je, będąc pod wodą.

– Jesteś pewien, że nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią Alexa Nipara? A może maczałeś też paluchy w zabójstwie Bobby’ego Brodina? – Rozmówca potrząsał odrąbaną dłonią, znacząc blat stołu strugami krwi. – Chcę wiedzieć, kim jest ta kobieta. Pamiętaj, że tylko prawda może cię ocalić!

Doradca ruszał posiniałymi drżącymi ustami jak ryba wyrzucona z wody.

– Przysięgam na grób mojej matki, że...

Dłoń Georgiego Adamsa opadła na zakrwawiony stół z plaśnięciem niczym meduza.

– To musiała być nieszczęsna kobieta.

Rozdział 12

Londyn – 12 lipca 1985 roku

Godz. 21:32

Faith zakręciła kurek z zimną wodą i skrzyżowała stopy na krawędzi wanny. Znowu dzwonił telefon. Drugi raz, od kiedy odłożyła słuchawkę na widełki. Za trzecim się poddała.

– Słucham? – Zmrużyła oko, to drugie pozostawiając ukryte pod powieką.
– Nie, to nie Ginger. A kto mówi? – Przesunęła dłonią po bliźnie na ramieniu, po którym prześlizgnęła się kula w klubie *Czarny Lód*. – Ach, Grace... ja jestem Faith. – Zerknęła w stronę drzwi. – Nie, dopiero się poznałyśmy. Mamy wspólnego znajomego. – Uniosła brew. – Czy staram się podtrzymać ją na duchu...? Wiesz, wydaje mi się, że ona całkiem nieźle sobie radzi. – Owijała kabel wokół palca, słuchając melodyjnego głosu rozmówczyni. – Niestety nie może teraz podejść. – Roześmiała się, słysząc anegdotę z życia przyjaciółek. – Nie, ona wcale cię nie unika, Grace. Wiesz, Ginger ma teraz związane ręce. – Przycisnęła słuchawkę do ucha. – Nie, nie żartuję. – Zachichotała. – Wiesz... to trochę skomplikowane.

Za przymkniętymi drzwiami, w półmroku, na ścianach sypialni dogasały ostatnie promienie słońca. Rozbite lustro odbijało rzeczywistość w wykrzywionej formie, a roztrzaskany na podzespoły gramofon milczał. Ginger napięła mięśnie pleców, próbując zmienić pozycję na wygodniejszą, ale od kiedy nieznajoma zostawiła ją i zniknęła w łazience, nie mogła takiej znaleźć. To było fajne, jeśli chodziło o erotyczną zabawę, mającą uchronić

kreatywnych partnerów od popadnięcia w rutynę. Co innego, kiedy zostało się pozbawionym swobody wbrew własnej woli. A Ginger potrzebowała swobody, żeby móc rozwalić tej zabójczej suce łeb. Skoro to się nie udało, to chciała chociaż zadzwonić – zbiec do portierni starego Winstona – i ostrzec Mickeya. Suce pewnie i tak nie uda się go dopaść, ale nie mogła spokojnie czekać ze związanymi rękami.

Zacisnęła dłonie w pięści, sprawdzając wytrzymałość zadzierzgniętego na przegubach skórzanego rzemienia. To był daremny trud podyktowany pierwotnym instynktem przetrwania, który posiadała nawet mucha zaplątana w pajęczą sieć. Ginger z niechęcią musiała przyznać, że ta dziewczyna знаła się na rzeczy i była skrupulatna. Pewnie wychowała się na wsi, bo skrępowała ją jak cielę przeznaczone na ubój. Najpierw ręce za plecami i nogi w kostkach, a potem jeszcze uda oraz klatkę piersiową, przywiązując ramiona do tułowia. Ostatnim rzemieniem połączyła dłonie ze stopami, zostawiając tylko tyle luzu, żeby mogła ruszyć biodrami. Zirytowana Ginger powiedziała wtedy coś na temat wypasania krów, ale zanim dokończyła wywód, nieznajoma wepchnęła jej w usta gumową kulkę i zapięła pasek na karku. Od tamtej pory Ginger dwa razy słyszała, jak sąsiedzi otwierali drzwi na korytarzu, wracając z miasta.

Faith pożegnała się z Grace i odłożyła słuchawkę. Z westchnieniem odchyliła głowę. Zabarwione światłem żarówki wewnątrz powieki pulsowało i falowało łagodnym ruchem. Znów była w kokonie, ale tym razem nie sama. Za ścianą gęstej jaskrawej mgły widziała zarys postaci. Siłą woli spróbowała się do niej zbliżyć, a potem się ocknęła. Wizje stawały się coraz częstsze, dłuższe oraz bogatsze o nowe elementy.

Amnezja powoli się rozrzedzała jak sen po przebudzeniu.

Za ścianą Ginger ciężko dyszała przez umożliwiający oddychanie mały otwór w kulce. Prężąc się i wyginając, niczym dżdżownica wędrująca na liściu, szukała słabego punktu. Zlana potem gorączkowo myślała o Mickeyu. Nie kochała go. Kto w dzisiejszych czasach mógł sobie pozwolić na takie staroświeckie konwenanse? Ale była mu coś winna.

Przypomniała sobie wieczór sprzed roku, kiedy wyszła po papierosy do kiosku. W robotniczej dzielnicy, gdzie każdy kombinował, jak związać

koniec z końcem i nie dać się okraść, zza rogu ulicy wyjechała długa jak autobus, lśniąca czarna limuzyna. Samochód z kuloodpornym nadwoziem – o czym wówczas Ginger nie wiedziała – zatrzymał się tuż przed kioskiem, nonszalancko wjeżdżając na chodnik. Tyłne drzwi się otworzyły i wysiadł wielki jak góra, odstręczający goryl z wykałaczką w zębach, a zaraz za nim – znany z bulwarowej prasy oraz wieczornych wiadomości „mały człowiek”. Mickey Brodin przedstawił się – tylko po to, żeby nie pomylić go z bratem – po czym bezceremonialnie spytał, czy Ginger wybrałaby się z nim na kolację. Osłupiała ze strachu wymamrotała, dyrygując zatkniętym w drżących ustach papierosem, że za godzinę musi być w pracy na nocną zmianę. Słyszając to, Mickey zaśmiał się jowialnie, tym razem pytając, czy lubi to, co robi. Ginger na myśl o hałaśliwej szwalni, do której musiała dojeżdżać pociągiem kolei miejskich, pracujących tam starych tłustych krowach, dokuczających jej, ponieważ była szczupła, atrakcyjna i na tyle młoda, żeby móc jeszcze zmienić swoje życie, oraz umizgach cuchnącego cebulą syna właściciela, od razu poczuła się słabo. Nienawidzę, brzmiała odpowiedź. Wówczas Mickey wyciągnął ramię, trzymając w dłoni złotą zapalniczkę. Ginger musiała się pochylić, żeby jej przypalił. Złożył niecodzienną, podejrzliwie szczodłą propozycję.

Na chwilę wtedy zapomniała, że rozmawia z gangsterem. Patrzył na nią wzrokiem małego chłopca, a w tych jego błyszczących oczkach nie dostrzegła wyrachowania, tylko bijącą ze wszech miar samotność. Nie obciągnę ci, chyba że sama będę tego chciała – postawiła warunek. Goryl parsknął, wypluwając wykałaczkę. Mickey uciszył go spojrzeniem, po czym wyjaśnił jej, że jako dżentelmen nie będzie nalegał. Ostatnie wątpliwości rozwiała blada niczym prześcieradło twarz znajomego kioskarza, który pół życia spędził, harując na własną budkę z gazetami i fajkami, tylko po to, żeby drugą połowę w niej spędzić. Córka ubogich jamajskich imigrantów twardo stąpała po ziemi, wpatrując się w pozbawiony złudzeń obraz własnej przyszłości. Zdawała sobie sprawę, że bez solidnego wykształcenia i koneksji raczej niewiele zdziała w tym wielkim mieście, a ciężka praca najwyżej przedwcześnie wepchnie ją do grobu albo domu wariatów. Pozostawało więc tylko liczyć na cud i chociaż Ginger inaczej wyobrażała sobie swojego

księcia z bajki, to za nic w świecie nie chciała wracać do szwalni. Puściła oko do kioskarza, chwytając daną od losu szansę. Wsiadła do limuzyny i zjadła kolację w towarzystwie dżentelmena, a tydzień później – na przekór lamentom matki i groźbom ojca – wyprowadziła się, zamieniając czynszowe mieszkanie w Vauxhall na apartament w Covent Garden, stając się najszczęśliwszą w mieście, 23-letnią bezrobotną.

„Tak, jestem mu coś winna”, pomyślała, wyginając plecy w łuk. Zaciśnęła zęby na gumowej czerwonej kulce, zmuszając swoje ciało do akrobatycznego wysiłku. Opuszką środkowego palca dosięgła węzła pomiędzy kostkami.

Faith spuściła wodę w wannie i wyszła z łazienki, wycierając głowę ręcznikiem. W samych spodniach, boso, obeszła łóżko, zatrzymując się przed szafą. Ginger sapnęła, podnosząc głowę. Oglądając się przez ramiona, starała się podchwycić wzrok dziewczyny. Ta z jednym zamkniętym okiem sprawiała wrażenie, jakby poruszała się po omacku.

Kropla lśniącego potu spłynęła po uwypuklonym policzku Ginger, zatrzymując się na uwierającym ją skórzanym pasku. Faith sięgnęła do górnej półki, gdzie leżał imponujący zestaw koszulek. Szybko się zdecydowała, wybierając trzecią z kolei.

Ginger zaczęła się wiercić, wydając stłumione pomruki. Kiedy spotkały się wzrokiem, machnęła złączonymi stopami, znacząco napinając rzemień, i posłała Faith błagalne spojrzenie.

– Daj spokój, chyba jedna nie zrobi ci różnicy.

Założyła ciasny T-shirt i przejrzała się w rozbitym lustrze. Wróciła jeszcze do łazienki. Zabrała rewolwer, okulary, buty i zarzuciwszy kurtkę na plecy, ruszyła w stronę korytarza.

– A, byłabym zapomniała. – Zatrzymała się w progu sypialni. – Grace prosiła, żebym ci przypomniała, że jesteście jutro umówione na lunch.

Ginger obserwowała, jak dziewczyna znika w holu. Szczękniętą otwierany zamek, a potem trzasnęły drzwi. Zaparła się kolanami, wypchnęła pośladki i przewróciła na bok. Podkurczyła nogi, ponownie próbując się oswobodzić, ale znów udało jej się dosięgnąć węzła tylko czubkiem środkowego palca. Czas uciekał, a wraz z nim życie, jakie od roku wiodła. Jakiego zawsze pragnęła. Na myśl, że wraz ze śmiercią Mickeya może się ono skończyć,

ogarnął ją bezgraniczny żal oraz nagły przypływ furii.

Szarpała się jak ryba w sieci, uderzając desperacko głową w poduszkę i krzycząc, świadoma, że nikt jej nie usłyszy.

Potem ponownie zadzwonił telefon.

*

Czerwony volkswagen golf uderzył kołem w krawężnik, zatrzymując się przed ośmiopiętrowym budynkiem z apartamentami w Covent Garden. Z auta dochodziła muzyka: Fleetwood Mac – *Go Your Own Way*.

Sierżant Salisbury rażno wystukiwał rytm, uderzając palcami w poręcz kierownicy.

– Ciągle mam wrażenie, że najlepszy album jest jeszcze przed nimi.

Palicki przyglądała mu się spode łba z mieszaniną znużenia i niedowierzania na twarzy.

– A ja, że za chwilę sięgnę po broń.

Wysiedli z samochodu i przeszli na drugą stronę ulicy. Wyprostowany jak struna Alan kroczył dostojnie, wyciągając długie nogi. Tuż obok, Palicki, z głową wciśniętą między ramiona i dłońmi w kieszeniach kurtki, szurała, ledwo odrywając stopy od asfaltu.

– Skąd wiedziałaś? – spytał Alan, wskazując palcem na wyłaniające się znad wieżowców ciemne chmury.

– Mieszkamy w Londynie – mruknęła Palicki.

– Wiesz, też zaczynam mieć przeczucie – stwierdził Alan, otwierając przed nią drzwi.

– Coś podobnego.

– Tak, że tracimy tylko czas.

Stary portier zaklął cicho, słysząc dźwięk dzwonka na kontuarze. Znowu ktoś się przypałał. Jego ulubiony serial nadawano tylko raz w tygodniu, ale za to dwa odcinki pod rząd. Zazwyczaj w spokoju udawało mu się obejrzeć przynajmniej jeden.

Niechętnie podniósł się z niewygodnego, uniemożliwiającego drzemkę krzesła i otworzył drzwi dyżurki. Za kontuarem stała dziwna i najbardziej

niedopasowana para, jaką widział. Wysoki rudzielec w czarnym znoszonym płaszczu, z pogodnym wyrazem twarzy, wyglądał jak komiwojażer. Natomiast towarzysząca mu kobieta w czerwonej motocyklowej kurtce, o ściągniętych do tyłu włosach oraz chorobliwie bladej twarzy świadczącej o niedożywieniu, sprawiała nieprzystępne, wręcz mroczne wrażenie.

– Mogę w czymś państwu pomóc?

Mężczyzna chciał odpowiedzieć, ale kobieta go ubiegła.

– Przyszliśmy do Ginger.

Winston przesunął wzrok z jednego na drugie, wietrząc kłopoty. „Robi się tłoczno”, pomyślał. „Czyżby młoda dama urzędowała dziś wieczór towarzyski?”

Wyćwiczonym ruchem jednej ręki obrócił na blacie opasłą Księgę Wejść i Wyjść, co spotkało się z pełnym uznaniem uniesieniem brwi przez młodego mężczyznę i całkowitym brakiem reakcji jego towarzyszki.

Winston podał wieczne pióro, stukając zgrubiałym palcem w odpowiednią rubrykę.

– Zechcą się państwo... – Nie dokończył, gdyż mężczyzna odruchowo sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i nonszalancko mignął mu przed oczami czymś w foliowej obwolucie. Czymś, co równie dobrze mogło być legitymacją urzędniczą, jak i nieważnym biletem miesięcznym.

Winston chwycił za przegub, zanim tamten zdążył schować dokument, delikatnie wyjął go z dłoni mężczyzny i uważnie przestudiował, porównując zdjęcie z twarzą. Policja do panny Ginger. W sumie mógł się tego spodziewać.

Przeniósł wzrok na kobietę, ale spojrzenie, jakie przy tym napotkał, skutecznie zniechęciło go do wystosowania prośby o okazanie bliźniaczego dokumentu.

Chrząknął, wskazując w stronę windy.

– Ósme piętro, ostatnie drzwi po lewej. Powinno być słychać muzykę, więc proszę głośno pukać.

Sierżant Salisbury – jeśli dobrze Winston przeczytał – chciał już odejść od kontuaru i ruszyć przez hol, ale zawahał się, oglądając na swoją partnerkę.

– Jest tam Mickey Brodin? – zapytała kobieta.

Pamięć do nazwisk zawiodła Winstona.

– Któż taki?

Kobieta wyciągnęła dłoń, płasko, tuż ponad kontuar. Winston zamarł na wspomnienie świdrujących go małych kaprawych oczek, kiedy panna Ginger pewnego wieczoru wyszła z domu. „O której i ewentualnie z kim?” – grzmiał gniewny ostrzał pytań karła, na które Winston nie potrafił udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi.

Pokręcił głową.

– Mówiłem, że tracimy czas – stwierdził sierżant Salisbury, ale kobieta była już w drodze do windy. Spojrzał porozumiewawczo na Winstona i poszedł za nią, snując się jak wynaturzony cień.

– Nie odpuszczasz, co? – zagadnął, kiedy wsiedli do windy.

Palicki nie odpowiedziała. Alan znał to milczenie. Znów była nieobecna, jakby wprawiała się w jakiś trans.

– Nie mogę choć raz ja mieć racji? – zapytał na wysokości czwartego piętra.

– Ktoś u niej jest – odparła cicho Palicki.

Alan z trudem powstrzymał się od niestosownego śmiechu.

– Przeczucie ci to podpowiada?

– Kobieta, ma na imię Faith.

– Może jeszcze podasz rozmiar jej buta?

– To było zapisane w księdze. – Palicki chwyciła partnera za przegub, zerkając na jego zegarek. – Jest tam już prawie godzinę.

Alan poczuł się nieswojo. Spojrzał na panel windy odmierzający blaskiem światełek kolejne piętra.

– Myślisz, że... – Nie dokończył złowróżbnej myśli. Matka zawsze go przestrzegała, aby nie wypowiadał ich na głos. A teraz obok niego stała Palicki ze swoim szóstym zmysłem do postrzegania zła. Tak, miał prawo czuć się nieswojo. – Może powinniśmy wezwać wsparcie?

– Zadzwoń jeszcze po mamusię.

Winda dotarła na ósme piętro. Alan i Palicki wyszli na korytarz. Naprzeciw nich ktoś szedł. Młoda kobieta. Alan nie zdążył przytrzymać dla niej windy, która z cichym szumem się zamknęła. Minęli się w połowie korytarza, jakby

podążali z dwóch przeciwległych biegunów. Szczęśliwie żonaty od czterech lat i wciąż zakochany, ale bynajmniej nie ślepy, Alan Salisbury pewnie nie zwróciłby uwagi na obcą kobietę, gdyby nie fakt, że była niezwykle atrakcyjna – jak ożywiony grecki posąg mitologicznego bóstwa. Palicki doznała zgoła innego, ale nie mniej pobudzającego wrażenia. Zwróciła uwagę na T-shirt z nazwą zespołu uchodzącego za inicjatora brytyjskiego punk rocka: Sex Pistols.

Zwolniła kroku. Przed oczami mignął jej szkic portretu pamięciowego.

– Przepraszam? – Odwróciła się, chwytając Alana za ramię. – Chciałam o coś...

Kobieta w skórzanej kurtce i ciemnych okularach nawet się nie obejrzała.

– Hej, do ciebie mówię! – krzyknęła Palicki.

Kobieta zatrzymała się na wysokości klatki schodowej. Palicki wolnym krokiem ruszyła w jej stronę, wsuwając dłoń pod kurtkę. Tamta kobieta, obracając się, wykonała podobny ruch, sięgając do tyłu za pasek spodni.

– Rzuć to!

Wycelowały równocześnie.

– Palicki! – krzyknął Alan i wraz z ramionami rozrzucił połę płaszcza, rzucając się do przodu.

W korytarzu rozległ się podwójny huk. Dwie wystrzelone kule chybiły celu, trafiając w ścianę. Sierżant Salisbury padł w korytarzu, myśląc o żonie i matce, a także Stonehenge. Tam poprosił Dolores o rękę. Zawsze chciał, ale jakoś nigdy nie było okazji, znów zobaczyć tę osobliwą, tajemniczą budowlę, do której z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny często powracał myślami. W jego sercu była też Palicki. Ukochany wrzód na dupie, jego własne Stonehenge, którym nie musiał się dzielić z turystami.

– Jesteś cała?

W odpowiedzi dostał łokciem w żebra.

– Złaż ze mnie, do cholery!

Palicki podniosła się, celując wzdłuż korytarza, ale kobieta już zniknęła. Dwie kule, wystrzelone bez namysłu, miały zabić ją i Alana. Kosa zakapturzonej śmierci znów się omsknęła, nie znajdując nazwiska Palicki na swojej czarnej liście.

– Sprawdź, co z Ginger, i wezwij wsparcie! – wydała rozkazy, rzucając się w pogoń.

Alan sapnął, wstając na nogi.

– Ukochany wrzód na dupie – wypowiedział myśl na głos, po czym się odwrócił, biegnąc i dopadając do ostatnich drzwi po lewej.

Palicki zbiegała po schodach, słuchając odgłosu wyprzedzających ją kroków. Zatrzymała się na wysokości siódmego piętra, celując w dół przez poręcz, ale uciekinierka przezornie trzymała się blisko ściany. Ponownie podjęła pościg. Na wysokości czwartego piętra kroki ucichły.

Palicki zeszła po schodach, przylegając plecami do ściany, i wyjrzała na skrzydło korytarza. Żadnego ruchu. Osunęła się na kolano, schodząc z trajektorii potencjalnej linii strzału, i wysunęła zza winkła wyprostowane ramię. Wyjrzała ponad linię muszki pistoletu, dostrzegając w przeciwległym skrzydle korytarza trzepoczącą firankę.

– Kurwa... – Podbiegła do otwartego na oścież okna, dostrzegając uciekającą po dachu sąsiedniej kamienicy postać. Złożyła się do strzału, ale oślepiające promienie zachodzącego słońca stanowiły naturalną i skuteczną osłonę dla celu. Pociągnęła za spust. Pocisk rozłupał fragment komina z czerwonej cegły.

Wdrapała się na parapet i spojrzała w dół.

– Szlag by to...

Kusiła los. Cztery piętra dzieliły ją od śmierci w wiecznie wilgotnym, zacienionym zaułku, a dwa i pół metra do obrosniętej winoroślą ściany kamienicy. Schowała broń do kabury, wyłączyła myślenie i po prostu skoczyła, wyciągając przed siebie ręce. Chwyciła się krawędzi murku, uderzając nogami oraz klatką piersiową w ścianę. „Siniaki na całym ciele”, włączyła myślenie. „Ciężko będzie wytłumaczyć to następnemu facetowi upolowanemu w pubie”.

Podciągnęła się, przerzuciła nogę przez murek i zsunęła na drugą stronę, upadając na plecy. Rozpostarte nad miastem gęste chmury zaczęły łzawić wielkimi kroplami. Palicki podniosła się, minęła komin i zatrzymała przy włączniku. Uciekinierka miała już nad nią sporą przewagę.

Spojrzała na znajdujące się po drugiej stronie budynku zewnętrzne schody

przeciwpożarowe.

W środku Faith zbiegała na dół, pokonując naraz po kilka stopni. Na drugim piętrze wpadła na starszą kobietę objuczoną zakupami. Ze schodów spadły dorodne pomarańcze.

– Cholerne dzieciaki!

Faith zwolniła dopiero na parterze. Pchnęła drzwi, wyszła na ulicę i rozejrzała się uważnie z bronią gotową do strzału. Na jej widok przechodnie natychmiast się odsunęli, przyspieszając kroku. Ruszyła biegiem, chcąc jak najszybciej oddalić się od wieżowca. Nieprzewidziane okoliczności, ale już wszystko w porządku. Londyn to ogromne miasto, a dwie przecznice dalej będzie tylko jego kolejną anonimową częścią.

Palicki zatrzymała się na drżących, zardzewiałych schodach przeciwpożarowych i wycelowała w przesmyk między kamienicą a sąsiednim budynkiem. O tej porze ruch na ulicy zdążył już się przerzedzić, ale zza rogu wciąż wyłaniali się przechodnie. Zaczekała. Szansa na to, że kobieta wybierze właśnie tę drogę, była jak jeden do trzech. Po wyjściu z kamienicy mogła udać się w lewo, w prawo albo na drugą stronę ulicy. W wielkim mieście każda droga była dobra, żeby zniknąć.

Jest. Ależ była szybka. Palicki zmrużyła oczy, biorąc uciekinierkę na cel. To była młoda kobieta, jeszcze dziewczyna... która miała na koncie dziesięć głów.

Pociągnęła za spust. Między budynkami rozległo się echo wystrzału. Dziewczyna oderwała stopy od ziemi, obróciła się w powietrzu i padła na ulicy. Przechodnie rozpięzchli się w popłochu, a w oknach zaczęły się pojawiać ciekawskie twarze.

Palicki patrzyła przez chwilę na leżące w dole nieruchome ciało. Zeszła do wilgotnego zaułka, minęła kontener na śmieci i odsunęła stopą leżący obok bezwładnej dłoni rewolwer. Magnum 44, to z takiej broni zabito Alexa Nipara oraz Bobby'ego Brodina.

Palicki chwyciła dziewczynę za ramię i obróciła na plecy. Jej oczom ukazał się napis Sex Pistols – częściowo zakrwawiony. Kula weszła pod pachą i przebiła żebra, chroniące najważniejsze organy. Schowała broń do kabury, przenosząc wzrok na twarz. Ciemne okulary Ray Ban zsunęły się na czubek

nosa, niczym kurtyna odsłaniająca tajemnicę, ale oczy były zamknięte, jakby dziewczyna tylko spała. „Bez wątpienia była piękna”, pomyślała Palicki. Miała szczególny, ponadczasowy rodzaj urody, wymykający się współczesnym kanonom mody kreowanym przez media. Ktoś z taką twarzą mógłby dostać wiele od tego świata, ale wziął wszystko, co najgorsze.

Palicki obejrzała się, słysząc, jak otwierają się drzwi kamienicy wychodzące na zaułek. Spodziewała się ujrzeć w nich Alana, ale to był tylko wiatr. Musiała poczekać. Jak zwykle. Poczekać na odgłos syreny w oddali. Orzeczenie patologa. Życzliwie rozłożony parasol nad głową. Zimne piwo na kanapie w domowym zaciszu... i może wiadomość na automatycznej sekretarce od tego chłopaka mieszkającego na złomowisku. Jak on miał na imię? Już prawie zapomniała.

Przezroczyta kropla deszczu spadła na białą jak muszla powiekę. Faith otworzyła oczy, gwałtownie, jak mechaniczna lalka. Błysnęła żółta źrenica, a otaczająca ją czerwona tęczęwka zaczęła się rozszerzać.

– Szybciej, Alan... – niecierpliwiła się Palicki. Zaciągnęła kaptur i osłaniając się od deszczu, próbowała zapalić papierosa. Zapalniczka Zippo działała bez zarzutu, ale pomięty morley przemókł, gdy tylko wsunęła go do ust.

Znieruchomiła, dostrzegając w drżącej kałuży wyrastający za jej plecami cień. Upuściła zapalniczkę, błyskawicznie sięgając pod kurtkę. Obróciła się, prostując ramię, i wycelowała w ukrytą za ciemnymi szklami, ociekającą deszczem twarz. Dziewczyna wyglądała, jakby podniosła się z wilgotnego grobu.

Palicki szarpnęła za spust.

Faith przechyliła głowę.

Echo wystrzału wplotło się w kakofonię miejskich dźwięków.

„Niemożliwe”, paralizująca myśl przemknęła przez umysł Palicki niczym błyskawica. Dziewczyna jedną ręką chwyciła ją za przegub, a drugą za bark, i boleśnie wykręciła policjantce ramię, z siłą zacieśniającego zwoje węża. Palicki z krzykiem zgięła się wóół, broń wyslizgnęła się jej z dłoni. Poczwała, że się unosi. Stopy oderwały się od ziemi i poszybowała z impetem wprost na ceglana ścianę kamienicy. Uderzyła plecami z głuchym łoskotem. Zsunęła się

głową w dół, wyciągając ręce, żeby wyhamować upadek.

Dziewczyna podniosła rewolwer i ruszyła w jej stronę, miękko przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Palicki z trudem uniosła się na łokciach. Dziewczyna powieliła jej gest – wyprostowała ramię, celując w głowę.

Palicki wstrzymała oddech, patrząc w lufę rewolweru. Odkąd sięgała pamięcią, dręczyło ją niepokojące przeczucie, że nie dożyje starości. Świat to nieprzystępne, niebezpieczne miejsce i kwestią czasu pozostawało, aż przytrafi jej się coś złego. Ludzie zwykle myślą na odwrót. Jeśli już w ogóle myślą o swojej śmierci, to wyobrażają ją sobie w odległej przyszłości, kiedy będą sędziwymi starcami i najlepiej w ciepłym łóżku, we śnie. Zanim to się stanie, ominą ich wszystkie katastrofy, wystrzelone kule, a także inni ludzie gotowi wyprowadzić ich z błędu.

Z czasem oswoiła się z tym przeczuciem, które z wiekiem przepoczwarzyło się w przekonanie.

– Trzy razy – odezwała się dziewczyna. – Zabiłaś mnie trzy razy.

Palicki bezsilnie patrzyła, jak otwiera bęben rewolweru. W sześciu komorach znajdowały się dwa naboje. Dziewczyna obróciła palcem bęben i ruchem nadgarstka zatrzasnęła.

– Chodź no tu. – Złapała Palicki za kołnierz kurtki, zmuszając, aby się podniosła. – Chciałabym wyrównać rachunki.

Dziewczyna chwyciła ją za gardło, przyciskając do ściany. Nachyliła się, przyglądając się spod ciemnych okularów z beznamietnym wyrazem twarzy. Palicki dyszała, ściskając oburącz jej przegub, jak wisielec desperacko próbujący poluzować pętlę. Kiedy dziewczyna zaspokoila już swoją ciekawość, uniosła rewolwer i kciukiem napięła kurek.

– Otwórz usta.

– Pierdol się – wychrypiała Palicki.

Dziewczyna uśmiechnęła się, szepcząc pod nosem:

– Niezłomny duch.

Palicki chrząknęła, udrażniając gardło, kiedy palce wbiły jej się w skórę. Rzęząc, próbowała złapać oddech. Lufa rewolweru płynnie wsunęła się jej w usta i opadła na język, wzbudzając metaliczny posmak. Uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny, a zastąpił go chłodny grymas zaklętego w kamieniu

bóstwa.

Palicki zacisnęła usta na lufie, kiedy niebezpiecznie zbliżyła się do jej gardła. „Dwie komory na sześć”, odliczyła, „to daje stosunek dwa do jednego na przeżycie”. Całkiem zadowalający wynik, ale też margines przegranej był niepokojąco szeroki. Dziewczyna się nie spieszyła.

Palicki głośno przełknęła ślinę. Gdzieś w oddali wspomnień błysnęła jej twarz ojca, który przeżył drugą wojnę światową. Zmarł w wieku 67 lat z powodu udaru mózgu, w trakcie żniw na własnym polu. Wspomnienie uleciało niczym rozrzedzający się sen i zastąpił go ostry jak brzytwa, rzeczowy wniosek. Dziewczyna wcale się nie wahała, tylko przedłużała tę chwilę, w której była panią życia i śmierci, a każdy wynik mogłaby rzucić na ślepy los. Nowe doświadczenie dla kogoś, kto dotychczas z premedytacją pociągał za spust.

Drapieżnie obnażyła zęby, dając ujście swojej mrocznej stronie osobowości. Tej skłonnej do przemocy, pozwalającej zadawać ból i strzelać bez regulaminowego ostrzeżenia. Palicki prowokowała dziewczynę, żeby wreszcie to zakończyła.

– Zabij mnie albo spierdalaj – zawyła przez zaciśnięte na lufie rewolweru zęby.

Rozległo się ciche kliknięcie, jakby ćma odbiła się od rozgrzanej żarówki.

Palicki odetchnęła, kiedy lufa wysunęła się z jej ust. Uścisk na gardle rozluźnił się i osunęła się na kolana w mokrym, zaśmieconym zaułku.

– Całkiem dobrze to zniosłaś. – Dziewczyna obróciła rewolwer w dłoni. – Ale nie wchodź mi więcej w drogę.

Palicki spoglądała półprzytomnym wzrokiem na czarną rękojeść opadającego rewolweru. Ogłuszona nie poczuła ciosu ani uderzenia głową o kontener. Zrobiło się tylko ciemno, a kiedy znów pojaśniało, zobaczyła rozmazaną postać w płaszczu, biegnącą w jej kierunku.

Poczuła zimne krople deszczu spływające z twarzy całymi strugami, a wraz z nimi ciepłą krew.

Kropla ciepłego lśniącego potu spłynęła po pucołowatym policzku Mickeya Brodina. Światło lampki ustawionej na biurku w domowej bibliotece padało na jego okrągłą niczym księżyc twarz. W ciszy i bezruchu wytrwał ze słuchawką przy uchu okrągłą minutę, zanim rozmówca podszedł do telefonu.

– Dobry wieczór, panie Brodin.

– Nie jest dobry, a ja oczekuję dobrych wiadomości – oświadczył bez zbędnego wstępu.

Po drugiej stronie linii zaległa grobowa cisza, ale tylko na chwilę.

– Dobra to taka, że pan Adams jest obecnie naszym gościem.

– No i?

– Niestety... nie posiada żadnych informacji, które mogłyby pana zadowolić.

„Bobby w tym momencie straciłby swoją słynną *cierpliwość*”, pomyślał Mickey, wygładzając poły marynarki, której nie zdjął z siebie od blisko doby.

– To nie są dobre wiadomości. Obiecałem wam dorodne kokosy w angielskim klimacie... – Machinalnie wyjrzał przez okno na unoszące się nad wrzosowiskiem ponure obłoki. – Ale pojęcia nie mam, czy dojrzeją przy tak kiepskiej pogodzie.

– Zawarliśmy umowę, panie Brodin! – obruszył się rozmówca.

– Owszem. I miałem nadzieję, że wynająłem fachowców.

– Wątpi pan w jakość naszych usług?

Mickey wytarł chusteczką spoconą głowę. Pocił się jak świnia i nic dziwnego, bo stapał po cienkim lodzie. Siedząc w domowym zaciszu, czuł na sobie spojrzenia całego londyńskiego półświatka, a w składanych kondolencjach słyszał palące w język niewypowiedziane pytanie: Czy po odrąbaniu prawej ręki imperium Brodinów utrzyma się na powierzchni? Odpowiedź brzmiała: Tak. Jednakże w obecnej sytuacji Mickey potrzebował sojuszników. Ludzi przekonanych, że z nim skorzystają, a bez niego tracą.

– Tego nie powiedziałem...

– Rozumiem pańskie rozgoryczenie, panie Brodin. – W na ogół rzeczowym głosie rozmówcy zaszła ledwo słyszalna zmiana; zabrzmiało wyrachowanie, które łatwo można było pomylić z fałszywą nutą empatii. – Proszę jednak

pamiętać, że decyzje podejmowane pod wpływem emocji...

– Nie wynająłem cię, żeby wysłuchiwać domorosłego pieprzenia – uciął, podkreślając pozycję rozdającego karty.

– Dotrzyma pan warunków umowy? – zabrzmiało po chwili pytanie.

Mickey zwlekał z odpowiedzią, rozważając wszystkie możliwe opcje. To była niezależna „firma” o nieposzlakowanej opinii, po obu stronach Tamizy. Kupowali gliniarzy, umiejętnie pozbywali się ciał, a przede wszystkim długo i sumiennie pracowali na własną renomę. Przez lata ich herszt został owiany miejską legendą, która, jak to legendy, pewnie daleka była od prawdy, ale mimo wszystko wzbudzała respekt. Mickey w zamyśleniu wysunął dolną wargę, uznając najprostszą opcję za najrozsądniejszą.

– Dostaniecie wszystko, co wam obiecałem.

– O północy. – Oznajmił z zadowoleniem rozmówca. – Otrzyma pan mój raport i dowód na prawdomówność pana Adamsa.

– Raport – mruknął do słuchawki Mickey, drapiąc się po głowie.

– Znajdzie się w nim...

– Zaczekaj. – Uniósł wyprostowaną dłoń, doznając olśnienia geniuszu, dzięki któremu co bystrzejsi potrafili wysnuć wniosek, kto za życia „Wielkiego” Boba naprawdę był mózgiem rodziny Brodinów. – Czy jako stały klient mogę złożyć jeszcze jedno zamówienie, licząc na obsługę poza kolejką?

– W istocie mam napięty grafik... – W słuchawce rozbrzmiał szum, za który równie dobrze mogły być odpowiedzialne zakłócenia sieci, co dym łąpczywie palonego papierosa. – Ale dla stałego klienta mogę zrobić wyjątek.

– Wreszcie jakaś dobra wiadomość. – Mickey podał imię, nazwisko oraz adres.

W słuchawce zaległa przeciągła cisza.

Po minucie Mickey zaczął się niecierpliwić.

– Tak, ta osoba pracuje w policji.

Brak reakcji.

– Czy to jakiś problem?

– Żaden – padła szorstka, poddana chłodnej analizie odpowiedź. – Jednak za to zlecenie policzę podwójną stawkę.

Mickey obnażył zęby w zjadliwym uśmiechu. Lata osiemdziesiąte go dobijały, jak okiem sięgnąć: sami złodzieje, wyzyskiwacze i hochsztaplerzy.

– Niech tak będzie, a teraz słuchaj uważnie. Kiedy już z nią skończysz, miej proszę na uwadze, że ta osoba znieważyla... – Z trudem przeszło mu to przez gardło. – Mojego świętej pamięci brata.

– Niesłychane – odparł beznamiętnie rozmówca.

– Miała prawo go nie lubić – wylewał swoje żale Mickey. – Bobby nie miał zadatków na świętego, ale mimo wszystko o zmarłych nie należy źle mówić.

– Zgadzam się, panie Brodin. – Tym razem zabrzmiało szczerze, jak szczek psa przytakującego swojemu panu.

– To mógłbym jej jeszcze darować, bo Bobby’emu nie robi już różnicy, ale jakby tego było mało, użyła niewybrednych, wręcz chamskich epitetów wobec mojej matki.

– Co też pan mówi...?

– No właśnie. – Westchnął Mickey. – Przecież moja staruszka nic jej nie zrobiła.

– Rozumiem, że mam ją za to przykładowo ukarać? – spytał rozmówca, nie kryjąc zadowolenia w głosie.

– Masz ją nauczyć szacunku! – Mickey zacisnął dłoń na słuchawce. – Ma o tym pamiętać za każdym razem, kiedy będzie spoglądała w lustro.

– Ma pan na to moje słowo. – Po drugiej stronie linii rozległ się metaliczny dźwięk. – Wracając jeszcze do pana Adamsa...

– Co z nim?

– No właśnie.

Mickey zmarszczył czoło.

– Wypuść go.

– Jest pan pewien?

– To tylko niegroźny śmieć.

Znowu ten dźwięk, jakby ktoś przesuwiał ostrzem po chropowatej powierzchni.

– Pozwolę sobie mieć inne zdanie.

– Nie jestem jakimś obłąkanym rzeźnikiem. Nie łamię piątego przykazania, jeśli nie muszę. – Mickey odłożył słuchawkę na widełki. – Nawet

w przypadku szczurów – dodał, w zamyśleniu wyglądając przez okno.
Zapowiadała się niespokojna noc.

Rozdział 13

Londyn – 12 lipca 1985 roku

Godz. 23:13

W Whitechapel, na piętrze przeznaczonej do rozbiórki kamienicy, w świetle latarni wpadającym przez wybite okno przesunął się cień. Faith przeszła przez zaśmieczone mieszkanie. Rzuciła kurtkę na rozprutą kanapę i udała się do łazienki. Zdjęła zakrwawiony T-shirt i cisnęła w kąt obok sedesu. Zabrała znad umywalki stożkowaty kawałek lustra. Odchyliła się i w świetle gołej żarówki uważnie obejrzała ranę wlotową po kuli. Dotknęła palcem. Już prawie nie bolała.

Kawałek lustra zadrżał w jej dłoni, wysunął się i rozbił o posadzkę. Faith zachwiała się na nogach, czując drgawki na całym ciele. W jej uszach rozbrzmiał jednostajny napierający szum. Pochodził z wewnątrz. Ostre światło żarówki przesłoniła delikatna mgła niczym miękkie obłoki dające wytchnienie w upalne lato. Kokon miał swoją granicę. Oleista konsystencja rozmywała się na boki, odsłaniając ścianę ze szkła. Zazwyczaj nie było za nią nic – poza ciemną otchłanią nicości – ale czasami odwiedzała ją pewna postać. Zawsze ta sama, wysoka i uśmiechnięta. Dużo rozmawiali. Powtarzał, że jest z niej bardzo dumny i że już nie może się doczekać, kiedy się urodzi. Ona pytała, co to znaczy, ale on tylko się uśmiechał. Opowiedział jej o podróży, którą musi odbyć – o tym, że jest częścią cyklu, z którego składa się życie.

Tego też nie rozumiała, ale obiecała mu, że go nie zawiedzie.

*

Na opustoszałym parkingu przed osiedlowym Super Marketem północnego Woolwich odbił się cień. Trzech punków biesiadujących pod siatką ogrodzeniową przerwało pijacką dysputę, obserwując wyłaniającą się w świetle latarni postać. Dwóch z nich było już zdecydowanych zejść jej drogę, ale wtedy trzeci coś do nich powiedział, a tamci obejrzeni się z niedowierzaniem. Ponuro kręcąc głowami, odczekali, aż kobieta zniknie im z oczu w pobliskim parku, i wrócili do ożywionej rozmowy, otwierając kolejną butelkę.

Palicki niosła ciężką papierową torbę, idąc pustą alejką. Spacer tutaj o tej porze był jawnym proszeniem się o kłopoty. Za dnia amatorzy joggingu pobudzali endorfiny, całe rodziny urządzały pikniki, a żądni wrażeń posiadacze bibliotecznych kart przerzucali na ławkach strony, czytając o niebezpieczeństwach, w których sami nigdy nie chcieliby się znaleźć.

Ale nocą parki miejskie całego świata przechodziły dziwną metamorfozę, jakby wraz z zapadnięciem zmierzchu do głosu dochodziła mroczna strona ludzkiej natury. Znikały wysportowane ciała i roześmiane twarze, a pojawiali się handlarze narkotyków, gwałciciele oraz najgorszy gatunek drapieżnika, którego przedstawicielem był Rzeźnik z Greenwich. To właśnie w parku takim jak ten zaszlachtował przed dwoma miesiącami swoją trzecią ofiarę.

Ale już tego nie zrobi. Nigdy więcej.

Palicki wyszła z cienia rozłożystych dębów; blask latarni oświetlił skórę na jej głowie. Chirurg musiał ogolić jej cały bok, żeby założyć cztery szwy nad uchem. Bolało bardziej, niż się spodziewała. Podziękowała mu za znieczulenie, miała własne środki. Po wizycie w szpitalu kazała Alanowi wysadzić się dwie przecznice od domu i wracać do żony.

Dochodziła już do bramy, pomiędzy gałęziami widziała światła w oknach osiedlowych bloków, kiedy usłyszała za plecami odgłos kroków. Były szybkie, ciężkie i miarowe. Zerknęła przez ramię, zastanawiając się – „kto normalny biega o tej porze?”

„A kto skacze po dachach na wysokości czwartego piętra? Podnosi się po

śmiertelnym postrzale? Albo wpycha ludziom broń do gardła?” – rozmyślała, dochodząc do wniosku, że gdyby podobne zdarzenie znała wyłącznie z relacji – na przykład Alana – poważnie zaczęłyby się martwić o jego kondycję psychiczną.

Na ścieżce dla biegaczy pojawił się mężczyzna w dresach i szarej bluzie z kapturem naciągniętym na twarz. Był dobrze zbudowany i krępy, jak bokser. Palicki przycisnęła torbę do piersi, wyczuwając pod pachą znajomy kształt Walthera wsuniętego w kaburę.

Kroki i ciężki oddech stawały się coraz głośniejsze. Zrobiła gwałtowny krok w bok, kiedy mężczyzna ją mijał. Pod kapturem zamajaczyła zdziwiona ciemnoskóra twarz i chwilę potem mężczyzna zniknął za bramą parku.

Palicki odetchnęła. Miała za sobą długą dobę, mało spała, a teraz zaczynała mieć paranoję. Ta dziewczyna musiała być naszprycowana po uszy, pewnie wykrwawiła się pół godziny później i wkrótce ją znajdą w jakiejś zauszonej norze.

Przebieła skrzyżowanie, wchodząc na nowo wybudowane osiedle bloków z czerwonej cegły. Szła wolno, uważnie się rozglądając. Wzdłuż chodnika stały równo zaparkowane samochody sąsiadów, gdzieś w oknach paliły się jeszcze światła albo odbijał blask włączonych telewizorów. W końcu był już weekend.

Wstuknęła kod w domofon, a kiedy wchodziła na klatkę schodową, jeszcze raz się obejrzała. Nie zauważyła szarej furgonetki z logo firmy kurierskiej, stojącej w cieniu niedziałającej latarni.

Mrugnęły ostrzegawczo światła. Na drugim piętrze w oknach szczelnie zaciągnięto zasłony.

Palicki wdrapała się po schodach na drugie piętro, zapaliła światło w korytarzu i stanęła przed drzwiami swojego mieszkania.

Szczęknęła klamka sąsiednich drzwi.

– Witam, pani Forsyth – przywitała się, nie odwracając głowy.

Starsza kobieta spoglądała w niemym zdumieniu znad łańcucha, zanim w końcu się odezwała:

– To ty, Nell?

Palicki oparła torbę na biodrze, mocując się z zamkiem. Odnotowała

w pamięci, że musi go naoliwić.

– Obawiam się, że tak.

– Dobry Jezu... co ci się stało?

– Długo by opowiadać – odparła znużonym głosem – ale zaręczam, że On nie miał z tym nic wspólnego. Dlaczego pani jeszcze nie śpi?

– Obudził mnie jakiś hałas – poskarżyła się sędziwa sąsiadka. – Myślałam, że to ty.

Palicki uniosła brwi, robiąc zdziwioną minę – była ostoją niewinności. Może raz czy dwa, wracając od Murpha z pubu, poślizgnęła się na wypastowanej posadzce. Facetów nie sprowadzała, miała zasady. O co tu robić raban?

– Chyba obu nam przyda się odpoczynek.

Wyciągnęła klucz z zamka, włożyła w zęby breloczek trupiej główki i objuczona zakupami weszła do mieszkania, nucąc pod nosem: *Another One Bites the Dust*. Pchnięciem stopy zamknęła za sobą drzwi, nie zauważając wyszczerbień na zamku zrobionych wytrychem.

Zsunęła buty w przedpokoju i przeszła bosą po szeleszczącej wykładzinie. Zatrzymała się w salonie, dostrzegając niepokojące objawy. W całym mieszkaniu panowały egipskie ciemności. Zasłonki zostały zaciągnięte w oknach – czego sama nigdy nie robiła, wychodząc z mieszkania – a pod sufitem unosił się gęsty, gryzący w płuca dym niedawno wypalonych papierosów. Z przerażeniem rozglądała się dookoła, nieświadomie zaciskając zęby na trupiej główce i zdając sobie sprawę, że nie jest w domu sama.

Oczy przyzwyczyły się do ciemności i zobaczyła po prawej – w progu sypialni – zarys postaci w czarnym pulowerze z golfem. Stała nieruchomo z założonymi rękami, wypełniając sobą całe wejście. Obserwowała każdy ruch policjantki i czekała. Ale na co?

Palicki upuściła torbę na dywan, rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Wsunęła dłoń pod kurtkę, rozpięła kaburę i zacisnęła palce na rękojeści. Za plecami usłyszała szelest wykładziny. Garderoba. Obejrzała się przez ramię, dzwoniąc kluczami. Z ciemności wyłoniła się zaciśnięta pięść w czarnej rękawiczce, szybująca na spotkanie z jej twarzą.

Cios był mocny i precyzyjny. Trupia główka ze zgrzytem wypadła jej z ust.

Palicki uderzyła udem w boczne oparcie kanapy i upadła jak ścięte drzewo, twarzą w poduszkę. Napastnik unieruchomił jej ramiona w fachowym żelaznym uścisku. Mocnym szarpnięciem poderwał ją z kanapy i pociągnął na środek salonu.

Palicki oprzytomniała po kilku sekundach. Zapała się stopami o dywan i szarpnęła, podejmując walkę. Napięła mięśnie ramion, próbując się oswobodzić, ale po dwóch miesiącach bez joggingu i lekcji kung-fu – za to regularnego picia – była cieniem samej siebie.

Szamotała się, nadrabiając walecznością. Udało jej się uwolnić jedną rękę i trafić napastnika łokciem w żebra. Rozległo się bulgoczące stęknienie. Stracił rezon, ale wciąż ją trzymał.

Przyglądająca się wszystkiemu z boku ciemna postać odepchnęła się ramieniem od futryny. Nim Palicki spostrzegła, że się zbliża, zwinęła się z bólu od brutalnego ciosu pięścią w splot słoneczny. Napastnik pchnął ją na posadzkę jak szmacianą lalkę. Palicki upadła, rozbijając sobie łuk brwiowy.

Postać w pulowerze wypluła rozkaz. Brzmiał po rosyjsku, ale Palicki trochę znała ten język.

– Durniu, zabierz jej broń.

Nie tracili czasu. Pobita i oszołomiona Palicki poczuła, jak ciężkie kolano wbiło jej się między łopatki, przygniatając do podłogi. Potem czyjaś dłoń wsunęła się pod kurtkę i wyszarpnęła pistolet z kabury.

– Skurwysyny! – krzyczała z policzkiem wciśniętym w miękki dywan – Jestem policjantką, jeśli coś mi zrobicie, tym razem wam nie darują.

– Spokojnie, pani inspektor. Nie zrobimy ci krzywdy. Chcemy tylko pogadać – oświadczył gardłowy, beznamiętny głos, zmiękczając *r*. – Przytrzymaj ją, jest narowista.

Napastnik w jednolitym szarym kombinezonie odciągnął ramiona policjantki za plecy. Po chwili na jej skrzyżowanych nadgarstkach zacisnęła się plastikowa opaska. Odetchnęła, kiedy kolano przestało ją przygniatać do podłogi. Podniosła głowę i powiodła wzrokiem za oddalającą się postacią. Ta, kołysząc barczystymi ramionami, przeszła do aneksu kuchennego, znikając w ciemnościach.

– Przysięgam, że nie ujdzie wam to...

Błysnęło światło. Palicki zmrużyła oczy.

– Pamiętasz mnie, Palicki? – Żółta smuga padła na profil twarzy, odsłaniając nordyckie rysy. To była wysoka krótkowłosa blondynka z kolczykiem w uchu, ale łatwo można było się pomylić. Oprócz charakterystycznego głosu były jeszcze inne elementy męskie tej postaci. – Od naszego ostatniego spotkania nie minęło dużo czasu.

Palicki dobrze zapamiętała spotkanie w parku, kiedy poruszając się o kulach z nogą w gipsie, odmówiła przyjęcia łapówki sowieckiej posłance mafii. Dobrze, że w porę podszedł do nich Alan, bo szczerze obawiała się o dalszy rozwój wypadków.

– Wybrałaś niewłaściwe mieszkanie, Kirilenko, i niewłaściwą...

– A więc pamiętasz. – Rosjanka wyszła zza blatu i podeszła do niej, trzymając coś w ręku. – Dobrze. – Skinęła na swojego towarzysza. – Te ściany są bardzo cienkie, już nie budują jak dawniej.

Tamten chwycił Palicki, przetaczając na lewy bok. Rosjanka kucnęła przy niej, rozwijając z chrzęstem rolkę uniwersalnej taśmy montażowej; odpornej na warunki atmosferyczne, wodę oraz temperaturę. Niezawodna w pracach remontowych, skutecznie ograniczała hałas.

Palicki przełknęła ślinę, dobierając słowa z szaleńczą gorliwością.

– Jeśli teraz wyjdiesz, to może... mmf!?

– Tak lepiej. – Rosjanka odcięła nożyczkami długi biały kawałek i fachowym, niesygnalizowanym ruchem zakneblowała ją od ucha do ucha. – Nie wyjdę stąd, dopóki z tobą nie skończę – mówiła, pieczołowicie wygładzając fałdy powstałe w kontakcie z ruchomą powierzchnią, aż została tylko cienka linia ust. – Tym razem nie przyszedłam ci zaproponować łapówki. Pogadamy sobie za darmo.

Palicki desperacko napała ustami na taśmę, próbując krzyknąć, ale ta przyłgnęła do jej twarzy niczym druga skóra. W salonie rozległ się tylko stłumiony pomruk:

– Mph!

Po drugiej stronie ściany sędziwa Dorothy Forsyth nie mogła zmrużyć oka. Niepokoiły ją odgłosy walki i podniesione głosy dobiegające z sąsiedniego mieszkania, w którym – z tego, co wiedziała – przebywała tylko jedna osoba.

Ale jeszcze bardziej zaniepokoiło ją, kiedy te odgłosy nagle ustały.

Wyszła z łóżka i w samej koszuli nocnej oraz czapce z bąblem podszła do ściany, na której wisiał obraz Matki Boskiej za szkłem. Stara kobieta zabrała z kredensu szklanekę do popijania leków, a potem czujnie nadstawiła uszu.

– Wiesz, Londyn to duże miasto. Każdy kombinuje coś na boku – perorowała Kirilenko, lubiła słuchać własnego głosu. – Większość nie toleruje wyjątków nieprzestrzegających tradycji. Zdziwiłabyś się, ilu twoich kolegów jest na naszej liście płac.

Przygwożdżona do podłogi przez siedzącego na niej okrakiem Rosjanina, Palicki wierzgała nogami i zadzierała głowę, wydając z siebie gniewne pomruki.

– Mphhh!

Kucająca nad policjantką Kirilenko oparła łokcie na kolanach, ujawniając okazałe bicepsy pod pulowerem. W kąciку ust trzymała zapalonego papierosa, pozwalając mu się swobodnie wypalić.

– Harda jesteś, Palicki. To dobrze. Lubię twardzieli stawiających opór. Moja praca jest wtedy znacznie przyjemniejsza – mówiła, obserwując policjantkę poprzez dym z papierosa, z wyrazem szyderczego rozbawienia na twarzy. – Nie kop Konstantina, bo ci odda.

– Uhm... – rozległ się zduszony jęk, kiedy zaciśnięta pięść w skórzanej rękawiczce z impetem spadła, obijając nerkę.

– Ostrzegałam. – Rosjanka chwyciła Palicki za głowę i obróciła twarzą ponad ramię, zmuszając, aby policjantka cały czas na nią patrzyła. – To nic osobistego, ale Mickey Brodin wynajął mnie, żebym cię przesłuchała. Udzielisz mi odpowiedzi na kilka pytań. Jeśli odmówisz albo będą niezadowolające, wówczas będziemy musieli upewnić się, czy rzeczywiście nic nie wiesz... albo czy może nie chcesz czegoś zataić. W tym celu Konstantin połamie ci palce, jeden po drugim. Kiedy ich zabraknie, weźmiemy się za te u stóp, ale do tego użyjemy już obcęgow... więc na twoim miejscu bym się postarała. – Przesunęła pieśczośliwie kciukiem po zaklejonym policzku. – A, i nie waz się kłamać. Od razu to zauważę. Zrozumiałaś?

– Mkh! – Palicki szarpnęła się, ale miękkie i jednocześnie niezwykle silne

dłonie zacisnęły się na jej czaszce jak szczęki imadła.

– To było pierwsze pytanie... żebyś zrozumiała powagę sytuacji i nabrała chęci do współpracy, za chwilę rozkażę Konstantinowi złamać ci pierwszy palec. Gotowa? – Kirilenko skinęła na swojego towarzysza. – Dawaj.

Palicki zacisnęła powieki i usta pod taśmą, czując, jak mały palec jej lewej dłoni wygina się pod nienaturalnym kątem. Fala ostrego bólu powędrowała do mózgu z prędkością błyskawicy, a potem wróciła labiryntem nerwów z powrotem do dłoni.

„Pac!” W salonie rozległ się odgłos kości wyłamywanej ze stawu. Palicki szeroko otworzyła oczy. Na jej twarzy zalśniły kropelki potu. Uwypuklone policzki zaczerwieniły się jak wypełniony krwią balon. Oddychała spazmatycznie przez rozszerzone skrzydełka nosa. Wystający podbródek podwinął się na krawędzi plastra, a zdobiący go mały dołeczek pulsacyjnie zadrżał. Napięte mięśnie żuchwy odcisnęły się wokół zagłębienia ust, ale przywierająca do twarzy taśma skutecznie stłumiła krzyk:

– Ughmmm...!

Kirilenko uśmiechnęła się, jednocześnie wydmuchując nosem dym z papierosa.

– Wiem, że to trudne, ale teraz musisz się skupić. Możemy zaczynać? To było kolejne pytanie.

Palicki nie wiedziała, w jaki sposób miałyby udzielać odpowiedzi, mając zaklejone usta. Sapnęła przez nos i kiwnęła głową.

– Bardzo mnie to cieszy. Czy to prawda, że masakry w klubie dokonał jeden człowiek?

– Mhm.

– Niesłychane – szepnęła z uznaniem Rosjanka. – Media próbują powiązać z tym zabójstwo Alexa Nipara. Słusznie?

Palicki ciężko oddychała, a w głowie miała natłok myśli. Nie na wszystkie pytania istniały proste odpowiedzi. Naparła ustami na taśmę:

– Mghm...

– Uściślę, tak żeby nawet gliny z doktoratem mogły zrozumieć. – Kirilenko pochylała się nisko, w skąpym świetle jej oczodoły wypełnił cień. – Czy to możliwe, żeby stała za tym ta sama osoba?

Palicki zamarła, zaglądając w nieruchome, wpatrzone w nią ślepie. Już takie widziała. Z ludźmi pokroju Kseni Kirilenko nie można pertraktować, błagać ich ani zastraszyć. Muszą osiągnąć swój cel. Są jak drapieżniki zaspokajające głód.

– Mhm.

– Podejrzewacie Tylera Nipara? Mógł kazać sprzątnąć swojego ojca i Bobby’ego Brodina. Upiekłby wtedy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Zbrodnia była niczym kamień wrzucony do wody, nieodłącznie wiązała się z kręgiem podejrzanych. Każdy miał swojego faworyta. Kogoś, kogo chętnie widziałby w roli zabójcy. Kirilenko pod tym względem nie stanowiła wyjątku, miała hipotezę dobrą jak każda inna.

Palicki energicznie kiwnęła głową.

– Coś mi tu nie gra... Oko ci uciekło. Prawa półkula mózgu odpowiada za myślenie twórcze. Mamy pierwsze kłamstwo – obwieściła Rosjanka. – Szybko, Palicki, jak tak dalej pójdzie, to za godzinę nie będziesz miała czym podrapać się po tyłku. Dawaj!

W mieszkaniu na moment zapanowała grobowa cisza.

A potem rozległ się przeciągły, zdławiony jęk:

– Argh!

Po drugiej stronie ściany oddzielającej sypialnię inspektor Palicki od sąsiedniego mieszkania Dorothy Forsyth przestała nasłuchiwać i wolnym krokiem wróciła do łóżka. Zabrała drewnianą laskę, po czym z trudem, łamana artretycznymi bólami, podreptała do kuchni, gdzie stał telefon. Wykręciła numer alarmowy policji. Podzieliła się z zaspanym dyżurnym swoimi podejrzeniami i powiedziała, gdzie ma posłać radiowóz. Ale kiedy została poproszona o podanie własnego nazwiska oraz adresu, starsza pani natychmiast się rozłączyła. Była porządną obywatelką, a porządni obywatele pilnują własnych spraw.

– Możemy kontynuować?

Palicki zamrugała oczami.

– Mmmf!

Kirilenko uniosła kąciki ust, błysnęła złota plomba.

– Chcesz, żebym zdjęła taśmę? Myślisz, że będziesz wtedy lepiej kłamać?

W salonie rozległ się nieprzyjemny, bulgoczący śmiech towarzyszącego jej Rosjanina.

– A zatem, jeśli Tyler tego nie zlecił... to kto? – Zastanawiała się na głos. – W mieście pojawił się trzeci gracz. Inspektor Palicki ma pomysł, kto to może być?

Policjantka potrząsnęła głową.

Kirilenko wyrozumiale poklepała ją w policzek.

– Gównu wiesz, prawda?

Palicki na wszelki wypadek skinęła głową.

Rosjanka kontynuowała przesłuchanie.

– Policja posiada już rysopis zabójcy?

– Mhm.

– To kobieta, prawda?

Palicki zawahała się, kropla potu spłynęła po jej rozgrzanym policzku. Nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– Mhm.

– Grzeczna dziewczynka – mruknęła z zadowoleniem Kirilenko. – Nie zdążyliśmy przeszukać twojego mieszkania. Masz tu gdzieś kopie raportu, której nie wolno wam robić... ani tym bardziej wynosić z budynku komendy?

Palicki wytrzymała spojrzenie Rosjanki. Tym razem była przygotowana.

– Uhm.

– Kłamiesz! – Syknęła Kirilenko. – Nie mamy całej nocy na zabawę. Konstantin, zdejmij jej skarpetki.

Palicki zaczęła się gwałtownie szamotać, słysząc, na co się zanosi.

– Mhm – odparła po namyśle.

– Za późno. – Rosjanin chwycił ją za lewą kostkę i powoli zacisnął metalowe szczęki na małym palcu stopy. – Już nie chcę cię słuchać.

Palicki odchyliła głowę, zaciskając powieki oraz usta pod taśmą. Na jej szyi uwydatniła się siatka żył.

– Mhmmm!

– Czeka! – Zakomenderowała po chwili Rosjanka. – Wyjdź!

Zdziwiony towarzysz podniósł na nią wzrok, niechętnie chowając obcęgi.

– Zaczekaj na zewnątrz.

Kirilenko zaczęła, aż drzwi do mieszkania cicho się zamkną, po czym konfidencjonalnie zwróciła się do Palicki:

– Pokażesz mi gdzie?

Organizacje przestępcze całego świata mają ze sobą wiele wspólnego. Każda z nich zostawia jakiś ślad, coś w rodzaju znaku firmowego. Na przykład takim symbolem włoskiej Cosa Nostry jest ryba. Japońska Yakuza obcinała palce. Jamajskie gangi wyrywały organy wewnętrzne, natomiast kolumbijskie podrzynały gardło i wyciągały język przez krwawy otwór. Meksykańskie kartele tuż przed przemytem dużej dostawy narkotyków miały zwyczaj porywania turystów, aby następnie złożyć ich w ofierze, wierząc, że tym sposobem zaskarbią sobie przychyłność nadprzyrodzonych sił.

Londyńczycy też mieli swoje upodobania. Świeży truposz Alex Nipar lubił swoich wrogów poddawać dekapitacji. W całym tym gronie bracia Brodin wydawali się nadzwyczaj subtelni – kiedy ktoś im podpadł, rozkazywali delikwentowi na znak posłuszeństwa ogolić głowę.

Inną wspólną cechą podziemnych bossów był nieodłącznie towarzyszący im strach. Rzadko dożywali sędziwego wieku – jeśli już, to w zakładach penitencjarnych jak Al Capone – a najczęstszą przyczyną tych ponurych statystyk była zdrada.

Żyli w świecie, w którym obosieczny miecz ciął po obu stronach z równą skutecznością.

Palicki otworzyła oczy, czując na twarzy gorący oddech Rosjanki. Niezwłocznie wskazała jej wzrokiem, gdzie schowała kopię raportu.

– Zuch dziewczyna. – Kirilenko obejrzała się za siebie, była bystra jak polujący kot. – A swoją drogą, co ci się stało?

Palicki drgnęła, kiedy Rosjanka przesunęła palcem po świeżo założonym szwie nad uchem.

– Komuś nie spodobała się twoja riposta?

Na to pytanie Palicki już nie musiała odpowiadać. Kirilenko zostawiła ją na podłodze, wyciągnęła z papierowej torby brązową teczkę i podeszła do blatu aneksu kuchennego, aby móc przy świetle zapoznać się z jej zawartością.

Wyczerpana Palicki padła twarzą w dywan. Wiedziała, że pozostało jej już

niewiele czasu. Napięła mięśnie ramion i zacisnęła zęby, kiedy plastikowa opaska wbiła jej się w zabliznioną skórę pod kciukiem. W pamięci mignął strzęp horroru sprzed dwóch miesięcy.

– Dobra robota. – Oparta o blat Kirilenko, chwytając dwoma palcami za krawędzie, w zamyśleniu przerzucała oblane piwem, posklejane strony. – Wiesz, Palicki, że wbrew pozorom wcale się od siebie nie różnimy? Sprzeczne są tylko nasze interesy.

Za jej plecami Palicki oparła się na ramieniu i podciągnęła kolano. Najpierw podniosła się na klęczki, a potem na nogi. Zachwiała się, kiedy zakręciło jej się w głowie i musiała stanąć w lekkim rozkroku, żeby nie upaść.

– Została jeszcze ostatnia sprawa. „Cichy” Mickey poskarżył mi się, że byłaś dla niego niegrzeczna przez telefon. Podobno źle się wyrażałaś o jego matce i zmarłym bracie. Poprosił, żebym nauczyła cię szacunku, więc... ogolę ci głowę. – Kirilenko zamknęła teczkę. – Widziałam, że ktoś już zaczął, więc uwiniemy się raz-dwa. Pomyśl tylko, gdybyś przyjęła wtedy pieniądze, to dzisiaj załatwiłybyśmy sprawę jednym telefonem, a tak...

Palicki podeszła cicho, stąpając bospo po miękkim dywanie. Zaczekała, aż Rosjanka się odwróci. Wzięła głęboki oddech przez nos, płynnie przeniosła ciężar z nogi na nogę i wykonała perfekcyjny *Fang Nou Tie*, trafiając Kirilenko stopą w ucho. Głowa Rosjanki zakołysała się na karku, w powietrzu zawirowały rozrzucone papiery, a po chwili rozległ się łoskot upadającego ciała.

Palicki spojrzała w stronę drzwi wejściowych, a potem przeniosła wzrok na Kirilenko. Oszołomiona Rosjanka potrząsnęła głową, wycierając wierzchem dłoni krew z rozbitej wargi.

– Suka!

Palicki rzuciła się do drzwi balkonowych. Obróciła się, zdrową dłonią odnalazła po omacku klamkę i wybiegła na zewnątrz. Chwyciła się poręczy, przerzucając nogi za balustradę. Spojrzała w dół na znajdujący się dwa piętra niżej trawnik. Wyłączyła myślenie i skoczyła. Uderzyła stopami o mokry, nasiąknięty deszczem grunt. Ugięła kolana i przetoczyła się na bok, próbując zmniejszyć siłę upadku. Leżąc na plecach w trawie, obserwowała

rozciągające się nad miastem skupisko gwiazd, jednocześnie włączywszy myślenie, zastanawiała się, czy kości były całe.

Zarzuciła nogą, obracając się na bok, i z trudem podniosła, zataczając się na chodnik. Rozejrzała się po sennym osiedlu, wypatrując pozostałych napastników. Strach ustąpił miejsca kipiącej złości. Pozwoliła się zaskoczyć we własnym mieszkaniu. Dostała lanie w pierwszej połowie, ale mecz się jeszcze nie skończył. Zawsze może być lepiej... albo gorzej.

Ksenia Kirilenko miękko wylądowała na trawniku, przetaczając się na bok z kocią zwinnością.

Palicki pochyliła się, rzucając do ucieczki. Biegła chodnikiem, kierując się w stronę przecznicy z sygnalizacją świetlną. Mijała latarnie i zaparkowane samochody. Zewsząd otaczały ją zaciemnione okna. O tej porze na spokojnym osiedlu wszyscy już leżeli w łóżkach, odsypiając trudy roboczego tygodnia. Nikt nie spacerował po ulicy. Nikogo pies nie wyciągnął z mieszkania.

Oddychała ze świstem przez nos, miękko stawiając stopy. Kiedyś lubiła biegać. W szczytowej formie potrafiła pokonać 30 kilometrów w tygodniu. Ale nigdy boso i ze skrępowanymi rękami na plecach. Musiała uważać, aby nie stracić równowagi, co mogłoby kosztować ją życie.

Na pustej ulicy rozbrzmiewał odgłos ciężkich, zbliżających się kroków i wściekły, gardłowy pomruk. Palicki nie zaryzykowała zerknięcia przez ramię – bez tego wiedziała, że Rosjanka sukcesywnie zmniejszała dzielącą je odległość.

Przyspieszyła, wyciągając nogi. Mięśnie ud paliły, wydzielając kwas mlekowy, ale nie zwolniła. To był dobry ból, a w oddali błysnęły zmieniające się światła. Musiała tylko dobiec do skrzyżowania. Przechucie podpowiadało jej, że to wystarczy.

Dwa kilometry dalej, na parkingu pod Super Marketem, funkcjonariusze Craig Carmichael i Alistair McCoy właśnie kończyli spisywać zakłócających spokój punktów, kiedy odebrali zgłoszenie o awanturze domowej. Wsiedli do radiowozu i trzy minuty później objechali park, zbliżając się do osiedla nowych bloków.

Prowadził przepełniony młodzieńczym entuzjazmem Carmichael.

– Czy tu gdzieś w okolicy nie mieszka czasem ta policjantka z telewizji?

Dowodzący patrolem McCoy wzruszył ramionami. Jedni łapią seryjnych morderców i zdobywają sławę, a drudzy w oczekiwaniu na emeryturę uciszają męty społeczne. McCoy nie pamiętał, dlaczego wstąpił do policji. Zamiast wracać do przeszłości, wolał patrzeć w rysującą się przed nim beztroską przyszłość. Cały wieczór próbował porachować, ile – po przejściu na emeryturę – będzie w stanie uszczknąć co miesiąc z domowego budżetu, żeby móc odłożyć na upragniony zestaw wędkarski. Tylko tak, żeby Linda się nie dowiedziała. Pani McCoy postawiła ultimatum; zanim pozwoli Alistairowi resztę życia spędzić nad jeziorem, najpierw ma zabrać ją na Ayers Rock. Wielbiciel świętego spokoju i niereformowalny dusigrosz McCoy miał ciężki orzech do zgryzienia. Nie kwapił się wsiadać do samolotu, a także wydawać oszczędności całego życia tylko po to, żeby na drugim końcu świata, wraz ze zgrają hałaśliwych turystów, oglądać jakąś zmieniającą kolory cholerną górę.

– Chłopaki na posterunku opowiadali, że podobno posiada jakiś szósty zmysł – mówił z pasją Carmichael.

McCoy spojrział na młodego partnera spode łba. Też posiadał szósty zmysł. Podpowiadał mu, że jeśli Carmichael zaraz się nie zamknie, to będzie biegł za radiowozem.

– Hamuj! – wrzasnął, wbijając stopy w podłogę.

Biegnąca chodnikiem, wzdłuż ogrodzenia parku, Palicki wyskoczyła na ulicę jak nocna zjawia. Najpierw zobaczyła blask reflektorów, a potem usłyszała pisk hamulców. W ułamku sekundy, decydującym o życiu lub śmierci, zrozumiała, że nie ma szans uskoczyć przed jadącym samochodem. Oślepiąca światłem zamknęła oczy i zobaczyła ojca w mundurze oraz hełmie Drugiego Korpusu Polskiego, uśmiechającego się ze zdjęcia zrobionego na tle ruin klasztoru Monte Cassino, a także wszystkie wybory, które sprowadziły ją do tej chwili, kiedy z przerażeniem na twarzy czekała na śmierć.

Kwantowa teoria wielu światów, zaproponowana przez amerykańskiego fizyka Hugh Everetta III, zakłada, że każde zdarzenie ma miejsce w którejś z odnóg rzeczywistości przypominającej rzekę wytaczającą nowe koryta. Zgodnie z interpretacją mechaniki kwantowej wszechświat ewoluuje, tworząc równoległe uniwersa, kiedy dana cząsteczka dokonuje wyboru. Wówczas w alternatywnej rzeczywistości bliźniacza kopia takiej cząsteczki podąża dalej ścieżką życia, ale jej historia przebiega już zgoła inaczej.

W równoległym uniwersum inspektor Nell Palicki, pani Dorothy Forsyth w przeddzień koncertu Live Aid nie żyła już od miesiąca. Wraz z nastaniem lata wyzionęła ducha podczas snu. Znalazła ją sąsiadka. Zaniepokojona kilkudniową nieobecnością starszej pani przeszła z balkonu na balkon i zajrzała przez okno.

Wkrótce potem za ścianę wprowadzili się państwo Larsonowie. Oboje pochodzący z klasy średniej, młodzi, ale już na kierowniczych stanowiskach i wciąż bezdzietni, lubiący spędzać weekendy poza domem.

Palicki feralnej nocy nie odbyła rozmowy z panią Forsyth. Nie rozkojarzyła się, tylko wciąż trzymana w szponach paranoi weszła do swojego mieszkania trzydzieści sekund wcześniej. Niepokojące objawy dostrzegła już za drzwiami. Torbę z zakupami odstawiła w przedpokoju i z bronią w dłoni – trzymaną przy udzie – wsunęła się do salonu. Palicki i tym razem dała się zaskoczyć, pozwalając wytrącić sobie broń, jednak w bezpośrednim starciu stawiała skuteczny opór napastnikowi, używając nóg. Ksenia Kirilenko szybciej ruszyła na pomoc swojemu towarzyszowi, przesądzając o losach walki, a on sam wypluł wybity ząb, tracąc wraz z nim pewność siebie.

Dalsze wydarzenia potoczyły się następująco.

Wyczerpana Palicki padła twarzą w dywan. Wiedziała, że pozostało jej już niewiele czasu, ale wciąż próbowała się oswobodzić. Napięła mięśnie ramion i zacisnęła zęby, kiedy plastikowa opaska wbiła jej się w zabliźnioną skórę pod kciukiem. Poruszała zdrętwiałymi stopami, ale ich nie czuła. Rosjanin po utracie zęba przezornie skrępował jej nogi drugą opaską i byłby obił niczym worek treningowy, gdyby Kirilenko go nie powstrzymała.

– Dobra robota.

Palicki bezradnie się przyglądała, jak Rosjanka krąży wokół blatu,

w zamyśleniu przerzucając wciąż pachnące tuszem, nielegalnie skopiowane strony raportu.

– Wiesz, Palicki, że wbrew pozorom wcale się od siebie nie różnimy? Sprzeczne są tylko nasze interesy. Została jeszcze ostatnia sprawa. „Cichy” Mickey poskarżył mi się, że byłaś dla niego niegrzeczna przez telefon. Podobno źle się wyrażałaś o jego matce i zmarłym bracie. Poprosił, żebym nauczyła cię szacunku, więc... ogolę ci głowę. – Kirilenko zamknęła teczkę.
– Widziałam, że ktoś już zaczął, więc uwiniemy się raz-dwa. Pomyśl tylko, gdybyś przyjęła wtedy pieniądze, to dzisiaj załatwiłybyśmy sprawę jednym telefonem, a tak... czeka cię domowa wizyta fryzjera.

Odłożyła raport, chwyciła Palicki za kołnierz kurtki i przeciągnęła bliżej światła. Następnie Rosjanka włożyła wtyczkę kabla do znajdującego się w ścianie kontaktu. Uruchomiła golarkę. Urządzenie zadrżało w jej dłoni i rozległo się głośne brzęczenie, jakby do mieszkania wleciała ogromna ważka.

– Obie mamy obsesję na punkcie swojej profesji. Osobiście uważam, że ten, kto lubi swoją pracę, nie spędza w niej ani jednego dnia.

Palicki kręciła głową, napierając ustami na taśmę, ale Kirilenko nie chciała już jej słuchać. Usiadła policjantce na plecach, owinęła ramię wokół szyi w węzowym uścisku i przystąpiła do pracy. Palicki szarpała się, wydając wściekłe pomruki. Na jej czole uwydatniła się siatka żył. Nierówne zmagania przypominały kuriozalne zawody rodeo, gdzie byk dosiadał jeźdźca.

Rosjanka nie spieszyła się, goliła sumiennie, nie zapominając o najdrobniejszych szczegółach. Włosy spadały z głowy całymi kępkami, odsłaniając białą jak papier skórę.

Po dwudziestu minutach ważka umilkła.

– Wyglądasz teraz jak mój ulubiony aktor Yul Brynner.

– Mphfk! – Palicki wyrzuciła z siebie zniekształcone przekleństwo.

– Ty też. – Kirilenko klepnęła ją w głowę, podnosząc się na nogi. – A, byłabym zapomniała.

Palicki sapnęła, kiedy Rosjanka obróciła ją stopą na plecy.

– To na początek. – Pokazała ściągnięty gumką zwitek banknotów, zanim wsunęła go do wewnętrznej kieszeni kurtki policjantki. – Witamy w rodzinie.

*

W alternatywnej rzeczywistości jeden szczegół wystarczył, żeby zmienić scenariusz zdarzeń. Pani Dorothy Forsyth w przeddzień koncertu Live Aid czuła się nadzwyczaj dobrze. W równym stopniu mógł za to być odpowiedzialny wpływ kosmicznych sił, jak i umiarkowanie ciepłe lato. Tryskała wigorem do tego stopnia, że nie zapomniała poprosić zaprzyjaźnionej policjantki o otwarcie buteleczki leków. Palicki musiała odstawić torbę z zakupami na wycieraczkę, żeby wyświadczyć starszej pani grzeczność. Odbyła poprawiającą nastrój rozmowę o niczym i weszła do swojego mieszkania trzydzieści sekund później. Mało kto podnosi raz odłożony ciężar, więc niestanowiąca wyjątku Palicki przestawiła torbę za próg. Później zamierzała napełnić lodówkę, najpierw chciała wziąć prysznic.

Weszła do salonu z butelką piwa w dłoni i dostrzegła niepokojące sygnały. Palicki ponownie wpadła w pułapkę, ale dalsze wydarzenia już zmieniły swój bieg.

Wyczerpana Palicki padła twarzą w dywan. Wiedziała, że pozostało jej już niewiele czasu. Napięła mięśnie ramion i zacisnęła zęby, kiedy plastikowa opaska wbiła jej się w zabliznioną skórę pod kciukiem. W pamięci mignął strzęp horroru sprzed dwóch miesięcy.

– Dobra robota. – Kirilenko krążyła wokół blatu, w zamyśleniu przerzucając wciąż pachnące tuszem, nielegalnie skopiowane strony raportu. – Wiesz, Palicki, że wbrew pozorom wcale się od siebie nie różnimy? Sprzeczne są tylko nasze interesy.

Za jej plecami Palicki oparła się na ramieniu i podciągnęła kolano. Zaczekała, aż pochłonięta lekturą raportu Rosjanka znowu się odwróci.

– Została jeszcze ostatnia sprawa. „Cichy” Mickey poskarżył mi się, że byłaś dla niego niegrzeczna przez telefon. Podobno źle się wyrażałaś o jego matce i zmarłym bracie. Poprosił, żebym nauczyła cię szacunku, więc... ogolę ci głowę. – Kirilenko zamknęła teczkę. – Widziałam, że ktoś już zaczął, więc uwiniemy się raz-dwa. Pomyśl tylko, gdybyś przyjęła wtedy pieniądze, to dzisiaj załatwiłybyśmy sprawę jednym telefonem, a tak...

Palicki podeszła cicho, stąpając bosą po miękkim dywanie. Zaczekała, aż Rosjanka się odwróci. Wzięła głęboki oddech przez nos, płynnie przeniosła ciężar z nogi na nogę i wykonała perfekcyjny *Fang Nou Tie*, trafiając Kirilenko stopą w ucho. Rosjanka obróciła się, uderzając głową o krawędź blatu. W powietrzu zawirowały rozrzucone papiery i rozległ się łoskot upadającego ciała.

Palicki spojrzała w stronę drzwi wejściowych, a potem przeniosła wzrok na Kirilenko. Oszołomiona Rosjanka potrząsnęła głową, wycierając wierzchem dłoni krew z rozbitej wargi.

– Suka!

Palicki już miała się rzucić do drzwi balkonowych, szukając drogi ucieczki, kiedy dostrzegła szkarłatną gęstą strugę spływającą po policzku Kirilenko. Rosjanka podniosła się na łokcie i zastygła w bezruchu. Przewróciła zamglonymi oczami, jej ręce rozjechały się na boki i nieprzytomna uderzyła czołem o posadzkę.

Dwa kilometry dalej, na parkingu pod Super Marketem, funkcjonariusze Craig Carmichael i Alistair McCoy właśnie kończyli spisować zakłócających spokój punków, kiedy odebrali zgłoszenie o awanturze domowej. W tym samym czasie Palicki trudziła się, próbując przeciąć nożem do chleba krępującą jej nadgarstki plastikową opaskę.

Trzy minuty później, kiedy objechali park, zbliżając się do osiedla nowych bloków, a Carmichael zadał swoje pytanie, oswobodzona Palicki stała w oknie, obserwując zaparkowaną na końcu uliczki szarą furgonetkę. Wychyliła łyk piwa z butelki i odwróciła się, znikając w ciemności.

Kolejne pięć minut zajęło McCoyowi znalezienie właściwej klatki schodowej – przekonanie przez domofon lokatorki spod jedyńki, że faktycznie jest z policji – i wdrapanie się na drugie piętro. Na schodach funkcjonariusze minęli mężczyznę w szarym kombinezonie. Carmichael chciał go zaczepić, ale widząc brak zainteresowania podejrzanym osobnikiem swojego dowódcy, zrezygnował z tego zamiaru.

– Chłopaki na posterunku opowiadali – młody funkcjonariusz na nowo podjął temat – że w szkole policyjnej, na testach sprawnościowych, podobno wypadła lepiej od mężczyzn.

McCoy prychnął, szukając na korytarzu numeru właściwych drzwi. Znalazł.

Dzwonek do drzwi zastał Palicki na kanapie, zaciskającą zęby na wsuniętym w usta ręczniku. Zignorowała go, nastawiając sobie serdeczny palec. Na ławie stała opróżniona butelka piwa, a w popielniczce tlił się papieros.

McCoy ponownie nacisnął dzwonek. Zazwyczaj, kiedy interweniował podczas awantur domowych, zainteresowane strony dało się słyszeć już na klatce schodowej, a drzwi gwałtownie otwierały się na oścież. Ale nie tym razem. Drzwi oznaczone numerem 29, na drugim piętrze osiedla w północnym Woolwich, otworzyły się cicho, a w progu stanęła zaskoczona młoda kobieta, bez wątplenia ofiara przemocy domowej.

– W czym mogę pomóc?

McCoy spojrzał kobiecie prosto w oczy. Przerabiał to setki razy i był tym już zmęczony.

– Proszę nas wpuścić do środka, zajmiemy się nim – oznajmił bez zbędnego wstępu.

– Kim chce się pan zająć? – Kobieta otworzyła szeroko oczy, ale świeży obrzęk rozbitego łuku brwiowego nie pozwolił jej do końca unieść lewej powieki. – Mieszkam sama.

– Dostaliśmy wezwanie – warknął McCoy. – A w pani interesie leży...

Kobieta wyjrzała za drzwi, ostentacyjnie spoglądając na numer.

– Adres na pewno się zgadza?

– Zgadza się, łaskawa pani.

– A zatem... – Zaczęła zamykać drzwi. – To musiała być pomyłka.

McCoy wsunął stopę za próg, zaglądając kobiecie przez ramię. Nie odpuszczał.

– Jak długo zamierza pani to jeszcze ciągnąć? On się nie zmieni, nawet jeśli pozwoli mu się pani zatłuc na śmierć.

– Panno... – Kobieta ponownie otworzyła drzwi i wyszła na wycieraczkę. – Jak już wspomniałam, jestem sama. Trochę ćwiczyłam w salonie. Widocznie któryś z sąsiadów musiał to źle zinterpretować. To zrozumiałe... żyjemy w niespokojnych czasach.

McCoy sceptycznie ściągnął krzaczaste brwi.

– Jest pani pewna własnych słów?

– Całkowicie. – Uśmiechnęła się, wycofując do mieszkania. – A jeśli naprawdę chcecie panowie coś zrobić, to na końcu ulicy stoi szara furgonetka z jakiejś nieznanej mi firmy kurierskiej. Mieszkam tu od roku, a widzę ją pierwszy raz. Nikt nie dostarcza przesyłek w środku nocy.

Żonaty od prawie czterdziestu lat McCoy patrzył na zamykające się przed jego nosem drzwi, myśląc sobie, że gdyby nie ta obita twarz, to byłaby całkiem ładna dziewczyna. Zerknął na stojącego jak słup soli, szczerzącego się Carmichaela.

– To była ona.

– Kto?

– Ta policjantka z telewizji... Palicki.

McCoy nie oglądał wczorajszych wiadomości. Nie kupował gazet. Czytał poradnik wędkarski.

– Jesteś pewien, Craig?

– Całkowicie – zaręczył funkcjonariusz Carmichael. – Chce pan ponownie do niej zapukać?

McCoy popatrzył na drzwi, spojrzął na swojego podopiecznego, aż w końcu westchnął.

– Nie, chcę się tylko napić kawy.

– Chyba nie kupił pan tej bajki? – spytał już na schodach Carmichael.

– Dlaczego nie? – burknął McCoy.

– Przecież ona wyglądała jak Joe Frazier po walce z Alim, a załatywało od niej piwskim gorzej niż od mojego teścia – protestował młody funkcjonariusz.

– Zamknij dziób, Craig. Ludzie chcą spać.

Oparta plecami o drzwi Palicki odczekała, aż głosy i kroki umilkną na klatce schodowej. Przeszła do salonu, zajrzała do szafy, a następnie skierowała się do łazienki. Zamglona szyba kwadratowego okna w drzwiach świeciła jaskrawym blaskiem. W szparze nad podłogą zamajaczył cień. Palicki usłyszała hałas, zanim jeszcze otworzyła drzwi.

– Już nie śpisz? – zapytała, stając w progu.

Kirilenko leżała naga, skulona na podłodze w ciasnej łazience. Uniosła głowę i wybałuszyła oczy, widząc, co Palicki ze sobą przyniosła. Z jej dłoni luźno zwisał skórzany pasek ze srebrną klamrą wyjącego wilka. Ostatni raz miała go na sobie dwa miesiące temu, w domu Rzeźnika z Greenwich.

– Tutaj nikt nas nie usłyszy. – Sięgnęła do umywalki, odkręcając oba kurki do samego końca. Kirilenko poruszyła się niespokojnie i napięta okazała mięśnie. Zachrząsała krępująca jej bicepsy uniwersalna taśma. Wytrzymała.

Palicki wolno rozciągnęła, a następnie gwałtownym szarpnięciem naprężyła pasek. Kirilenko nerwowo pokręciła głową.

– Mmf...! – Naparła ustami na taśmę, gotowa się układać.

Palicki zamknęła za sobą drzwi łazienki, nie zważając na protesty Rosjanki. Za zamgloną szybą mignął cień. Monotonny szum wody przecięło donośne plaśnięcie, a zaraz po nim rozległ się stłumiony jęk. Kompozycja dźwięków rozciągnęła się z minut do kwadransa i trwała nadal, zdawałoby się w nieskończoność. Licznik wody niestrudzenie się obracał. Pasek metodycznie opadał, smagając, gdzie popadnie, skrępowane nagie ciało, a zza szczelnej bariery taśmy zaklejającej usta wydobywały się kolejno wściekłe stłumione krzyki, błagalne pojękiwania i w końcu na wpół przytomne sapnięcia. Ze złem nie można się układać, ubłagać go ani zastraszyć. Trzeba je zniszczyć.

Palicki niestrudzenie smagała pasem pociętą pręgami skórę, z każdym wymierzonym razem stając się gorszym człowiekiem.

*

Ponieważ we wszechświecie panuje równowaga, prawo karmy, yin i yang, dobro i zło – noc poprzedzająca koncert Live Aid mogła się skończyć dla Nell Palicki na wiele sposobów.

Równie dobrze ten.

Radiowóz zdążył zahamować. W powietrzu unióśł się swąd spalonej gumy. Odległość między zderzakiem a drżącymi kolanami Palicki wynosiła nie więcej niż pół metra. Śmierć była dziś kapryśna.

Otworzyła oczy i zobaczyła za przednią szybą bladą jak płótno twarz

młodego policjanta. Obejrzała się przez ramię – nikt jej już nie gonił. Dwadzieścia metrów dalej dostrzegła znikającą na osiedlowej uliczce między blokami szarą furgonetkę z uchylonymi bocznymi drzwiami.

Rozdział 14

Londyn – 13 lipca 1985 roku

Godz. 03:04

Veritas Aequitas – wieścił czarny tatuaż, wykaligrafowany pochyłym pismem na bladej i cienkiej jak pergamin skórze karku pacjentki. Nagie plecy pokrywały purpurowe sińce. Największy znajdował się na policzku pod lewym okiem, którego młoda kobieta nie mogła otworzyć z powodu obrzęku rozbitego łuku brwiowego. Dwa wyłamane palce trzeba było usztywnić. „Cena za prawdę i sprawiedliwość musi być naprawdę wysoka”, pomyślał Hindus, doktor Mohajan, pełniący tej nocy dwunastogodzinny dyżur, który zaczął się ubiegłego wieczoru.

– Boli? – spytał, uciskając dolne partie pleców.

– Tak – odparła półgłosem pacjentka, siedząc sztywno na gumowej kozetce.

Doktor Mohajan ponownie nacisnął na nerkę. Pacjentka drgnęła, napinając mięśnie ramion.

– Jaki to rodzaj bólu... kujący, piekący? – dociekał lekarz.

– Rwący – wyjaśniła po chwili namysłu pacjentka.

– W moczu pojawiła się krew?

– Nie.

Doktor Mohajan westchnął, prostując się w ciasnej izolatce urazówki oddzielonej od korytarza tylko białą zasłoną.

– Chyba nie ma obrażeń wewnętrznych... kości też są całe, ale na wszelki

wypadek zrobimy prześwietlenie. – Dyskretnie spojrział na chude nadgarstki kobiety, noszące ślady krępowania. – Martwi mnie natomiast co innego.

Pacjentka wolno obróciła głowę, spoglądając na niego przez ramię. Zmasakrowany profil jej twarzy nie zrobił na Hindusie wrażenia. Widywał podobne obrazy tak często, że spowszedniały, jak podwyżki cen w sklepach. Bardziej niż same obrażenia interesował go sposób, w jaki do nich doszło.

– Czasami zdarza się, że wracają do mnie ci sami pacjenci. Jeden wyjdzie cało z wypadku samochodowego, podczas gdy drugi skręci nogę we własnym mieszkaniu. Nie pamiętam jednak, kiedy podczas jednego dyżuru przyjmowałem dwa razy tę samą osobę. – Przysiadł na krawędzi stołu z nawykiem człowieka gotowego lada chwila zerwać się do kolejnego nagłego przypadku. – Buddyści wierzą, że wszystkie uczynki... dobre czy złe, wracają do nadawcy, tylko pod zmienioną postacią.

Pacjentka w zamyśleniu zmrużyła zdrowe oko.

– Brzmi jak zaklęty krąg.

Doktor Mohajan skrzywił się, jakby zjadł coś kwaśnego.

– Osobiście użyłbym mniej złowrózbnego określenia, ale nie minęła się pani z prawdą, inspektor Palicki. – Uśmiechnął się, wzruszając gęstymi brwiami. – Teraz zastanawiam się, co takiego pani zrobiła?

– Taka się już urodziła – odezwał się sierżant Salisbury, wsuwając za zasłonę rudą głowę.

Doktor Mohajan poderwał się i już chciał go wyrzucić, ale Palicki go powstrzymała.

– W porządku – oznajmiła, wciągając T-shirt.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytał Alan, kiedy już wyszli na korytarz.

Palicki spojrziała na niego wymownie i sierżant zdał sobie sprawę, że jednak nie powinien był pytać. Przeszli w milczeniu długim korytarzem oddziału urazowego, mijając kolejne separatki z białymi zasłonami.

– Oni wiedzieli, Alan. – Palicki pchnęła wahadłowe drzwi, wychodząc na izbę przyjęć. – Wiedzieli, że to kobieta. Mój raport przeczytało tylko kilku funkcjonariuszy... wyższego szczebla.

Alan zwolnił kroku, przyglądając się jej badawczym wzrokiem.

– Co sugerujesz?

Palicki wytrzymała jego spojrzenie, gniewnie zaciskając usta.

Alan zatrzymał się, unosząc rękę dłońmi do przodu.

– Hej, to poważny zarzut.

Palicki doskoczyła do niego jak rozjuszony pies.

– A żebyś, kurwa, wiedział!

Oczekujący na izbie przyjęć podnieśli głowy. Byli to w większości pijacy i ofiary przemocy domowej, z ranami ciętymi oraz tłuczonymi, niewymagający natychmiastowej pomocy medycznej. Spoglądali wyrozumiale na Palicki, jednocześnie łypiąc nieufnie na Alana.

– Wiesz, jak trudno jest oskarżyć policjanta? – Sierżant Salisbury cofnął się pod ścianę, zniżając głos do szeptu. – W dodatku nie masz dowodów.

Palicki wyciągnęła szyję, zaglądając mu w oczy.

– Oni weszli do mojego mieszkania, Alan. Przekroczyli granicę.

– Wiem. Zrobimy z tym porządek, a ty dostaniesz ochronę.

– Nie, Alan. – Chwyciła podwładnego za poły płaszcza, przyciskając go do ściany. – Ufam tylko tobie.

CZEŚĆ 6

HYDRA

Rozdział 15

Londyn – 13 lipca 1985 roku

Godz. 18:20

Stała nad brzegiem rzeki na skraju wrzosowiska. Jej nieruchoma sylwetka odcinała się na tle chmur okrywających miasto. Podróż dobiegła końca. Zatoczyła krąg. Tu się wszystko zaczęło i tu się skończy, a ona wróci do domu – obiecywał wewnętrzny głos, prosząc ją o ostatni wysiłek.

Faith przed dwiema godzinami raz na zawsze opuściła zapuszczoną norę w Whitechapel, wiedząc, że już do niej nie wróci. W głowie miała natłok myśli. Ten dziwny, składający się ze skrajności świat zaskakiwał ją na każdym kroku. Na przykład ten mężczyzna w nocnym klubie. Tak wszechmocny, że kilku innych bez wahania oddało za niego życie. Kiedy wyczerpał już wszystkie środki samoobrony, próbował ją przekupić. Płakał jak dziecko, ślepo wierząc, że to, co spowodowało na niego śmierć, mogłoby w jakiś nadzwyczajny sposób go ocalić.

Wierzył, że osoba trzymająca rewolwer wyznaje ten sam system wartości co on – odpowiedział głos, dopasowując do siebie pozornie sprzeczne myśli w jej głowie.

A ten taksówkarz miłujący Jah? Który zrobił dla niej więcej, niż musiał? Faith poprawiła ciemne okulary na nosie, dostrzegając przenikający skorupę chmur cienki promyk złotego światła.

Osobowość i charakter najlepiej hartuje nieprzychylnie środowisko – opowiadał głos, wyjaśniając, że świat, którego właśnie doświadcza, nie jest

z natury zły. Owszem, może wydawać się nieprzystępny i niebezpieczny, ale istnieją w nim również przejawy czystego dobra. W żadnym razie nie powinna dać się im zwieść, ponieważ wyjątki tylko potwierdzają regułę. Musi o tym pamiętać, jeśli chce w nim przetrwać.

A ta kobieta w wieżowcu? Gotowa się poświęcić? Faith pamiętała, że wtedy ledwo się powstrzymała, wytrącając jej kij z rąk.

Najsilniejszym motywem ludzkim do przetrwania jest chęć posiadania. Potrzeba dominacji wiążąca się z materialnym wyrażaniem samego siebie sprawia, że człowiek gotów jest za nią umrzeć.

Faith pamiętała, że była też jeszcze inna kobieta. Bez wahania pociągała za spust, jakby potrafiła patrzeć na świat przez pryzmat umożliwiający odróżnić światło od ciemności. Dobro od zła.

Świat jest wydeptany stopami wielu osób, które przypisują sobie nadzwyczajne zdolności. Zazwyczaj gubią tym samym siebie. Tak działa ludzka ułomność.

Faith spojrzała przez ramię na niewzruszoną i nieprzerwanie sunącą rzekę, która wraz z upływem wody odmierzała czas.

*

13 lipca powitał londyńczyków ponurą aurą. Od rana zanosiło się na deszcz. Warstwa ciężkich obłoków przez cały dzień unosiła się nad miastem, ale mimo to nie spadła ani jedna kropla. Siedząca w ciasnym wnętrzu volkswagena golfa Palicki przesunęła dłonią po lewym kolanie. Rwało ją jak wszyscy diabli. Dwa miesiące to aż nadto czasu, żeby kość zdążyła się zrosnąć, ale zgodnie z obietnicą lekarza miała odczuwać ból na zmianę pogody aż do śmierci. Pracownicy służby zdrowia charakteryzują się tym, że lubią wszystko wyolbrzymiać, jakby dzięki temu mogli zaoszczędzić sobie nawału pracy. Niestety w swoim czarnowidztwie zazwyczaj mieli rację.

– Ile to potrwa? – zapytał sierżant Salisbury; cierpliwie wytrwał w ciszy pierwszą godzinę, ale od mniej więcej dwudziestu minut zaczął się wyraźnie niecierpliwic.

– Nie mam pojęcia – odparła szorstko Palicki.

Alan nachylił się, obracając głowę.

– Ale...?

Palicki wskazała przez przednią szybę na szarą jezdnię, prowadzącą dalej na wschód Bexley.

– Silver shadow znaleziony pod restauracją *Josephine* w Soho został skradziony lordowi Marberry’emu. – Przesunęła palcem na znajdującą się u zbiegu ulic, ogrodzoną marmurowym murem, spowitą drzewami, XIX-wieczną rezydencję. – To sąsiad Brodina. Najpierw Nipar, a potem jego brat. Wszystkie drogi zdają się prowadzić tutaj.

– Nie muszę ci przypominać, Palicki – Alan zabębnił palcami w obręcz kierownicy – że to nie jest tylko samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Ty i ja mamy odznaki oraz broń. – Wycelował palcem przez przednią szybę. – A to jest nielegalna inwigilacja. – W dodatku bezpłatna – dodał po chwili.

Palicki zacisnęła dłoń na kolanie.

– A ja nie muszę ci przypominać, że poprosiłam tylko, żebyś pożyczył mi swój samochód. – Obróciła wyzywająco głowę. – Po co tu ze mną siedzisz, Alan?

Sierżant Salisbury zwiesił ramiona, zapadając się w fotelu kierowcy.

– Dolores wyjechała do rodziców na weekend.

Na twarzy Palicki odbiło się zdziwienie.

– Myślałam, że chciałeś ją zabrać na Live Aid?

– Bo chciałem – ciągnął Alan, unikając jej wzroku. – Ale Dolores stwierdziła, że nie zniesie... tego hałasu.

Palicki opadła szczęka. „Hałasu”? – powtórzyła w myślach, nie dowierzając własnym uszom. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale gdyby tylko miała z kim, pozwoliłaby sobie ogolić głowę, żeby tylko zobaczyć i usłyszeć Freddiego na żywo. Nawet kupiła dwa bilety, wierząc, że jej karta się odwróci. Tuż przed przyjazdem do Bexley oddała oba Colinowi O’Harze, który zapewnił, że jeszcze zdąży je sprzedać pod stadionem Wembley, i to z zyskiem.

– Potem się pokłóciliśmy – dodał Alan.

W pierwszym odruchu Palicki chciała położyć mu dłoń na ramieniu, ale

w porę się zreflektowała. Zbyt częste dotykanie osób ze swojego otoczenia wprowadzało niepotrzebny zamęt. Zdecydowanie preferowała kontakty fizyczne z obcymi. Najlepiej służyły jej te krótkotrwałe, a zarazem intensywne.

– O co? – spytała, wyglądając przez okno na majaczącą w cieniu drzew rezydencję.

– O to samo. – Alan wzruszył ramionami. – O to, że jestem gliniarzem. Byłem, zanim się pobraliśmy, i nie przestanę nim być. Zawsze tego chciałem i nie rzucę teraz wszystkiego. – Zacisnął palce na kierownicy. – Nie zostanę cholernym ubezpieczycielem w firmie jej ojca, tylko po to, żeby mogła się chwalić przyjaciółkom, jaka to ze mnie szycha, i co niedziela jeździć na obiady do jej matki.

Palicki odczekała, aż Alan dokończy kłótnię ze swoją nieobecną żoną.

– Aż tak źle gotuje?

– Bardzo śmieszne.

Palicki odchyliła głowę, przyznając się w duchu, że jej kontakty z mężczyznami kuleją na całej linii. Nie potrafiła ich przy sobie utrzymać ani rozbawić. Nawet kiedy tego chciała.

– Alan... ja się nie znam na małżeńskich poradach. Ale wiem, że masz talent...

Sierżant Salisbury uniósł ręce, szeleszcząc płaszczem, którego nie zdejmował, nawet siadając za kierownicą.

– Ta... a pewnego dnia zostanę dobrym śledczym.

– Właśnie – potwierdziła Palicki, chwytając Alana za nadgarstek, na którym nosił zegarek podarowany przez żonę. – Spróbuj czasem nie myśleć o innych, tylko zastanów się, co jest najlepsze dla ciebie.

Alan ciężko westchnął. Musiał to przemyśleć. Podrapać się w głowę i wyciągnąć wnioski.

– A co jest najlepsze dla ciebie, Palicki?

Przełożona puściła jego rękę.

– Nie rozmawiamy teraz o mnie.

– Bo zawsze rozmawiamy o śledztwie... albo o mnie.

Palicki odwróciła wzrok, czując, dokąd ta rozmowa zmierza.

– Przy okazji... – Alan zmrużył oczy. – Co słyhać u tego chłopaka?

Palicki nie odpowiedziała, ale Alan nie ustępował.

– Jak mu tam było... Kevin?

– Gavin – poprawiła Palicki – I nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie zadzwonił. – dodała po chwili, czując na sobie wyczekujący wzrok.

– A to dupek – podkreślił Alan z przesadną emfazą.

Palicki spojrzała na niego, ale zapomniała zgasić uśmiech. Alan go dostrzegł. Uśmiechnęła się więc jeszcze szerzej, szturchając go łokciem.

– Lepiej pilnuj swojej żony.

Siedzieli w milczeniu przez kolejną godzinę. Powoli zapadał zmierzch. Sąsiedzi wyjeżdżali i wracali do domów, wypuszczali psy na dwór. Co jakiś czas w oddali słyhać było odgłos przejeżdżającego pociągu, który niemal naturalnie, jak brzęczący świerszcz, wtapiał się w ciszę londyńskiego przedmieścia.

– Nie odpuścisz, prawda? – zagaił na nowo Alan.

– Nie – odparła półgłosem Palicki.

– Naprawdę myślisz, że przyjdzie?

– Tak.

– Intuicja?

– Daj mi spokój.

Alan poprawił się na siedzeniu, odwracając do Palicki.

– Ta dziewczyna musiała zaleźć ci za skórę.

– Nie było cię tam, Alan.

– Przecież to absurd! Skoro twierdzisz, że ją postrzeliłaś...

– Znowu myślisz, że mi odbiło?! – Spojrzała mu prosto w oczy. – To był czysty strzał, nie miała prawa się podnieść. – Pokręciła głową, przekonując również samą siebie. – Nie miała...

Alan z rezygnacją przewrócił oczami.

– Nie widziałem, co zaszło, ale wiem, że rozwaliła ci łeb. – Nachylił się do swojej przełożonej na odległość, która przez postronnego widza mogła być uznana za dalekie przekroczenie kontaktów służbowych. – Szukasz śmierci?

Palicki wytrzymała jego spojrzenie.

– Masz rację – odparła w końcu.

Alan poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Tym razem wołałbym nie mieć.

– Ona mogła mnie zabić, ale postanowiła dać mi szansę. Dwie kule w sześciu komorach rewolweru. Szansa dwa do jednego na przeżycie. – Palicki rozciągnęła usta, patrząc przed siebie zmrużonymi oczami, jakby przywdziała na twarz upiorną maskę z japońskiego teatru kabuki. – To było na swój sposób... z jej strony szlachetne.

Alan ciężko westchnął, nie dowierzając własnym uszom.

– Zabawa w rosyjską ruletkę? Raczej chore.

W oknach domów zaczęto zapalać światła, również w tym od pokoleń należącym do rodziny Brodinów.

– Ja bym jej nie dała żadnych szans – wyszeptała w zamyśleniu Palicki.

Sierżant Salisbury odwrócił głowę, wyglądając przez okno. Nie potrafił ukrywać myśli tak dobrze jak Palicki. Może Dolores miała rację? Powinien odpuścić? Wczoraj w wieżowcu ominęła go kula z jego imieniem wygrawerowanym na płaszczu. Nie powiedział żonie. Nie umiał też przejść nad tym do porządku dziennego. Rzadko myślał o śmierci, a jeśli już, to traktował ją jako naturalny, aczkolwiek odległy stan rzeczy. Tak odległy, że zdrowy na umyśle człowiek w jego wieku nie powinien zaprzętać sobie tym głowy. I tak było, do wczoraj.

– Czytałem twój raport – wyznał.

Nie doczekał się żadnej reakcji, więc sprecyzował:

– Ten w sprawie Rzeźnika z Greenwich.

Palicki wyciągnęła z kieszeni papierosy i zapałki. Zapalniczkę Zippo gdzieś zgubiła.

– Domyśliłam się, wyobraź sobie. Jak wrażenia po lekturze?

– Ciekawi mnie to, czego w nim nie zamieściłaś.

– Długo się zbierałaś, żeby podjąć ten temat.

– Jeśli mam być szczery...

– Bądź.

– Ten raport to pełna niedomówień farsa, a zarazem woda na młyn dla naszej rzeczniczki prasowej.

– Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę, Alan? – spytała po chwili.

Alan zawahał się, to go przerastało. Grzebanie w czyimś życiu to jedno, ale stać się jego częścią to już zupełnie co innego.

– Ja cię nie osądzam, Palicki. Wskazuję tylko na pewne uchybienia i skrętnie, ale jednak ukrywane fakty, o które nasi przełożeni, dla własnej wygody, byli łaskawi nie pytać.

Palicki kiwnęła głową, wydmuchując dym przez okno.

– Ciekawość to ludzka rzecz. Zazwyczaj nie prowadzi do niczego dobrego, ale skoro się już zdecydowałeś, to proszę. Nie zamierzam niczego ukrywać.

I Alan słuchał. Najpierw o spotkaniu pod stadionem na Highbury, a potem o podróży promem do Woolwich, aż w końcu oczami wyobraźni zobaczył stojący w sąsiedztwie cmentarza dom grozy w East Wickham, o którym rozpisywały się wszystkie gazety.

I jak to z takimi miejscami bywa, zawsze ukrywa się w nich potwór.

*

Światło nocnej lampki rozświetlało wnętrze pokoju na piętrze domu w East Wickham.

– W szkole żadna dziewczyna nie chciała ze mną rozmawiać – powiedział Rzeźnik z Greenwich, rozcinając nożem koszulkę swojej ofiary. – Mogłem tylko marzyć o takiej cizi jak ty.

Palicki kurczowo, jakby z własnej woli, objęła filar, kiedy przecinała ramiączka i niezdarnie rozpinał jej stanik.

– Potem zrozumiałem, że to nie ze mną jest problem, tylko z nimi. Tymi wdzięczącymi się, chichoczącymi kurewkami.

Nie odzywała się, nie chcąc go sprowokować. Wierzyła, że każda przeciągająca się chwila przybliży ją do opuszczenia tego przeklętego domu.

– Wystarczyło tylko wyzbyć się ograniczeń – kontynuował Rzeźnik.

Palicki drgnęła, kiedy ją objął, żeby rozpiąć pasek.

– To było jak katharsis. – Rzeźnik opuścił jej spodnie do kostek. – Teraz mogę mieć każdą, którą napotkam.

Rozciął majtki, odsłaniając blade, jędrne pośladki.

W korytarzu zatrzeszczały panele. Rozległ się odgłos kroków. „Ten, kto je

stawiał, nie spieszył się, jakby był tu pierwszy raz”, pomyślała Palicki.

– Pomocy! – ryknęła na całe gardło. Nie myślała już o tym, że Rzeźnik lada moment wbije nóż w jej ciało. Jeśli ma tu zdechnąć, to tylko stawiając opór. Na własnych warunkach.

Kroki ucichły.

– Wezwij policję! – wrzeszczała Palicki, wyciągając szyję w stronę drzwi.

Rzeźnik doskoczył do komody. Pogrzebał w szufladzie. Znalazł to, czego szukał.

– Tu jest pieprzony Rzeźnik z... mhm?! – krzyki zamieniły się w stłumiony pomruk. Palicki poczuła, jak suchy materiał blokuje jej usta. Rzeźnik rozepchał jej policzki, wciskając głębiej rolkę wyjałowionej gazy. Palicki spróbowała ją wypchnąć językiem, ale Rzeźnik ubiegł ją, przyklejając brązową taśmę z akrylu i kilka razy owijając ją wokół karku kobiety.

Drzwi otworzyły się na oścież.

Palicki wytrzeszczyła oczy, nie wierząc w to, co widzi.

Do pokoju weszła stara, zgarbiona kobieta. Rozejrzała się po podłodze.

– Co to za bałagan, Eugene?

– Mam gościa, mam.

Teraz nie wierzyła w to, co słyszy.

Stara kobieta skrzywiła się, trącając laską strzępy ubrań.

Palicki oniemiała do tego stopnia, że nie stawiała się, kiedy Rzeźnik kolejno ściągał z niej buty, spodnie i skarpetki.

Stara kobieta podniosła głowę. Spotkały się wzrokiem. Ostatni płomyk nadziei zgasł, kiedy Palicki spojrzała jej w oczy; czarne jak otchłań studni.

– Nie trzymaj długo pod moim dachem tej kurewki – zaskrzeczała.

– Dobrze, mam – odparł Rzeźnik, krępując taśmą kostki Palicki, żeby nie mogła kopać.

Stara kobieta odwróciła się i drepcząc małymi kroczkami, wyszła z pokoju.

Rzeźnik podniósł się z kolan.

– Chcesz sobie jeszcze pokrzyczeć? Nie? – Zawadiacko klepnął Palicki w pośladek. – Dam ci prawdziwy powód do krzyku.

Zaczęła się nerwowo kręcić.

Rzeźnik wyciągnął skórzany pasek z jej dzinsów, obejrzał srebrną klamrę

i złożył na pół.

– Możemy zaczynać?

Powietrze przeciął świst. Palicki na pierwsze uderzenie zareagowała zdziwieniem. Szeroko otworzyła oczy, kiedy fala piekącego bólu rozlała się między jej łopatkami.

Drugi cios trafił w dolną partię pleców, sprawiając, że ugięły się pod nią kolana. Objęła kurczowo filar, przytrzymując się, żeby drań nie miał satysfakcji. Przy trzecim razie wspięła się na palce, kiedy skórzany pas przeciął w poprzek jej pośladki.

Zacisnęła wściekle zęby na gazie, nie pozwalając sobie na najmniejszą oznakę słabości.

Rzeźnik ponownie się zamachnął. Palicki spięła mięśnie pleców i pośladki. Zapiekle ją uda, a potłuczone kolano zapłonęło, kiedy uderzyła nim o filar. Zawyla przeciągle, odchylając głowę.

Rzeźnik nie zamierzał przestać. Chciał ją złamać. Palicki spojrzała przez ramię. Wykrzykiwała niezrozumiałe wyzwiska, drapieźnie obnażając zęby. Prowokowała go, potrząsając skutymi rękami. Miała nadzieję, że w tych jego czarnych jak smoła oczach dostrzeże jakiejkolwiek emocje.

Ból rozdarł jej łydki. Osunęła się jak ścięta, opuszczając głowę między ramiona. Teraz była już gotowa błagać, gdyby tylko jej na to pozwolił.

– Wyglądasz jak tygrysica.

Rzeźnik podszedł do niej. Przyglądał się przez dłuższą chwilę.

Palicki czuła na karku jego oddech.

– Zapomniałem wynieść śmieci, a dziś sobota – oznajmił w końcu.

Nie odważyła się drgnąć, dopóki nie odszedł. Zapała się stopami o posadzkę i podciągnęła. Przechyliła głowę, wyglądając zza filara.

Rzeźnik wyciągnął z szafy płócienny worek marynarski i zaczął pakować do środka jej rzeczy; bluzę, dzinsy, buty, skarpetki, strzępy koszulki i bielizny. Nie spieszył się, jakby żegnał się ze starymi przyjaciółmi. Zostawił sobie pasek, a także obie kabury; na broń i kajdanki. Po namyśle wyjął z portfela legitymację policyjną.

– Teraz już wiem, jak masz na imię – mruknął pod nosem.

Pamiątki włożył do szuflady, którą natychmiast zasunął, jakby się bał, że

mogłyby zostać skradzione. Worek zarzucił sobie na ramię i ruszył do drzwi. Palicki zastanawiała się, czy kiedy z nią skończy, też ją tak wyniesie. Z szacunkiem. Czy może, jeśli nie okaże się dość silna, zwyczajnie wywlecze. „Jakby to miało jakieś znaczenie”, pomyślała.

Rzeźnik odwrócił się, kładąc dłoń na klamce.

– Niedługo wrócę, Nell. Billy dotrzyma ci towarzystwa. – Wskazał obojętnym gestem na podłogę. – Karmię go królikami. Jadł dziś kolację, ale jeśli chcesz, to mogę jeszcze jednego przynieść z szopy.

Czekał.

Palicki nie odpowiedziała mu skinieniem głowy.

Zawrócił.

Wzdrygnęła się, kiedy ją mijał.

– A to dla ciebie, Nell. – Rzeźnik nastawił gramofon i umieścił igłę w rowku winylowej płyty. – Zapytam mamę, czy możesz zostać do rana.

Mruknęła z ulgą, opierając się czołem o filar, kiedy zamknął za sobą drzwi.

W pokoju rozbrzmiało (*Just Like*) *Starting Over* Johna Lennona i Yoko Ono.

*

Mickey Brodin zmrużył oczy i czujnie jak jastrząb wyjrzał przez wysokie okno matczynej sypialni. Od wczorajszego wieczoru nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nie powinno go tu być. Powinien być teraz z Ginger. Najpierw przez cały wieczór nie odbierała telefonu, co było do niej niepodobne, a potem zadzwoniła do niego przed północą, i to na numer domowy, łamiąc ich niepisaną umowę, bo przecież zawsze mogła odebrać mama. Mówiła drżącym, ale wciąż ostrym jak brzytwa głosem, o tym, co jej się przydarzyło. I to, kurwa, we własnym domu – podkreśliła.

Mickey spytał wówczas, czy nic jej się nie stało. Na co Ginger odpowiedziała, że to nie ona była celem.

– Boisz się duchów, jak wtedy, gdy byłeś mały, Mickey. – Z głębi sypialni doszedł go głos matki.

Pokręcił głową, nie odrywając wzroku od zarośniętego podwórza. Powinien

już dawno kazać wyciąć połowę drzew. „Brakuje tu światła”, pomyślał.

– Tym razem nie o to chodzi, mamó.

– Szkoda, że nie ma tu twojego brata i ojca – mruknęła przeciągle Eleonor Brodin. Ukryta przed światem, siedziała w swoim wielkim, niegdyś małżeńskim łożu pod warstwami koców i przeglądała nagłówki dzisiejszych gazet.

– Damy sobie radę, mamó. – Mickey kiwnął głową, zapewniając również siebie. – Brodinowie przetrwają.

W półmroku sypialni błysnęły załzawione oczy starej kobiety.

– Jesteś taki dobry, Mickey. – Wyciągnęła kościstą dłoń, ale syn nie ruszył się z miejsca. – Chwalisz imię Pana, troszczysz się o matkę, nie zadajesz z czarnuchami...

Mickey zamknął oczy, cierpliwie czekając, aż matka dokończy swoją litanie albo zaniesie się kaszlem.

– Szkoda, że Bobby nie był taki... – dodała, odstawiając szklanke z wodą.

– On nie żyje! – warknął jak rozjuszony buldog.

Szklanka zsunęła się z krawędzi szafki i rozbiła o posadzkę. Twarz Eleonor Brodin stężała niczym wosk dogasającej świecy. Pod cienką jak pergamin skórą z każdym dniem uwydatniały się kości czaszki, ale w głębokich oczodołach wciąż tlił się siarczasty żar.

Mickey wzruszył ramionami, zdając sobie sprawę, że oto, stojąc w obliczu śmierci, już się jej nie boi. Nie musiał. Nie był już małym chłopcem, którego za występki lub zaniedbanie może spotkać straszliwa kara, a ona była tylko starą kobietą.

– Daj mu wreszcie spokój, mamó – przestrzegł, wychodząc z sypialni.

Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami, biorąc głęboki oddech. Nagle w umyśle Mickeya Brodina zakwitła nieprzystająca do okoliczności, radosna myśl. Naprawdę nie powinno go tu być. Powinien się wyprowadzić. Do Ginger. Uśmiechnął się, ruszając długim korytarzem do swojej biblioteki, wznosząc w duchu głębokie postanowienie. Tak, zrobi to.

Kiedy będzie już po wszystkim.

Rozdział 16

Londyn – 13 lipca 1985 roku

Godz. 20:57

Chodzili parami i mieli ze sobą psy. Po dwóch z każdej strony domu, patrolowali przydzielony im rewir. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe, dobrze opłaceni oraz skupieni i przygotowani na nadejście zabójcy nazwanego przez media „Selekcjonerem”. Na ich niekorzyść działał rozległy, gęsto obsadzony teren wokół domu, którego większość z nich nie znała. Zaraz po nabożeństwie żałobnym „Cichy” Mickey ściągnął z miasta swoich najlepszych żołnierzy. W domowej piwniczce, gdzie trzymał okazałą kolekcję win, własnoręcznie ogolił głowę Kevina Woodsa, a następnie wpakował mu kulkę między oczy, dając wszystkim do zrozumienia, że nie toleruje aktów tchórzostwa.

Spektakl wywarł zamierzone wrażenie nawet na największym w ich szeregach sukinkocie, za którego uchodził Steve Cox – były oficer śledczy; wyrzucony ze służby za preparowanie dowodów i zastraszanie świadków, co skrzętnie zatuszowano dla dobra policji. Dzięki temu on sam mógł utrzymywać, że odszedł dobrowolnie, kiedy doszedł do wniosku, że większe możliwości roztacza przed nim sektor prywatny. Nie wzruszył go widok błagającego o litość człowieka ani jego potylicy oderwanej od czaszki. Bardziej przejmującym wydał mu się fakt, że jeśli coś pójdzie nie tak, to każdego z tu obecnych mógłby spotkać podobny los, co tego nieszczęsnego frajera.

I tak Cox chodził od drzewa do drzewa, trzymając na smyczy przysadzystego rottweilera.

– Dlaczego „Selekcjoner”? – spytał, ponieważ nie był w temacie. Nie czytał gazet i nie oglądał telewizji. Pracował jako wolny strzelec, a ostatnie dwa dni spędził w skromnym pensjonacie w Irlandii Północnej, zastanawiając się, jak się odbić od dna.

Przydzielony mu Mark Swan, z którym wcześniej nie pracował, był od Coxa o blisko dwie dekady młodszy, ale głęboko osadzone oczy, długi spiczasty nos i zadarty podbródek sprawiały, że nie wyglądał na swoje 22 lata.

– Nie wiem, kto wymyśla takie gówna – odparł Swan, przypalając papierosa. Miał opinię odludka. Dlatego też, kiedy „Cichy” zostawił im dozę swobody, pozwalając dobrać się w pary, do Swana nikt nie podszedł. Został tylko rozglądający się po piwnicy, z miną „jakby się nic nie stało”, pulchny Cox. Swan zniechęcił go już po pięciu minutach, bo za dużo gadał, jakby urodził się wczoraj, podczas gdy on był intelektualistą i lubującym ciszę myślicielem.

– To całe zamieszanie miałyby zrobić jeden człowiek? – zagadywał Cox.

Swan w zamyśleniu zaciągnął się papierosem.

– Czasami jeden człowiek wystarczy, żeby wstrząsnąć światem – odparł w końcu, mając na myśli Muhammada Alego.

Cox spojrział na Swana bezrozumnym wzrokiem, czym wprowadził swojego rozmówcę w rozbawienie, a następnie – nie umiejąc utrzymać języka za zębami – zszedł na wygodniejszy dla siebie temat.

– Co jest z tym cholernym pchlarzem?

Stojący z zadartą nogą rottweiler odwrócił na Coxa łeb, jakby zrozumiał, co tamten powiedział.

– Znakuje teren – cierpliwie wyjaśnił Swan. – Nigdy tu nie był.

Cox rozejrzał się dookoła, kiedy zapalono ogrodowe latarnie. Swan spojrział na zegarek, punktualnie 21:00. Pies warknął, wietrząc coś w powietrzu, czym jeszcze bardziej zdenerwował Coxa.

– Trzymaj. – Wcisnął smycz Swanowi. – Teraz twoja kolej.

Cox odszedł na bok i rozpiął spodnie. Wysikał się pod murem, odliczając

godziny, które pozostały do rana.

– Co za parszywa robota – mruknął, uważając, żeby nie oblać sobie butów.

Pięć metrów nad jego głową, w koronie rozłożystego dębu, poruszył się cień. Widziany z góry ogród był doskonale widoczny; czerwoną przestrzeń wypełniała czarna płatanina gałęzi, pomiędzy którymi majaczyły smukłe amarantowe postacie i towarzyszące im czworonożne smugi.

Krążyli tam i z powrotem niczym kaczki po jeziorze, nieświadomi, że wraz z zapadnięciem zmierzchu rozpocznie się polowanie.

*

– Jezu... – wychrypiał blady jak prześcieradło Alan.

– Masz prawo czuć się rozczarowany – mówiła dalej Palicki. – Nigdy nie stała za tym żadna magia czy jakaś paranormalna intuicja. To znaczy, ona tam jest – postukała się palcem w skroń – ale nie w tak rozległym stopniu, w jakim postronni widzowie chcieliby sobie ją wyobrazić. To mit wykreowany przez media. – Zacisnęła usta, kręcąc głową. – Gówno prawda.

Alan oddychał przez otwarte usta, bijąc się z własnymi myślami. Z leżącej na desce rozdzielczej pomiętej paczki wyszarpnął jednego morleya, resztę zrzucając na podłogę między stopy Palicki, i zabrał zapalniczki. Wysiadł, zostawiając otwarte drzwi. Odszedł kilkanaście metrów od samochodu, stawiając długie kroki na rozgrzanym asfalcie. Chciał iść dalej, ale nie wiedział, dokąd miałby się udać. Przypalił papierosa dopiero trzecią zapalniczką, parząc sobie opuszki palców.

– Kurwa, nie wierzę...!

Siedem miesięcy i trzynaście dni temu Alan rzucił nałóg na prośbę Dolores. Postanowienie noworoczne. Już po pierwszym zaciągnięciu się wiedział, że do niego wrócił.

– Co było dalej? – zapytał, wracając do samochodu.

Palicki wyjęła mu z dłoni zapalniczkę i przypaliła sobie kolejnego papierosa.

– Dalej było tylko gorzej.

*

Wzdrygnęła się, kiedy coś suchego i ciepłego otarło się o jej stopę. Wykręciła szyję, spoglądając przez ramię. Po posadzce sunął smukły szary kształt z czarnymi pasami otoczonymi białymi obwódkami, długi jak pociąg towarowy. Oglądała się za nim nerwowo przez ramiona, czekając, aż trójkątny łeb zniknie pod biurkiem. Obróciła głowę, wbijając wzrok w drzwi. „On niedługo wróci”, pomyślała.

Rozejrzała się po pokoju, analizując możliwości. Miała ich niewiele, jeśli w ogóle, ale może jednak?

Po pierwsze: mogłaby znowu zacząć krzyczeć. Czy ktoś by ją tu usłyszał? Nie miała szans dosięgnąć dłońmi do taśmy, ale mogła pocierać policzkiem o ramię lub filar, próbując ją zsunąć i wypchnąć językiem gazę.

Po kilku próbach dała sobie spokój. Taśma zbyt mocno przylegała do jej skóry, a liczył się czas.

Po drugie: mogła spróbować uwolnić nogi. Czy coś by to dało? Wspięła się na palce, oparła ciężar ciała na zdrowej nodze, próbując wyszarpnąć tą drugą.

Sapnęła w gazę. Nie miałyby szans nawet ze sprawnym kolaniem, a choćby jej się to udało, czy coś by to zmieniło? Mimo szczerych chęci, nie byłaby w stanie zabić Rzeźnika z Greenwich tanim kopniakiem.

Po trzecie: ostatnia i najbardziej bolesna możliwość. Mogłaby uwolnić się z kajdanek. Ale jak? Kluczyk leżał w tylnej kieszeni dżinsów, a te w żołądku marynarskiego worka. Musiała zatem poradzić sobie bez niego.

Palicki wciągnęła powietrze przez nos, napięła mięśnie ramion i szarpnęła się do tyłu. Metalowe obręcze wbiły jej się w skórę. Odpuściła, dysząc w gazę.

Gdzieś w domu trzasnęły drzwi. Rzeźnik wyrzucił śmieci.

Palicki zacisnęła usta na gazie, zaparła się kolanami o filar i z całej siły wygięła plecy w łuk. Skóra rozdarła się, odchodząc od mięśni. Stróżki krwi popłynęły. Opadła z sił, jęcząc z bólu.

Skrzek starej kobiety odbił się od ścian. Odmówiła synowi.

Palicki zamknęła oczy. Krople potu perliły się na jej uwypuklonych, zaczerwienionych policzkach nad taśmą. Drżał jej dołeczek w brodzie, a na szyi odcisnęła się siatka żył.

Rozległy się kroki na schodach. Rzeźnik nie kazał na siebie długo czekać.

Palicki przyłgnęła do filara. Po omacku wymacała palcami potłuczoną dłoń. Kość u podstawy kciuka była pogruhotana albo złamana. Chwyciła się za palec i wygięła pod nienaturalnym kątem. Zmarszczyła nos, ciężko oddychając. Wargi rozciągnęła w dwie cienkie kreski, obnażając szereg zębów zaciśniętych na gazie. Pociemniało jej w oczach. Fala ostrego bólu z prędkością błyskawicy została zarejestrowana przez mózg, a potem wróciła labiryntem nerwów, eksplodując w dłoni.

W pokoju rozbrzmiał odgłos wyłamywanej ze stawu kości i stłumione przeciągłe wycie. Metalowa obręcz zdarła skórę i mięśnie. Palicki zachwiała się, kiedy ją zamroczyło. Nogi się pod nią ugięły i upadła na plecy.

W korytarzu zatrzeszczały panele. W wąskiej szparze światła pod drzwiami odbił się cień.

Palicki leżała nieruchomo, dryfując w ciemnej otchłani nieświadomości.

– Eugene!

Zbudził ją przeraźliwy skrzek, jakby zerwało się do lotu stado kruków. Zdała sobie sprawę, że już nie dryfuje, tylko coś się pod nią porusza. Poderwała się na łokcie, kiedy zrozumiała, co to jest. Podciągnęła nogi i odepchnęła się złączonymi stopami od posadzki. Jęknęła, uderzając plecami w żeliwny kaloryfer.

Wąż podniósł na nią łeb. Przyglądał się pionowymi źrenicami, oceniając wzrost i wagę. Żółte tęczęwki zaśniły, kiedy wysunął rozdwojony język. Palicki kopnęła go skrępowanymi nogami. Wąż odwrócił łeb i odpełznął poza krąg światła, wsuwając się pod łóżko. Odetchnęła przez nos, odchylając głowę.

Szczęknięła klamka w drzwiach.

Palicki zamarła w bezruchu.

– Eugene!

Kropla potu spłynęła jej po policzku, zatrzymując się na krawędzi taśmy.

– Idę, mam!

Sięgnęła do związanych kostek, nasłuchując oddalających się kroków. Jedną ręką, tą wciąż skutą, nie była w stanie zerwać oplatających ją zwojów taśmy, a drugą, zdrętwiałą, nie mogła sobie pomóc. Kciuk zwisał, trzymając

się tylko na samej skórze.

Wsunęła palec pod krawędź taśmy zaklejającej dolną część twarzy, ale nie dała rady jej zdjąć ani wyciągnąć z ust gazy. Będzie potrzebowała nożyczek. „Albo noża”, pomyślała.

Spojrzała na drzwi.

Cisza.

Przeniosła wzrok pod łóżko.

Bezruch.

Podciągnęła nogi, wyciągnęła ręce i położyła się na brzuchu. Czołgała się wzdłuż pokoju, zapierając łokciami.

Zwinięty w ciemnościach wąż obserwował jej poczynania żółtymi ślepiami.

Palicki ominęła filar, sunąc dalej. Zadarła głowę, kiedy spocona i zdyszana dotarła do celu. Wyciągnęła ramię i złapała palcami miedziany uchwyt od szuflady. Pociągnęła. Szuflada z oporem się wysunęła.

Wąż ciekawie wychylił łeb spod łóżka.

Palicki uniosła się, zapierając potłuczoną dłonią. Drugą włożyła do szuflady. Palcami dotykała wielu przedmiotów, aż rozpoznała znajomy kształt. Wyczerpana osunęła się na posadzkę. Jej wzrok padł pod łóżko. „Czas na ciebie, skurwysynu”, wymamrotała niezrozumiałe słowa.

Odepchnęła się potłuczoną dłonią, zostawiając na posadzce krwawy odcisk. W drugiej trzymała swojego walthera P5. Rzeźnik najwyraźniej nie znał się i nie umiał posługiwać bronią palną, bo wciąż była odbezpieczona.

Palicki oparła się plecami o filar. Namierzyła cel, trzymając broń w prawidłowym dwuręcznym uchwycie. Tym razem to lewą – mniej pewną – dłoń zacisnęła na rękojeści, a prawa posłużyła za podporę. Wyłamany kciuk zwisał, dotykając paznokciem nadgarstka. Potrząsnęła głową, żeby nie zemdleć.

Kroki na schodach.

Wzięła głęboki wdech.

W korytarzu.

Ugięła łokcie.

Cień pod drzwiami.

Wypuściła powietrze.

Drzwi otworzyły się na oścież.
Teraz była gotowa.

*

– A potem postrzeliłam go w kolano. – Palicki strzepnęła słupek popiołu na chodnik. – Nie wstąpiłam do policji dla zaszczytów, idei czy choćby nawet draki. Niewiele jest w życiu rzeczy, na których się znam, ale wiem, jak myśłą tacy, jak Eugene Monk.

Alan przeczesał dłonią splątane rude włosy, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

– Niech mi Bóg przebaczy, ale ja bym...

– Nie zabiłam go – wtrąciła Palicki. – Bo dla kogoś takiego jak Monk śmierć byłaby... aktem łaski. – Wrzuciła niedopałek do kratki ściekowej. – Ale po nim przyjdą następni. Zdziwisz się, jak niewiele upłynie czasu. Są jak cykliczna zaraza. Najczęściej pojawiają się latem.

Alan przesunął dłonią po twarzy. Było mu niedobrze, chciał się napić. Szczeniacka tęsknota, powracająca w chwilach stresu, kiedy nie był jeszcze mężem ani policjantem, tylko zbuntowanym nastolatkiem, który wymykał się z kolegami w miasto, żeby choć na chwilę zapomnieć, że jest niechcianym przez ojca synem ubogiej kwiaciarki.

– Przepraszam cię. Nie miałem pojęcia...

– Nie przepraszaj – poprosiła Palicki.

Alan odetchnął, przypominając sobie, że zły czas już minął.

– To dlatego nie lubisz, jak ktoś zwraca się do ciebie po imieniu.

Palicki skinęła głową.

– On go nadużywał. Spędziłam w tym domu tylko godzinę, ale to wystarczyło, żeby zatruć mi duszę.

W pierwszej chwili zabrzmiało to jak seria głuchych wystrzałów, eksplodujących w powietrzu fajerwerków. Palicki i Alan pochylili się, wyglądając przez przednią szybę na północny-zachód, spodziewając się hucznego rozpoczęcia Live Aid. Dopiero po chwili uświadomili sobie, że oboje stracili poczucie czasu, a koncert zaczął się już godzinę temu.

– To ona – oznajmiła Palicki, wskazując na wtapiający się w zmierzch dom Brodinów.

– Wezwę wsparcie – zaproponował Alan, ale kiedy się obejrzał, jego partnerki już nie było w samochodzie.

Zobaczył ją za przednią szybą, biegnącą w stronę bramy prowadzącej do posiadłości.

*

W bibliotece Mickey Brodin załadował naboje śrutowe do komór dwulufowej myśliwskiej dubeltówki. Po ich wystrzeleniu broń należało przeładować. Jeśli oczywiście będzie jeszcze taka potrzeba. Ulubiona dubeltówka gangstera została poddana modyfikacji; skrócono kolbę i lufy, aby lepiej dopasowała się do jego ciała oraz żeby zwiększyć rozrzut śrutu. W chwilach wolnych od codziennych trosk Mickey lubił polować na dziki.

Usiadł za biurkiem, kładąc dubeltówkę na blacie w zasięgu ręki. Z zawieszzonego na ścianie, ponadstuletniego niemieckiego zegara dziewięć razy wyskoczyła kukółka. Gwizdem wydobywającym się z organowych piszczałek oznajmiła, że minęła okrągła godzina. Wraz z zapadnięciem zmierzchu Mickeya opuścił dobry nastrój – spowodowany myślą o zamieszkaniu z Ginger – a zastąpiły go mroczne i uzasadnione obawy.

Mickey był nie tyleż zaskoczony, co mile zdziwiony na wieść o udanym zamachu na swojego arcywroga – Alexa Nipara. Przed dwunastoma laty sam o mało nie wysłał tego drania na tamten świat, ale wówczas zawiódł „czynnik ludzki”. Niezawodny dotychczas snajper – Floyd Knox, pierwszy raz się pomylił. Na coś takiego zwykło się mawiać: pech. Ale kiedy w zamachu zamiast wskazanego celu ginie jego Bogu ducha winna żona... No cóż, wtedy mówi się już o wielkim pechu.

„Gilotyna” Nipar cudem uciekł spod topora. Stał się jeszcze bardziej niebezpieczny i szalony niczym zraniony dzik. Krążące o nim plotki jakoby w swoim apartamencie w Chelsea ukrywał genialnego doradcę, z którym przez lata konsultował każdy swój ruch – doprowadzając do poszerzenia wpływów w mieście – okazały się niepotwierdzone. Informacje, za które

Mickey słono zapłacił, bardziej nadawały się na fabułę XIX-wiecznej noweli. Alex Nipar zamiast nabrać rozumu utracił go na dobre. Żył pełnią życia, paradując po mieście niczym jakiś zafajdany gwiazdor filmowy i przy minimalnej obstawie, jakby był nieustraszony. Jedyne głoś, którego słuchał, należał do zausznika – Georgiego Adamsa, a ten co najwyżej potrafił wyrecytować zasady *savoir vivre*'u, pochodzącemu z plebsu kmiotowi, kiedy znaleźli się między ludźmi.

„Alex Nipar był zwykłym burakiem o przerośniętym ego, a jedynym darem, jaki posiadał, był wiejski spryt i zwykły fart, który go opuścił” – podsumował Mickey, odchylając się w fotelu.

Jego świętej pamięci starszy brat bliźniak to była już inna sprawa. Bobby był nieufny, przewidujący i nękany manią prześladowczą. Obsesyjnie dbał o bezpieczeństwo, a mimo to zginął w najbardziej obwarowanym budynku w mieście.

Wczoraj, tuż po porannym nabożeństwie, Mickey pojechał do miejskiej kostnicy. Jego wizyta wywołała poruszenie wśród pracującego tam personelu, któremu przez większość życia wraz z Bobbym regularnie dostarczał pracy. Mickey wszedł do jasnego, sterylne i przejmującego chłodem pomieszczenia, gdzie trzymano zwłoki. Wdrapał się na usługnie podsunęte przez doktora Tuckera krzesło i zobaczył leżący na metalowym stole wypchany worek. Stary patolog uprzejmie zaczekał, aż Mickey dał mu znać, że jest gotowy, a następnie pokazał jego zawartość. Ciało było już umyte i zupełnie do siebie niepodobne, jak balon, z którego uszło powietrze. Mickey poczuł się, jakby zobaczył ducha przyszłorocznych świąt Bożego Narodzenia. Odbędzie się jak co roku, ale w okrojonym składzie, i niby wszystko pozostanie tak samo, a jednak coś się zmieni.

Westchnął, rozglądając się po wysokich szafkach z pułkami uginającymi się od opasłych, oprawionych w skórę zacnych tomiszczy. Z żalem musiał przyznać, że nawet gdyby dane mu było dożyć sędziwego wieku – jak mama – pewnie i tak nie zdążyłby wszystkich przeczytać. Nie przy jego dotychczasowym stylu bycia.

A Ginger? Była światłem jego życia i chociaż ją sobie kupił – jak wszystko, co posiadał – za każdym razem, kiedy o niej myślał, czuł przyjemne ciepło

w okolicy żołądka. Ciepło, do którego tęsknił.

Mickey odruchowo skierował wzrok na okno. Do wszystkich podłączono alarm. Zrobił, co mógł, żeby zabezpieczyć się przed intruzem, teraz mógł jedynie czekać. Pomimo władzy i środków, jakie posiadał, gdzieś z tyłu głowy męczyła go nieprzyjemna myśl, że to nie wystarczy. Postanowił, więc zrobić coś jeszcze. Bez przekonania, ale tak na wszelki wypadek.

Wyciągnął z biurka papier do listów, pióro i atrament. Zapalił lampkę i wydał swojemu prawnikowi rozporządzenia odnośnie do majątku.

Zdziwił się, że tak szybko mu poszło. Zupełnie jakby władza i pieniądze, które zgromadził przez całe życie, nie były warte więcej niż kartka w zapieczętowanej kopercie.

Schował list do szuflady, ale nie poczuł ulgi.

Ponownie więc chwycił za pióro i napisał:

Droga Ginger...

Tu truposz, Mickey. Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że sprawdził się mało prawdopodobny, a jednak najczarniejszy scenariusz. Piorun uderzył drugi raz w to samo drzewo, a ja kopnąłem w kalendarz – jak mój starszy brat Bobby.

Podrapał się w łysą głowę, ślęcząc nad tekstem.

Chcę, żebyś wiedziała, że zanim do tego doszło, powziąłem pewne postanowienie. Naprawdę chciałem z tobą zamieszkać, ale jak to bywa z większością dobrych rzeczy w życiu – nie wyszło.

Pokiwał w zamyśleniu głową.

Dziękuję za chwile, które spędziliśmy razem, i żałuję tylko, że nie było ich więcej. Niemniej jednak to i tak więcej, niż sobie zasłużyłem.

Uśmiechnął się do siebie.

Niedługo skontaktuje się z tobą mój prawnik. Bądź dla niego miła, bo przyniesie ci dobrą wiadomość. Nie wrócisz już do tej szwalni. Nie pozwolę na to, ale muszę cię też ostrzec. Pieniądze, które ci zostawiam, są brudne. Bobby i ja poświęciliśmy całe życie na ich gromadzenie i zobacz, do czego nas to doprowadziło.

Mogą jednak działać wiele dobrego – wszystko zależy od ciebie, droga Ginger.

Wiem, że po moim odejściu przyjdą inni mężczyźni. Baw się dobrze, jesteś jeszcze młoda. Nie pokazuj im jednak, że jesteś nadziana. Faceci to świnię, pijawki i dwulicowe węże.

Wiem, bo sam jestem... byłem jednym z nich.

Zawahał się, trzymając uniesione pióro. Pożegnania zawsze są najtrudniejsze.

Pamiętasz zapewne, że wierzyłem w duchy. One naprawdę istnieją, a skoro tak, to musi istnieć też życie po śmierci. Świat duchów. Będę tam na ciebie czekał.

I jeśli będziesz chciała... to znowu się spotkamy.

Mickey odłożył pióro i machinalnie spojrzał na zawieszony na ścianie wahadłowy zegar z kukułką. Ubiegłej nocy powinien otrzymać raport z przesłuchania inspektor Palicki, ale kurier się nie zjawił. Żadnych wieści ani telefonu. Przed godziną ponownie próbował dodzwonić się do „firmy”, ale nikt nie odbierał. W dzisiejszych czasach na nikim nie można polegać.

Zrezygnowany przesunął dłonią po strapionej twarzy. To już nie był pech, tylko jakaś cholerna klątwa ciężąca nad nim i jego rodziną.

Mickey zmrużył oczy, odrywając się od bieżących spraw. Odniósł wrażenie, że tarcza zegara zaczyna świecić. Najpierw nieśmiało, jak wynurzający się z pomroki snop latarki, aby po chwili rozbłysnąć bladą pełnią.

Mickey zamrugał, nie dowierzając własnym oczom.

Wrócił do rzeczywistości dopiero po bliżej nieokreślonej chwili, ponieważ zegar zatrzymał się, wskazując 21:21. I jak to bywa ze wszystkim, co niesamowite, niedające się ująć w definicji sformułowanej przez rozum, Mickey Brodin postanowił natychmiast podzielić się tym, co zobaczył.

Ps. Pewnie mi nie uwierzysz, Ginger, ale chyba właśnie widziałem Bobby'ego.

Twój Mickey.

Osunął się w fotelu, spoglądając w sufit. Teraz poczuł się lepiej.
A zaraz potem za oknem rozległ się pierwszy wystrzał.

Rozdział 17

Londyn – 13 lipca 1985 roku

Godz. 21:30

Strzelali we wszystkich kierunkach. Selekcjoner uderzył na nich niczym grom z jasnego nieba. Był wszędzie i nigdzie. Ukrywał się w koronach drzew, wkraczał pomiędzy nich, siejąc śmierć, i znikał w cienistych zaroślach jakby był duchem.

Ukrywający się za grubym pniem rozłożystego dębu Steve Cox wychynął, kiedy nawołujące się głosy umilkły, i zobaczywszy jedyny ruchomy kształt, bez namysłu wystrzelił serią cały magazynek. Szarpana kulami postać zadygotała, rozrzucając na boki ręce w groteskowym tańcu, zanim upadła na różanym klombie wypielegnowanym ręką pani Brodin.

– Trafieś go? – szepnął z pobliskiego cienia Mark Swan.

– Skurwiel leży – odparł Cox, ostrożnie wychodząc zza drzewa. Zbliżając się do klombu, minął ciała dwóch innych ochroniarzy. „Nieszczęśni frajerzy”, pomyślał. Za plecami słyszał kroki osłaniającego go Swana, a przynajmniej miał nadzieję, że gnój to robi, bo przydzielony im rottweiler zerwał się ze smyczy spłoszony pierwszym wystrzałem.

Cox dotarł na miejsce i zatrzymał się nad ciałem zastrzelonego psa.

– O kurwa.

Na drugim końcu oplecionej wokół nadgarstka smyczy dostrzegł poszarpane kulami zwłoki kolejnego ochroniarza.

– To był wypadek – zwrócił się do stojącego za nim Swana. – Gdzie jest

ten skurwiel?

Wyraz zaciętej twarzy chłopaka zdawał się mówić: właśnie na niego patrzę.

– Przecież, kurwa, nie chciałem! Nie? – tłumaczył się Cox, wymachując Mini Uzi.

Swan poruszył ustami i Cox usłyszał przeraźliwy huk. Nie wiedział, co chłopak miał mu do powiedzenia, i miał się już nigdy nie dowiedzieć, bo w ułamku sekundy czaszka Swana rozpadła się na kawałki.

Cox zamarł, czując spadające mu na twarz ostre kawałki kości i kawałki wciąż ciepłej tkanki mózgowej. Ciało Swana upadło na wypieloną, skopaną motyką grządkę.

Cox zobaczył wynurzający się z ciemności zarys postaci. Podniósł lufę Mini Uzi i szarpnięciem pociągnął za spust, ale magazynek był pusty.

– O kurwa...

*

Palicki dobiegła do stalowej bramy uwieńczonej szpikulcami. Postawiła stopę na skruszałym kamieniu z wyrytym nazwiskiem właściciela posesji, wsunęła czubek trampka w szczelinę w marmurze i wspięła się, chwytając za krawędź muru. Podciągnęła się, przerzuciła nogę i odepchnęła, zeskakując na drugą stronę poza zasieki czyhających na intruza kolczastych berberysów.

Do rezydencji Brodinów można się było dostać na dwa sposoby; szybciej, biegnąc wzdłuż betonowego podjazdu, jednocześnie pozostając na widoku w świetle latarni. Albo wolniej, przedzierając się przez otaczający rezydencję las.

Palicki wybrała drugą możliwość. Przedzierała się przez gęste chaszczce, osłaniając twarz przed ostrymi kolcami. Zatrzymała się w pół drogi, kiedy usłyszała odgłos kroków. Były ciężkie i chaotyczne niczym tętent spłoszonej zwierzyny.

Zrobiła krok w bok, celując w wyskakującą z zarośli postać. Spłoszona zwierzyna potknęła się o wystający korzeń i niczym worek kartofli upadła, przetaczając się w trawie. Palicki podeszła do niej, trzymając palec na spuście. Postawiła stopę na ramieniu i pochyliła się, rozpoznając twarz.

Kiedyś, dawno temu – Palicki miała wrażenie, że od tamtej pory upłynęła cała dekada, a nie jeden rok – Steve Cox był jej współpracownikiem.

Na wół oszalały, ociekający nie swoją krwią, też ją rozpoznał. Chciał coś powiedzieć, wskazując na zarośla, ale zanim doszedł do słowa, twarz niegdyś znajomej koleżanki z policji zasłoniła uniesiona stopa. Gumowa podeszwa trampka opadła z impetem, miażdżąc mu nos, a potem nastąpiła ciemność.

Palicki przecisnęła się przez zarośla i rozejrzawszy się, ruszyła dziedzińcem w stronę domu. Wszędzie leżały zwłoki, ludzkie i zwierzęce. Ominęła klomb, dobiegając do portyku. Oparła się plecami o kolumnę, wyglądając na okno w zachodnim skrzydle, gdzie paliło się światło. Frontowe drzwi z mahoniu i szkła zostały wyważone za pomocą wielkiej glinianej donicy.

Weszła do środka, znikając we wnętrzu wiktoriańskiej rezydencji.

*

– Tu będziesz bezpieczna, mamó – zapewnił Mickey Brodin, zaprowadzając rodzicielkę do swojej biblioteki.

– Mickey, co się dzieje, synku? – spytała roztrzęsiona stara kobieta.

– Na zewnątrz są moi najlepsi chłopcy. – Gangster złamał kolbę obrzyna klamkę i zatrzasnąwszy drzwi z drugiej strony, przekręcił klucz w zamku. – Zatrzymają go.

Eleonor Brodin ciaśniej owinęła się szlafrokiem, wyczuwając unoszącą się w powietrzu grozę.

– Kogo?

– Nie podchodź do okna! – Mickey złapał matkę za ramię i pociągnął za biurko. – Tutaj...

Skuleni jak myszy w norze, mające nadzieję, że nie dosięgnie ich koci pazur – Mickey przypomniał sobie ulubioną kreskówkę z dzieciństwa. Kiedy ojciec dostawał ataku szału, on i Bobby również się tak ukrywali, mając nadzieję, że tak jak Pixie i Dixie też uda im się przechytryć wrednego Pana Jinksa.

– Och, Mickey – załkała Eleonor Brodin, słysząc kroki na schodach.

– Cicho, mamó – szepnął gangster.

Po chwili kroki rozległy się już na piętrze. Ten, kto je stawiał, zaglądał do wszystkich pomieszczeń. W końcu dotarł do ostatnich drzwi, które były zamknięte.

– Mark?! – zawołał Mickey z nadzieją w głosie. – To ty, chłopcze?!

Brak odpowiedzi. Kroki zaczęły się oddalać. Utonęły w ciszy, aby za chwilę gwałtownie się rozlec. Mickey przypomniał sobie, że kiedy on i Bobby byli mali, mama zabraniała im biegać po domu. Mogli się bawić tylko w ogrodzie.

Stare drzwi z impetem wyleciały z zawiasów, jakby uderzył w nie pociąg towarowy. Zabójca wdarł się do biblioteki i teraz wzrokiem przeszukiwał wnętrze w poszukiwaniu ofiary.

Mickey zacisnął dłoń na broni, nie zamierzał czekać jak cielę na rzeź. Poderwał się i z krzykiem wychylił znad biurka. Wycelował obrzynem w Selekcyjnera, zatrzymując palec na spuście. Nie wiedział, czego się spodziewać po największym londyńskim zabójcy od czasu Kuby Rozpruwacza, ale na pewno nie tego, co zobaczył. Podziurawiona kulami skórzana kurtka, z jednym oberwanym rękawem, zwisała luźno jak u stracha na wróble. Pośrodku, pomiędzy połami, widniał pokryty rozbryzgami krwi nagi korpus. Mickey dostrzegł na brzuchu co najmniej trzy rany, które powinny okazać się śmiertelne.

Ułamek sekundy zawahania wystarczył, żeby Selekcyjner pierwszy pociągnął za spust. Kula magnum 44 weszła gładko nad obojczykiem, rozrywając bark – a wraz z nim mięsień czworoboczny grzbietu – odbierając władzę w ręku Mickeya Brodina. Gangster upuścił obrzyn na blat biurka, upadając jak rażony piorunem.

– Mickey! – wrzasnęła przeraźliwie Eleonor Brodin, jakby sama została ranna.

Selekcyjner wolno okrążył biurko. Odepchnął stojący mu na drodze fotel i stanął nad ostatnim celem, który miał na swojej liście.

– Nie, nie mojego synka! – lamentowała stara kobieta, osłaniając Mickeya własnym ciałem.

Lufa rewolweru przeniosła się z jednej głowy na drugą. W bibliotece

rozległ się dźwięk odciąganego kciukiem kurka. Eleonor Brodin zbladła jak prześcieradło i odsunęła się od syna, zasłaniając rękami twarz.

– Mamo...? – sapnął Mickey, patrząc kątem oka na usuwającą się w kąt rodzicielkę.

Lufa rewolweru ponownie obrała go na cel. Selekcjoner dokonał ostatniej selekcji.

Mickey zamrugał, spoglądając na pozbawioną emocji, upiornie bladą – jakby wyrzeźbioną z kamienia – twarz Selekcjonera. Delikatne rysy wskazywały, że zabójcą była kobieta, ale im dłużej gangster się jej przyglądał, tym dalszy był od stwierdzenia, że ma do czynienia z przedstawicielem rodzaju ludzkiego. Jedna z kul musnęła głowę, częściowo zrywając skalp i odsłaniając lśniąca metalową czaszkę. „Jak to możliwe?” – zachodził w głowę. „Przecież czegoś takiego jeszcze nie wymyślono!”

Selekcjoner też mu się przyglądał. Żółta źrenica rozszerzyła się, zwięzając pierścień otaczającej ją czerwonej tęczówki.

– Zabiłaś mojego brata... ty nędzna kreaturo bez uczuć – wychrypiał Mickey. – Pieprzony robocie... wybryku natury... – Spróbował się poderwać, ale wraz z upływem krwi stracił również siły. – Czym ty właściwie jesteś!?

Selekcjoner przechylił głowę, jak małe dziecko, które podczas swojej pierwszej wycieczki do zoo zobaczyło stworzenie spoza stron ulubionej malowanki.

– Czym ty właściwie jesteś – powtórzyła Faith, naśladowując zachrypnięty głos Mickeya.

Biblioteką wstrząsnął huk. Faith wystrzeliła ostatnią kulę w magazynku, którą zachowała dla Mickeya Brodina. Wyprostowała się, stając przed oknem wychodzącym na wrzosowiska. Musiała się spieszyć. Czas wracać do domu.

– Ty diablico! – ryknęła na całe gardło Eleonor Brodin. – Zabiłaś moje dzieci!

Faith odwróciła się od okna, stając oko w oko ze starą kobietą. Najpierw zobaczyła jej wykrzywioną od gniewu twarz, a potem kurczowo ściskanego w dłoniach obrzyna wycelowanego w swoją pierś.

– Wracaj do piekła!

*

„Wehikuł czasu”, pomyślała Palicki. Od chwili, w której przekroczyła próg tego domu, nie mogła się uporać z osobliwym wrażeniem, że oto cofnęła się w czasie. Brodinowie byli bogaci. Tak bardzo, że mogli pozwolić sobie na luksus zapomnienia o upływającym czasie. Stare obrazy, meble, dywany. Z każdym krokiem wydawało jej się, że schodzi krętymi schodami – rok po roku – w otchłań przeszłości.

W połowie drogi na piętro zdała sobie sprawę, że to tylko iluzja, a przyszłość i tak nadejdzie. Spadnie na dom Brodinów z hukiem. Zacisnęła dłoń na swoim waltherze, wspinając się po schodach.

Drugi wystrzał rozległ się, kiedy ocierając się ramieniem o ścianę, dotarła do znajdującego się na końcu korytarza jedyne pomieszczenia, w którym świeciło się światło. Palicki przestąpiła przez wyważone drzwi, omiatając lufą pistoletu wnętrze gustownie urządzonej, domowej biblioteki. W środku zastała tylko płaczącą starą kobietę, osłaniającą własnym ciałem zwłoki syna niczym suka zdechłe szczenię.

Palicki podniosła leżący na podłodze obrzyn i sprawdziła. Pusty. Obróciła się, stając przed oknem. Było wybite od wewnątrz, jakby coś desperacko chciało się stąd wydostać. Wyrzała przez ramę framugi, w której tkwiły ostre odłamki szkła, dostrzegając na tle otulonych zmrokiem wrzosowisk ruchomy cień. W pierwszej chwili pomyślała, że to może być sarna.

– Palicki? – Alan wpadł do biblioteki z bronią gotową do strzału. W płaszczu i włosach wciąż miał kolce berbersów. – Jesteś cała?

Palicki odwróciła się i wcisnęła mu do ręki obrzyn, wskazując na panią Brodin.

– Zostań tu, Alan.

– A ty dokąd się znowu wybierasz?

– Brakuje jeszcze jednego ciała, które powinno być martwe.

Zbiegła po schodach. Rozejrzała się na dziedzińcu, a potem wspięła na rozłożysty dąb. Przeszła po grubej gałęzi przewieszanej nad trzymetrowym murem i zeskoczyła z drugiej strony. Ruszyła biegiem przez wrzosowiska,

kierując się na północ w stronę rzeki. Z każdym krokiem zapadała się w wilgotnej glebie po kostki, a kiedy dotarła do brzegu Tamizy, skręciła na wschód. Myślała jak Selekjoner, oddalając się coraz bardziej od geometrycznych kształtów domów i przyszyżonych trawników, przemierzając wysokie wrzosa oraz zarośla czarnego lasu. Zatrzymała się tylko raz, na chwilę. We mgle wymachiwała bronią jak ślepiec białą laską, żeby ostatecznie się przekonać, że każdy wyłaniający się z mlecznej otchłani cień to tylko cień. Opuściła lufę pistoletu i ruszyła dalej.

Wybiegła na polanę, dostrzegając w podnoszącej się mgle ruchomy cień. Tym razem nie pomyliła go z sarną. Faith podążała z uporem w stronę zagajnika, ciągnąc za sobą kontuzjowaną nogę, jakby miała do niej przykutą łańcuchem kulę. Z oddali wyglądała jak zepsuta zabawka poddająca się napędzającemu ją mechanizmowi.

Palicki zmrużyła oczy, patrząc na zagajnik. „Przecież tam nic nie ma”, pomyślała, oddając ostrzegawczy strzał i krzycząc:

– Faith!

Ostrzeżenie poskutkowało. Faith zatrzymała się, opierając na jednej nodze, a drugą odciążała, pochylając się i wbijając w ziemię pięść, niczym pozbawiony kończyny wojenny weteran.

Patrzyły na siebie z odległości dwudziestu metrów. Palicki ponad muszką walthera, podtrzymywanego zabandażowaną dłonią, dostrzegła pomiędzy połami kurtki strzępy piersi odsłaniające metalowy korpus nasuwający na myśl średniowieczną zbroję. Natomiast Faith żółtą źrenicą rozpoznała amarantową postać, której zabroniła wchodzić sobie w drogę.

Uśmiechnęła się jak do dawno niewidzianej znajomej.

Palicki odniosła nieprzyjemne wrażenie, że wbrew pozorom to nie ona kontroluje przebieg zdarzeń. Patrzyła oszołomiona, zastanawiając się, czy rzeczywiście nie zwariowała. To coś wyglądało jak człowiek. Miało skórę, włosy, krew, a nawet w pewnym stopniu ludzki system wartości. Ale nie było człowiekiem.

Palicki poczuła, jak ziemia zaczyna drżeć pod jej stopami, a potem zalała ją fala jaskrawego zielonego światła. Upadła na ziemię, wypuszczając broń. Oslaniając ręką przymknięte oczy, bezradnie patrzyła w strumień światła,

z sykiem pochłaniający otaczającą ją polanę. Obezwładniający strach otworzył jej usta, natychmiast przechodząc w stan katatonicznego osłupienia. Pierwotny lęk o własne życie przyćmiła ulga. Nie oszalała. To świat był bardziej nieprzewidywalny, niż dotychczas przypuszczała. A skoro tak jest, to znaczy, że warto o niego walczyć. Zdarzenie, którego do końca życia miała nie potrafić wyjaśnić, tak jak się gwałtownie zaczęło, równie szybko skończyło.

Po drugiej stronie miasta, na stadionie Wembley, trwał rozpoczęty z opóźnieniem koncert Live Aid. Szalejący na scenie Freddie Mercury nakłonił 72 tysiące widzów do klaskania w jednym tempie do rytmu utworu: *Radio Ga Ga*. A potem w całym mieście zgasło światło.

Na wpół przytomna Palicki leżała w spalonej trawie, wpatrując się w przepływające nad nią poszarpane chmury. Różniły się rozmiarami oraz kształtami, ale każda wyglądała jak samotna wyspa dryfująca po bezmiarze granatowego oceanu. Wszystkie w tym samym kierunku.

– Palicki!?! – rozległ się głos z oddali, a po nim odgłos pospiesznie stawianych kroków. – Mój Boże, co ci się stało?

Spojrzała zdezorientowanym wzrokiem najpierw na klęczącego przy niej Alana, a potem na swoje dłonie. Były spieczone na raka, jak u ofiary słonecznej kąpieli, która usnęła na plaży. Palicki podniosła się na łokciach, czując swąd spalenizny unoszący się z jej motocyklowej kurtki. Sięgnęła po swojego walthera. Broń była tak gorąca, że ledwo mogła utrzymać ją w dłoni.

– Dasz radę wstać?

Odpowiedziała skinieniem i z pomocą Alana podniosła się na nogi.

– Gdzie ona jest? – spytał sierżant Salisbury, spoglądając przez ramię.

– Jej już nie ma. Wróciła do swojego świata – odparła słabym głosem Palicki.

Alan skrzywił się, słysząc takie wyjaśnienia.

– Cooo?

Palicki zachwiała się, próbując zrobić krok. Alan chwycił ją w ramiona, zanim upadła.

– A gdzie jest ten świat? – zapytał, kiedy już przemierzali z powrotem wrzosowisko.

Uwieszona na jego pomocnym ramieniu Palicki zadarła głowę, spoglądając na mrugające pomiędzy chmurami gwiazdy.

– Mam nadzieję, że daleko stąd.

Rozdział 18

Londyn – 27 lipca 1985 roku

Godz. 20:30

Cztery białe kominy osadzone na wieżopodobnych kolumnach elektrowni Battersea lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Charakterystyczne ciężkie proporcje, surowość i monumentalizm do złudzenia przypominały starożytne kolumny doryckie, gdzie walory artystyczne ustępowały miejsca funkcjonalizmowi. Rozświetlony przez grupę Pink Floyd budynek stanowił symbol leżącej w południowo-zachodniej części Londynu dzielnicy przemysłowej.

Czarne porsche 944 zjechało z ciągnącej się wzdłuż brzegu Tamizy ruchliwej ulicy i skręciło w sporadycznie uczęszczaną wieczorową porą nitkę, rozgałęziającą się pomiędzy magazynami. Wjechało na osłonięty wiatą plac, minęło szereg równo zaparkowanych szarych furgonetek z logo firmy kurierskiej – zajmującej się międzynarodowym transportem – i zaparkowało na obrysowanej żółtymi liniami kopercie.

Ksenia Kirilenko wysiadła z auta i, jak to miała w zwyczaju, zapatrzyła się na modernistyczną budowlę w oddali, obiecując sobie, że kiedyś ją kupi... albo ukradnie. W krajach Europy Zachodniej granica pomiędzy jednym a drugim była mocno zatarta.

Odwróciła się, ale zamiast udać się bocznym wejściem prosto do biura, weszła na rampę. Otworzyła kluczem wąskie drzwi znajdujące się obok otworu bramowego i zniknęła w środku.

Hala magazynowa miała tysiąc metrów kwadratowych i była wysoka na dziesięć. Wnętrze wypełniały regały ramowe, z zapieczętowanymi taśmą kartonami, pomiędzy którymi wił się labirynt alejek.

Kirilenko ruszyła różnym krokiem po wypolerowanej posadzce, dokonując pobieżnej inspekcji. Uwielbiała swoją pracę. Nie bycie prezesem firmy kurierskiej – to była tylko przykrywka. W połowie lat osiemdziesiątych nawet kryminaliści potrzebowali legalnej działalności, aby wytłumaczyć fiskusowi, skąd mają pieniądze. Takie czasy. Większość znanych jej przestępców prowadziła sklepy, zajmowała się handlem albo byli właścicielami złomowisk. Coś praktycznego ale nierzucającego się w oczy.

Kirilenko miała nosa do interesów. Minęło dwadzieścia lat, od kiedy z całym swoim dobytkiem upchniętym w marynarskim worku zeszła po trapie ze statku, na którym przybyła z Leningradu do Wielkiej Brytanii. W tym czasie dorobiła się małej fortuny, o jakiej mogłaby tylko pomarzyć, zostając w swojej socjalistycznej ojczyźnie. Prowadziła dobrze prosperujący biznes, pozwalający jej dysponować wolnym czasem, obracać gotówką i ukrywać nielegalne profity. Jej rzeczywiste źródło dochodów nie nadawało się do umieszczenia w zeznaniu podatkowym.

Przeszła przez halę, słuchając echa własnych kroków. O tej porze w magazynie nie powinno być już nikogo poza trzymającymi straż Ilją i Konstantinem. Kirilenko skręciła w korytarz prowadzący do części biurowej. Zaglądała do każdego wnętrza, zastanawiając się, gdzie są ci dwaj durnie. W pokoju, który zajmowali, jak zwykle panował bałagan i wszechobecny smród. Opróżnione butelki po wódce stały rzędami wzdłuż ścian, z których uśmiechały się roznegliżowane panienki. Na ławie stał włączony telewizor, a w magnetowidzie odtwarzała się kasetą z jakimś amerykańskim filmem. Kirilenko podniosła pudełko z wypożyczalni: *Gliniarz z Beverly Hills*. Wyłączyła kasetę i wyszła z pokoju, obiecując sobie, że jeśli nie zjawią się do północy, to osobiście się z nimi policzy.

Na końcu korytarza otworzyła drzwi prowadzące do pomieszczenia przystosowanego na siłownię: atlas, bieżnia, ławeczka ze sztangą, rowerek i zestaw hantli. Tutaj czuła się lepiej niż we własnym apartamencie w ekskluzywnej dzielnicy Belgravia. No i miała wszystko na oku.

Zdjęła kłódkę z metalowej szafki swojego skarbcza. Wyciągnęła trampki i czerwony dres z wyszytym złotymi nićmi symbolem „jedności chłopów i robotników”, nad którym widniała czerwona pięcioramienna gwiazda. Pamiątka z dawnych czasów, kiedy to dwudziestoletnia Ksenia Kirilenko znalazła się w kadrze narodowej na Igrzyska XVIII Olimpiady odbywającej się w 1964 roku w Tokio. To właśnie tam lekkoatletyka została poszerzona o pięciobój nowoczesny kobiet. Mimo młodego wieku, Kirilenko uchodziła za jedną z faworytek w pchnięciu kulą, a nie stanęła na podium tylko dlatego – jak uważała – bo w trakcie zawodów nabawiła się kontuzji barku. Nie zdobyła medalu, ale za to otworzyły się jej oczy. Igrzyska w Tokio były najlepiej zorganizowane i przeprowadzone w dotychczasowej historii, a mała wyspiarska Japonia okazała się krajem zmodernizowanym oraz nowoczesnym. Po powrocie do Związku Radzieckiego rozgoryczona zdała sobie sprawę, że wszystko, co jej od zawsze wmawiano, było kłamstwem. Zarzuciła sportową karierę, wyznaczając sobie nowy cel, którym była ucieczka za Żelazną Kurtynę. Kapitalistyczna Wielka Brytania okazała się krajem nieograniczonych możliwości, a monarchia parlamentarna równie skuteczna co socjalizm we wmawianiu tłuszczy, że sama może decydować o własnym losie.

Ściągnęła pulower oraz dzinsy i przebrała się w dres. Zaczęła tradycyjnie od rozgrzewki, ale zanim skończyła się rozciągając, wysiadł prąd. Znowu. Dwa tygodnie temu, kiedy to się zdarzyło, też trenowała. Potem ktoś sprzątnął starego Nipara oraz braci Brodin, a ona została z niczym. Bez pieniędzy i bez obiecanych wpływów. Nie straciła, ale też nie skorzystała, a w biznesie, kto nie korzysta, ten traci. Tak działa kapitalizm. Teraz na dodatek musiała być czujna. Tyler Nipar to jeszcze nieopierzony pętał, a lada chwila wyrośnie mu konkurent do podziału londyńskiego tortu. Kto to będzie i czy ona, Kirilenko, będzie mogła na tym skorzystać? Najpierw jednak musiała się dowiedzieć, dlaczego nie ma prądu.

Podeszła po omacku do drzwi i wyjrzała na pogrążony w ciemnościach korytarz.

– Konstantin!? Ilja!? – zawołała z przyzwyczajenia, zapominając, że chłopcy poszli w miasto.

Odpowiedziała jej grobowa cisza. Kirilenko zmarszczyła czoło. Coś było niedobrego w tej ciszy. Nie potrafiła powiedzieć co, ale pochodziła z zabobonnej rodziny, mieszkającej od pokoleń w irkuckich górach nad jeziorem Bajkał – najstarszym i najgłębszym na świecie – gdzie wyrosła, słuchając legend, od których nawet kury na podwórzu srały ze strachu.

Wróciła do szafki i wymacała wojskową płaską latarkę sygnalizacyjną oraz fiński pistolet maszynowy „JaTiMatic” 9 mm, z zamontowanym celownikiem laserowym – unikat, ponieważ wyprodukowano tylko kilkaset egzemplarzy. Kirilenko ściągnęła trampki – żeby gumowe podeszwy nie piszczały na wyszorowanej posadzce – a także skarpetki – w których mogłaby się poślizgnąć – i stąpając cicho jak kocica, wysunęła się z za drzwi siłowni. Obawiała się w życiu tylko dwóch rzeczy: zdrady i ludzkiej głupoty. Ta druga czerpie ze źródła niewiedzy, bo chociaż zorganizowane gangi z East End nie naruszały terytorium tych z południa Londynu i *vice versa*, to przecież zawsze znajdą się jacyś głupcy, nieświadomi, że właśnie weszli do jaskini lwa.

Szła powoli, omiatając korytarz snopem światła latarki. „Dziwne, że jeszcze nie włączył się agregat”, pomyślała. Kazała go zainstalować na tyłach magazynu przed dwoma laty, kiedy zamknięto blok B, tym samym kończąc działalność elektrowni Battersea.

Kirilenko przeszła do hali. Słońce zdążyło już zejść i przez świetlik w dachu wpadała majestatyczna poświata, w której tańczyły za dnia niewidoczne ludzkim okiem drobinki kurzu.

Coś poruszyło się między regałami. Mogłaby przysiąc, że widziała cień. Zaświeciła latarką i jednocześnie – trzymając pistolet na wysokości biodra – naprowadziła czerwony promień lasera. „Nic, to tylko wyobraźnia”.

Kirilenko już chciała iść na tyły magazynu, żeby sprawdzić agregat, ale zatrzymała się, dostrzegając uchylone drzwi do komory chłodniczej. Przechowywała tam produkty spożywcze, powinny więc być szczelnie zamknięte. Zwłaszcza latem. Brazylijskie banany nie rosły na angielskich drzewach. Komuś się za to oberwie.

Jeszcze zanim się zbliżyła, uderzył ją obezwładniający fetor, którego nie mogła z niczym skojarzyć. Pchnęła drzwi komory i pierwszy raz od bardzo

dawna poczuła ciarki na sztywnym, umięśnionym karku. Najpierw zobaczyła worek, a dopiero potem wielki stos usypany z częściowo już spalonych kartonów. Podniosła snop światła. Worek wyglądał na skórzany, być może bydlęcy. Widziała już takie w Irkucku. Ten wyglądał jak rozdęty pęcherz, zawieszony na haku wbitym w sufit z płyt warstwowych i ciasno okręcony łańcuchem, jakby w obawie, że coś się może z niego wydostać.

Kirilenko weszła do środka, okrążyła stos i szturchnęła worek lufą pistoletu. Twardy. Cokolwiek tam było, już się nie ruszało. Musiała wspiąć się na palce, żeby zajrzeć do środka, ale najpierw odłożyła pistolet obok swojej stopy i przyłożyła dłoń do twarzy, bo fetor stawał się tym intensywniejszy, im była bliżej bydlęcego worka.

W pierwszej chwili ich nie poznała. Rozciągnięte w bólu twarze z otwartymi ustami, zastygłe w niemym krzyku. Konstantin i Ilja z zadartymi głowami niczym pisklęta wyczekujące powrotu matki.

Kirilenko głośno przełknęła gorzką ślinę. Zabrała pistolet i wycofała się z chłodni. Zanim zimna kalkulacja – skupiająca się na ograniczeniu strat – zdążyła przewyciężyć chaos w jej głowie, zauważyła zbliżające się zagrożenie.

Cienie wyłaniające się z otchłani mroku otoczyły ją półokręgiem. Kirilenko doliczyła się najmarniej ośmiu. Nim zdążyła pociągnąć za spust, zgięła się wpół, trafiona gumową kulą. Przystąpili do niej, wyciągając dłonie w skórzanych rękawiczkach. Jedna para fachowo wykręciła jej nadgarstek, odbierając broń. Druga unieruchomiła ramię za plecami, a trzecia przycisnęła do ust wilgotną szmatę. Chloroform zadziałał błyskawicznie, wprawiając ją w stan absolutnego odrętwienia. Stając na skraju świadomości, Ksenia Kirilenko przypomniała sobie, że istnieje taki rodzaj drapieźnika, któremu nawet lew ustępował z drogi. Hieny. Ścierwojady w przewodzie liczebnej gotowe były rzucić wyzwanie nawet samej królowej dżungli.

*

Światło znowu działało. Lampy umieszczone pod dachem rzucały ostry blask, rozpraszając kryjące się między regałami cienie. W czarnych

kombinezonach, z zasłoniętymi twarzami i butlach na plecach, wyglądali, jakby przeprowadzali dezynfekcję. Jeden z nich się zbliżył. Ciekawie przechylił głowę, upewniając się, że Kirilenko już się obudziła, i dał znak drugiemu, stojącemu przy drzwiach hali.

Rosjanka spróbowała się poruszyć i natychmiast zrozumiała, że jest związana. Zamrugała zaczerwienionymi od chloroformu oczami, upewniając się, czy grawitacja nie płata jej figła. Spojrzała w dół, czyli w górę, i zobaczyła swoje złączone stopy. Rozpoznała lśniąca, jasnożółtą manilową linę, którą skrepowano jej nogi w kostkach, a drugi koniec przerzucono przez metalową krokiew, ciągnącą się wzdłuż dachu, i przywiązano do wspornika, znajdującego się dwa metry za jej plecami.

W oddali otworzyły się wąskie drzwi i na halę, dostojnym krokiem, weszła postać, której Kirilenko osobiście nigdy nie poznała, a tylko słyszała opowieści – nie mniej przerażające niż te w rodzinnym Irkucku. Pomimo naturalnego wzrostu od razu zauważyła rodzinne podobieństwo.

– Nadszedł dzień sądu – oznajmiła zza żałobnej woalki Eleonor Brodin. Ubrana w klasyczne czarne spodnium i kapelusz, zaciskała kościstą dłoń na zwisającej z ramienia markowej torebce. – Wiesz, jakie to uczucie przeżyć własne dzieci?

Kirilenko, nawet gdyby chciała, nie mogła udzielić odpowiedzi. Wisiała głową w dół na naprężonej linie, mocnej i elastycznej, używanej do cumowania łodzi. Ręce miała skrepowane na plecach, a usta zaklejone uniwersalną taśmą, której używano w magazynie do pieczętowania kartonów z przesyłkami.

– Podobno kiedy traci się jakąś część ciała – podjęła Brodin – to nawet po długim czasie wciąż czuje się jej ból. Ja czuję teraz taki ból... jakby wyłupano mi źrenice. Jedną po drugiej. Świat przestał dla mnie istnieć. Nie widzę już nic, tylko wszechogarniający mrok.

Kirilenko poruszyła się nerwowo, kołysząc na linie – najpierw w lewo, potem w prawo – niczym odmierzające czas wahadło. Czas, który zbliżał się ku końcowi.

– Myślę, że ktoś jest mi za to coś winien. – Brodin wskazała oskarżycielsko szponiastym palcem. – I myślę, że to jesteś ty, Kseniu Kirilenko!

Rosjanka napała ustami na taśmę, chcąc się układać.

– Mghm...!

– Zanim przyjechałaś, cały wieczór spędziłam, słuchając najpierw kłamstw, potem błagań i w końcu krzyków tych twoich psów. – Brodin pogroziła jej palcem. – Nie przyniosły mi ulgi.

Kirilenko szaleńczo potrząsnęła głową.

– Uhm!

– Dość już kłamstw. Gdybyś zrobiła, co do ciebie należy, to mój synek nie leżałby teraz... – Stara kobieta zaniósła się szlochem.

Kirilenko desperacko wskazywała głową w stronę korytarza. W skrytce za ubikacją miała ukryte dwa miliony funtów na czarną godzinę. Po jednym za każdego z synów. Wiedziała, że to nie wróci im życia, ale może wystarczy na odkupienie swojej winy. Tylko jak tej starej suce o tym powiedzieć?

– Mghmmm...!

Eleonor Brodin przyjęła życzliwie podaną chusteczkę i otarła łzy. Kirilenko zbladła na widok stojącego u jej boku mężczyzny, który zdobył się na ten gest.

– Zapewne jesteś ciekawa, jak do ciebie dotarliśmy. – Brodin kurtuazyjnie wskazała na swojego pocieszyciela. – Pan Adams oddał nam na tym polu nieocenioną przysługę.

Georgie uśmiechnął się, machając ręką zakończoną protezą ze stalowym hakiem. Kirilenko napięła mięśnie ramion. Nie było takich więzów, których by nie rozerwała.

Georgie i jego nowa chlebowczyni poczekali, aż Rosjanka się zmęczy.

– Spłoniesz w piekielnym ogniu. – Brodin ostrożnie zbliżyła się do Kirilenko na długość kroku, jak do psa trzymanego na łańcuchu. – A wraz z tobą zetnę z powierzchni ziemi wszystko, czym byłaś.

Kirilenko ciężko oddychała przez nos, czując swąd łatwopalnych chemikaliów, którymi spryskiwano dorobek jej życia.

Georgie chrząknął.

– Oprócz samochodu – dodała Brodin.

Kirilenko napięła mięśnie brzucha, wściekle się szarpiąc.

– Mógłbym zamienić parę słów ze starą znajomą? – poprosił Georgie.

– To grzesznica! – wrzasnęła Brodin. – Ma rozdwojony język...

– W takim razie tylko ja będę mówił.

Kirilenko obracała się na linie, czując, jak opuszczają ją resztki sił. Doradca zbliżył się i kucnął, tak żeby móc spojrzeć jej w oczy, i nonszalancko – jak nie Georgie – oparł łokcie na kolanach, pytając:

– Wiesz jak to jest spłonać żywcem? – Przeczesał dłonią rzadkie rozwichrzone włosy. – To powolny i żmudny proces. Najpierw powietrze rozgrzeje się do dwustu, trzydziestu stopni... Ciężko to sobie wyobrazić, ale ty to zrozumiesz, kiedy zaczną ci się topić włosy i paznokcie. Temperatura będzie wciąż wzrastać, doprowadzając do wrzenia krwi. Poczujesz to w kościach. Będą się łamać i rozrywać. To samo będzie się działo w twojej głowie. – Georgie przesunął zimnym hakiem po zaklejonym policzku Kirilenko. – Pomyśl tylko... krew, mózg i tkanka napierają, szukając ujścia. Czaszka eksploduje. Dosłownie rozpadnie się na kawałki, jak skorupka gotowanego na twardo jaja. Może nawet dojść do oderwania głowy od reszty ciała. – Puścił oko, podnosząc się z kucek. – Skończyłem, proszę pani.

Kirilenko patrzyła, jak się oddalają. Najpierw ta spróchniała dewotka ze swoim dwulicowym sługusem, a potem zniknęły też cienie. Jeden po drugim. Ostatni z nich, zanim zatrzasnął za sobą drzwi hali, rzucił podpaloną szmatę na stos zapieczętowanych przesyłek.

*

W sali kinowej powoli rozbłysły światła. Cienie podnoszących się z foteli w dole widzów zaczęły przybierać realne kształty, a po ekranie przesuwały się napisy końcowe. Palicki odchyliła głowę, rozciągając zesztywniały kark. Miała wrażenie, jakby powróciła z dalekiej podróży.

– Jak ci się podobał film? – zapytał bezceremonialnie mężczyzna siedzący na sąsiednim fotelu.

Powrót do przyszłości Roberta Zemeckisa w odróżnieniu od *Wehikułu czasu* George'a Pala czy *Terminatora* Jamesa Camerona przedstawiał tę radosną wizję podróży w czasie. Palicki nie zdziwiłaby się, gdyby kiedyś – zgodnie z sugestią ostatniej sceny – nakręcono kontynuację albo nawet dwie.

Ludzie przychodzą do kina, żeby choć na chwilę zapomnieć o trudach codziennego dnia i jeśli znajdzie się reżyser, który w zabawny, a zarazem inteligentny sposób przedstawi im pogodną wizję przyszłości, to czemu by tej podróży nie powtórzyć – taka była jej opinia.

– Jeszcze muszę to przetrwać – odparła, wsuwając ręce w rękawy usznię podanej kurtki.

– Ten film zawierał co najmniej jedną prawdę życiową. – Mężczyzna wskazał palcem na ekran, idąc za tokiem rozumowania doktora Emmetta Browna: – Na najlepsze pomysły rzeczywiście wpada się w kiblu.

– Jesteś głodny? – spytała Palicki.

Gavin pokręcił głową.

– A ty?

Palicki przesunęła ręką po brzuchu.

– Nie, ale po zjedzeniu wiadra popcornu zaschło mi w gardle.

Wyszli z kina i przeszli do znajdującego się po drugiej stronie ulicy pubu. Usadowiony na stołku przy barze i popijający ulubionego Jamesona Gavin błyskał intelektem, wyjawiając Palicki prawa fizyki kwantowej podparte argumentami znanych w swoim środowisku naukowców. Słuchała z uwagą, osuszając kufel zimnego piwa, i nie przerywała mu, kiedy czegoś nie dopowiedział albo zwyczajnie się pomylił. Przez ostatni tydzień termin podróży w czasie nabrał w jej życiu znamion obsesji. Przeczytała kilkanaście książek na ten temat i na dobrą sprawę to właśnie telefon od Gavina poderwał ją z kanapy, odrywając od lektury. Najpierw grzecznie i trochę niezdarnie wytłumaczył się, że nie zadzwonił wcześniej, bo był zajęty pracą, a potem już śmieiej zapytał, czy nie wybrałaby się z nim w miasto – na przykład do kina.

Palicki podjęła decyzję, kiedy tylko usłyszała jego głos, ale odpowiedzi udzieliła dopiero po dłuższej chwili.

– Pomyśl tylko...– ciągnął swój wywód Gavin, kiedy już wyszli na zewnątrz. – Gdyby to było możliwe w praktyce, to już dawno ktoś by nas odwiedził.

Palicki zapatrzyła się w zachmurzone niebo, słuchając wieczornego gwaru miasta, spośród którego przebijał się donośny odgłos syreny strażackiej.

– Pewnie tak – odparła bez przekonania.

– Ale...? – Gavin przyciągnął ją do siebie i otoczył ramieniem.

– Ale założmy na chwilę, że podróże w czasie są możliwe. – Wsunęła mu rękę pod kurtkę, obejmując za biodro. – Jeśli gdzieś na skraju galaktyki albo nawet w innym wymiarze istnieje wysoko rozwinięta cywilizacja zdolna podróżować z prędkością światła i załamywać czasoprzestrzeń, mogłoby to wytłumaczyć wiele zjawisk zachodzących na Ziemi. – Wskazała głową na szyld mijanego biura podróży. – W przyszłości, zamiast udawać się do egzotycznych krajów, można by się wybrać na przykład do wiktoriańskiej Anglii.

– Albo do czasów starożytnej Grecji, gdzie współczesny człowiek nie przeżyłby nawet tygodnia. – Gavin odchylił głowę i zamknął oczy, kiedy z nieba zaczęły kapać pierwsze krople londyńskiego deszczu. – Dokąd my właściwie zmierzamy?

– Jedna z teorii...

– Nie chodzi mi o ludzkość. Miałem na myśli ciebie i mnie, w tej chwili. – Wskazał na rozgałęziającą się na cztery strony świata przecnicę, do której się zbliżali. – Dokąd „my” właściwie zmierzamy?

Palicki obróciła głowę, spoglądając w piwne – zdawałoby się, zawierające wszystkie odcienie szarości – oczy Gavina. Nigdy takich nie widziała. A może się myliła? Jedna z teorii wyjaśniających egzystencję ludzkości na tej ziemi zakłada, że każdy człowiek rodzi się tylko raz, ale mieszkająca w nim dusza wielokrotnie już powracała i będzie powracać na ten świat, dopóki nie wyzwoli się z zaklętego kręgu życia i śmierci. A zanim to się stanie, zadurzona w piwnych oczach, w których rozpoznawała coś znajomego, choć do końca nie rozumiała, co to było, Palicki postanowiła złamać swoją zasadę, żeby się o tym przekonać.

– Chciałbyś zobaczyć, jak mieszkam?

*

Szyld restauracji *Josephine* nigdy jeszcze nie świecił tak jasno jak w drugą sobotę od dokonania w niej słynnej medialnej rzezi. Medialnej, bo w rzeczywistości została tu zakłuta nożem tylko jedna osoba – w dodatku nie

należąca do socjety – natomiast dwie inne zastrzelono z zimną krwią, ale bulwarowa prasa była zbyt zajęta wymyślaniem krzykliwych nagłówków, żeby zawracać sobie głowę prawdziwą istotą rzeczy. Niemniej dwa tygodnie to dość czasu, aby minął pierwszy szok, a establishment zaczął się upominać o rezerwacje przy swoich ulubionych stolikach.

Kierownik sali Antoine miał ręce pełne roboty. Każdy, kto był „kimś”, życzył sobie zjeść horrendalnie drogą kolację przy białym obrusie w *Josephine*; oblizać srebrne sztucce, wytrzeć usta lnianą serwetką, rozejrzeć się, podumać, wygłosić kilka uwag, a potem rozgłosić całemu światu, że tu był. I przeżył.

Antoine kurtuazyjnie witał największych z wielkich wchodzących do środka – łaskawie zostawiając przed wejściem podwójną obstawę – i co chwila spoglądał przez ramię. Dzisiejszy wieczór był szczególny, a jego główną atrakcją stanowił wymuskany, pachnący i piękny jak Adonis Tyler Nipar; syn przedsiębiorcy i filantropa, a zarazem największego gangstera w mieście. Oprócz niebotycznego majątku oraz wpływów młodzieniec odziedziczył po swoim tragicznie zmarłym ojcu również stół w boksie, przy którym tenże wyzionął ducha. „Nietaktem było odmówić”, pomyślał Antoine, jednocześnie zastanawiając się, jakie będą się wiązały z jego wielkodusznym gestem reperkusje.

Ponownie wyjrzał na salę. Tyler Nipar był gościem w *Josephine* pierwszy raz. Antoine nie znał jego zwyczajów, młodzieniec był mu obcy. Słyszał jedynie krążące o nim plotki, a te, delikatnie mówiąc, były niepokojące. W kularach złe języki pomawiały go o szaleństwo. Zresztą podobnie jak jego przedwcześnie zmarłego ojca. O ile szaleństwo dziedziczy się w genach, to przecież Alex „Gilotyna” w obyciu był człowiekiem czarującym.

Pół godziny temu Antoine powitał Tylera w progach *Josephine* ciepłym uściskiem dłoni i szczerymi kondolencjami, na co młodzieniec odparł zdawkowym skinieniem głowy. Chciał jak najszybciej udać się do stolika. Kiedy Antoine osobiście zaprowadził go do boksu, Tyler zapytał, na której sofie siedział jego ojciec, a gdy usłyszał odpowiedź, niezwłocznie zajął miejsce po drugiej stronie, jakby w ten sposób chciał zdjąć ciężącą nad jego rodziną klątwę. Zamówił wodę Evian i od tamtej pory zwilżał w niej usta,

cierpliwie znosząc rzucające mu ukradkiem ciekawskie spojrzenia, jednocześnie dodając splendoru *Josephine* swoją zniewieściałą chłopięcą urodą odziedziczoną po matce. Co jakiś czas wyglądał przez okno, jakby na kogoś czekał. O czym zresztą nie omieszkiał poinformować kierownika sali.

Antoine usłyszał znajomy szelest obrotowych drzwi i odwrócił się, gotów przywitać następnego gościa.

Zdębiał, widząc idącą w jego stronę postać.

– Pani Brodin? – pytanie zabrzmiało jak jęknięcie, ale kierownik sali szybko przywołał się do profesjonalnego porządku. – Moje szczere kondolencje. – Ucałował wyciągniętą dłoń. – Witam w naszych skromnych progach. W czym mogę pomóc?

– Chciałabym zająć stolik – oświadczyła Eleonor Brodin.

Antoine bezradnie rozłożył ręce, przywołując na twarz wdzięczny uśmiech. Ileż razy słyszał ten tekst. Tyleż razy musiał odmawiać. Od czasu do czasu robił wyjątek, nakazując wyciągnąć z zaplecza rezerwowego stolik, ale w tym przypadku nie widział takiej potrzeby.

– Z całym szacunkiem, ale...

Eleonor Brodin uciszyła go, wyciągając dłoń.

– Ten, którego zawsze odmawiałeś mojemu synkowi, kiedy próbował zrobić rezerwację w tej waszej nędznej, przepłacanej i przereklamowanej knajpie.

– *Madame*. – Zjeżył się Antoine, przyjmując żołnierską postawę. Już na samo wspomnienie tego napastliwego, grubiańskiego karła czuł niesmak w ustach, a co dopiero jego zacni goście. – Nie będziemy w ten sposób rozmawiać.

– Bo i nie mam ci nic więcej do powiedzenia. – Eleonor Brodin jakby od niechcienia machnęła ręką. – Tyler Nipar.

Słowa starej kobiety zabrzmiały w uszach Antoine'a niczym diagnoza śmiertelnej choroby.

– Czeka tam na mnie – dodała.

Kierownik sali widział i słyszał wystarczająco wiele, żeby uwierzyć w nie takie dziwy. Syn i matka najbardziej zaciekle wrogów w mieście mieliby zasiąść przy jednym stoliku. Jego stoliku. Po dziesięciu latach pracy

w *Josephine* był skłonny uwierzyć we wszystko, ale do tego cudu jakoś nie mógł się przekonać. Być może starej z racji wieku i wskutek utraty – w krótkim czasie – dwóch synów coś się pomieszało i pomyliła restaurację z apteką.

– Nie może być – oznajmił niczym Niewierny Tomasz.

– A jednak – oświadczyła Eleonor Brodin, dumnie unosząc brodę.

Antoine najpierw zerknął na salę, a potem zapytał:

– Ten Tyler Nipar? – Wskazał kciukiem przez ramię. – Jest pani pewna?

– Ten sam. – Eleonor Brodin ruszyła dostojnym krokiem przed siebie. –

A teraz won mi z oczu.

Antoine usunął się na bok, bo i cóż miał uczynić. Adonis Nipar rzeczywiście wyglądał, jakby na kogoś czekał. Zaraz po zejściu Antoine przywołał gestem Timmy'ego, najbardziej zaufanego kelnera, i powierzył mu swoje obowiązki, a sam przyłgnął do ściany, ukradkiem obserwując rozwój wydarzeń.

*

Tyler Nipar dopił swoją wodę, jednocześnie dokańczając rozmyślenia o zmarłym ojcu Alexie. Ten leżał już w zimnym grobie, stając się pokarmem dla robaków. „Odstęczająca wizja”, pomyślał Tyler. On nigdy do czegoś takiego nie dopuści. Zapisał już swoją ostatnią wolę i bez względu na to, czy jego ciało w chwili śmierci będzie stare, czy młode, przebite kulami czy poćwiartowane; przede wszystkim jego odnalezione szczątki mają być spalone. Dzięki temu jego dusza szybciej opuści ten ziemski padół i połączy się z czekającą na niego w niebie matką. Jedyłą osobą, którą kochał.

Ale w obecnej chwili Tylerowi było jeszcze daleko do nieba. Był nazbyt dobrze ubrany, umięśniony i bogaty, żeby powitać śmierć z uśmiechem na ustach. Czuł na sobie te wszystkie ciekawskie spojrzenia i kątem oka odnotowywał, kto mu je posyłał. Uzbierała się długa lista. I kiedy ci biedni, zarobieni frajerzy przyglądali mu się jak jakiemuś dziwadłu, on zastanawiał się, jak ich głowy jedna po drugiej wyglądałyby nadziane na zastruganych kijach. I czy wówczas na ich twarzach pozostałby chociaż cień tego

szelmowskiego uśmiechu.

Odnalazł wzrokiem kelnera i zdawkowym skinieniem głowy zamówił jeszcze raz Evian. Młody chłopak, najwyżej dwudziestoletni, podjął jego spojrzenie i natychmiast udał się za bar. „Ciekawe, ile tacy chłopcy zarabiają, uwijając się przy tych burżujskich stolikach”, rozmyślał Tyler. „I dlaczego to są sami chłopcy? Ani jednej kelnerki”. Uśmiechnął się do siebie, postanawiając, że przy najbliższej okazji odciągnie starego Antoine’a na stronę i zada mu niedyskretne pytanie.

Tyler dostrzegł zbliżającą się do boksu osobę, na którą czekał, i chociaż nie miał na to najmniejszej ochoty, podniósł się niczym rasowy dżentelmen, wychodząc jej na powitanie:

– Dobry wieczór, pani Brodin.

– Panie Nipar.

Cofnął się o krok. Nie, na to już nie mógł się zdobyć. Nie będzie całował tej pomarszczonej dłoni z brązowymi plamami wątrobowymi. Stara kobieta przyjęła afront, sprytnie potrząsając palcami, jakby zamasyżowała pyłek. Kiedy oboje zajęli miejsca w boksie naprzeciw siebie, natychmiast podszedł do nich kelner.

– Czarna kawa. – Eleonor Brodin złożyła zamówienie, nie patrząc na chłopca.

– A dla mnie jeszcze raz Evian – dołączył się Tyler. – Tylko tym razem chcę, żeby był chłodny, tak jak prosiłem za pierwszym razem, kiedy składałem zamówienie. Najlepiej będzie, jeśli wyjmiesz butelkę z lodówki przez lnianą serwetkę. – Oddał swoją. – A potem postaw ją od razu na tacy. Nie życzę sobie, żeby dotykały jej czyjeś ciepłe dłonie. Zrozumiałeś?

– Oczywiście, panie Nipar.

Zanim kelner odszedł, Tyler chwycił go za biały mankiet, zwracając się do swojego gościa:

– Nic pani nie zje?

– Jadłam już kolację. Preferuję domową kuchnię – odparła Eleonor Brodin.

– Słusznie. – Tyler puścił chłopca. – Ja ostatni posiłek jadam najpóźniej o dziewiętnastej, bo człowiek najedzony to człowiek rozleniwiony. Ma przytępione zmysły, a nocą są mu najbardziej potrzebne, żeby w porę

dostrzec niebezpieczeństwo.

Eleonor Brodin zdjęła kapelusz z woalką.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Ja wybrałem miejsce, ale pani czas. – Tyler ostentacyjnie spojrzął na zegarek. – Pół godziny spóźnienia. Wie pani, co mógłbym teraz robić, gdybym tu nie siedział?

– Chyba nie chcę o tym myśleć.

Nastąpiła niewygodna, przeciągająca się chwila milczenia, którą jako starsza i mądrzejsza ucięła Eleonor Brodin.

– Zatrzymały mnie damskie pogaduchy. – Uśmiechnęła się, mrużąc oczy. – Moje kondolencje z powodu straty ojca.

Twarz Tylera przybrała niewzruszony wyraz, jakby przywdział maskę.

– Wystarczy Alexa. Od śmierci matki ani razu nie nazwałem go ojcem. – Odwdzięczył się zjadliwym uśmiechem. – Moje również, pani Brodin. Z powodu śmierci synów: Roberta i Michaela. Nie wiem, czy wymawiam ich imiona w chronologicznej kolejności...?

– Bezbłędnie, panie Nipar – zachnęła się stara kobieta.

Tyler odchylił się na sofie, klaszcząc pod stolikiem w dłonie.

– To dobrze. Mam to do siebie, że w kontaktach z kobietami nieustannie przytrafiają mi się gafy.

Eleonor Brodin w milczeniu przyglądała mu się przez dłuższą chwilę; gdyby wzrok mógł zabijać, Tyler byłby już spalony na popiół.

– Nie zabiję pana, Nipar – oświadczyła Eleonor Brodin.

– Nie? – Tyler wdzięcznie wzruszył brwiami. Rozejrzał się po sali. Śmierć jego ojca przyniosła do *Josephine* duże zmiany. Ochroniarze bezwzględnie pozostawali przed wejściem, żadnych dokooptowanych stolików. Natomiast Antoine od tamtej pory wpuszczał tylko osoby, które dobrze znał. Z telewizji, radia, gazet. Nieważne. Odtąd miały być to osobistości nie tylko bogate, ale także znane. Śmierć Alexa „Gilotyny” sprawiła, że *Josephine* przestała być drogą i modną restauracją, a stała się elitarnym klubem. No więc kto miałby Tylera tu sprzątnąć?

– Nie – kontynuowała Eleonor Brodin. – Jest pan wystarczająco młody i zepsuty, żeby swoimi czynami wpędzić się do piekielnego kotła bez mojej

pomocy.

– Dziękuję za łaskę, pani Brodin. Ale zastanawiają mnie dwie rzeczy.

Wrócił kelner. Tyler zaczekał, aż zostawi kawę i wodę.

– Pierwsza: w jaki sposób miałaby mnie pani uśmiercić? I druga: jak mógłbym trafić do piekła, skoro tkwię w nim już od dwunastu lat! – powiedział trochę za głośno.

Eleonor Brodin spojrzała w bok. Głowy pozostałych gości natychmiast zaczęły się odwracać.

– Moi synowie pozostawili po sobie dziedzictwo. – Sięgnęła do torebki. – Oto lista znanych powszechnie nazwisk: polityków, przedsiębiorców... ludzi z pierwszych stron gazet.

Tyler łakomym okiem zerknął na szarą kopertę, jednocześnie zachowując kamienną twarz.

– Co mi do tego?

Eleonor Brodin pochyliła się nad stolikiem, mówiąc szeptem:

– Każde z tych nazwisk posiada coś na sumieniu: oszustwa podatkowe, zdrady małżeńskie... a w dwóch przypadkach sodomie.

Tyler wzruszył ramionami.

– Co też pani powie? – Obejrzał uważnie butelkę, zanim przelał jej zawartość do szklanki. – Pragnę zauważyć, że upłynęło już trochę czasu od kiedy napisano Biblię. Teraz mówi się na to homoseksualizm.

Eleonor Brodin położyła kopertę na stoliku.

– Na każde z tych nazwisk mam teczkę zawierającą daty, zdjęcia i listę gotowych zeznawać świadków. Oczywiście za godziwą opłatą.

– Nie wątpię, nasz świat jest bardzo ubogi. – Tyler stłumił ziewnięcie. – Powtórzę pytanie...

Stara kobieta zastukała szponiastym palcem w kopertę, a następnie wskazała na młodzieńca, składając propozycję:

– Ty, Tylerze Nipar, będziesz katem ścinającym odrastające łby hydry. A ja będę cię wiodła w tej boskiej krucjacie niczym matka nadzieja.

Tyler nagle poczuł się nieswojo. Restauracja zniknęła, ale ludzie pozostali. Stłoczeni na brudnym zakurzonym dziedzińcu, ubrani w łachmany, wymachiwali ręcznie zrobionymi narzędziami do uprawy roli. Wrzeszczeli

jak oszalali, ale i tak nie byli w stanie zagłuszyć mężczyzny w szkarłatnej szacie. Jego głos był mocny jak dzwon.

Zamrugnął oczami i znów znalazł się w restauracji. Wizje nie były już tak częste i wyraźne jak wtedy, gdy był dzieckiem, ale wciąż powracały. Tym razem, dociekał, musiał się cofnąć do niedalekiej przeszłości. Musiały to być czasy, kiedy palenie na stosie stanowiło niedzielną rozrywkę. Ale dlaczego w tej chwili i co to oznaczało? Na te pytania, jak zawsze, nie znał odpowiedzi.

– Panie Nipar?

Chrząknął i pociągnął długi łyk ze szklanki.

– Co pani proponuje?

Eleonor Brodin umoczyła usta w czarnej smolistej kawie.

– Mapa wpływów w Londynie pozostanie nienaruszona. Ty, Tylerze Nipar, powściągniesz swoje psy, a ja w zamian co miesiąc będę dostarczała ci teczkę wybranej przez ciebie głowy.

Tylerowi spodobał się ten pomysł tak bardzo, że nie był już w stanie ukrywać się za niewzruszoną maską. Odwrócił się gwałtownie, nie dając szansy obserwującym ich gościom na odwrócenie wzroku, i posłał im szelmowski uśmiech.

– Pani Brodin, przywróciła mi pani wiarę w lepszy świat.

Eleonor Brodin przesunęła kopertę na środek stolika.

– Nasz świat.

Gdzieś w oddali nad miastem rozległ się grzmot nadciągającej burzy.

Epilog

W miejscu poza czasem, nieograniczonym grawitacją, Młodszy Instruktor Axn stał w Kręgu i patrzył w Zwierciadło. Obserwował wymiary, podzielone na sekwencje, niczym splecione ze sobą ogniwa łańcucha. Różnicę stanowiło zmieniające się spektrum światła oraz tonacja dźwięków. Każdy wymiar posiadał własną melodię. Rozbudowane i zaawansowane sąsiadowały z prostymi, znajdującymi się dopiero na etapie formowania. Większość tych, które znał, wypełniały światy.

Stare i młode. Fizyczne i mentalne. Pełne rozmaitych form życia albo wysuszone do czerwoności.

Świat, nad którym pracował wcześniej, zyskał spore uznanie. To była na początku pozbawiona lądów morska planeta, pełna cukru, soli i mającego słabe rokowania planktonu. Kiedy Axn przedłożył owoce swojej pracy Wielkiej Radzie, tę samą planetę zamieszkiwały już wodne istoty stanowiące hybrydę ryby i humanoida. Wszyscy byli hermafrodytami, stali na tym samym poziomie intelektualnym, a także nie uznawali własności prywatnej. Młodsze osobniki komunikowały się ze sobą za pomocą wymiany dźwięków o określonej tonacji, w zależności od nastrojów, ale starsze mogły to już robić telepatycznie. Tworzyli wielotysięczne stada i przemierzali harmonijny, pozbawiony naturalnych wrogów świat.

Ten, nad którym Axn pracował obecnie, był dobrze oświetlony i bardziej zróżnicowany.

W większości wypełniony wodą, ale naczelne zamieszkiwały wyłącznie

lądy. Rasa ludzi była gatunkiem ekspansywnym i jedną z najmłodszych cywilizacji zamieszkującą swój wymiar. Cechowała ją wysoka inteligencja odzwierciedlająca szybki rozwój, odwaga i pasja, a także niecierpliwość i brak wyobraźni. Toczyli wewnątrzgatunkowe wojny o dominację i przestrzeń. Mieli niespożyty popyt na surowce naturalne, a zarazem brak umiaru w rozmnażaniu się – niewspółmierny do objętości Ziemi.

Nie posiadali jeszcze zaawansowanych technologii, jak na przykład zdolności załamywania czasoprzestrzeni, ani nie skolonizowali żadnej planety, a już skonstruowali broń pozwalającą im się nawzajem zniszczyć.

Takie światy jak ten, trudne i wyczerpujące, nie cieszyły się zainteresowaniem. Zazwyczaj zostawiano je własnemu losowi, nie wróżąc długiego bytu. Ale Axn lubił wyzwania i kiedy usłyszał od przyjaciela o tej pięknej, a zarazem niebezpiecznej Błękitnej Planecie, leżącej na rubieżach Drogi Mlecznej, niezwłocznie poprosił Wielką Radę o ten przydział. Miał mnóstwo pomysłów, jak go ulepszyć. Jednym z nich była Faith.

Rzeczywistość nie jest pozostawiona sama sobie, co jakiś czas wymaga korekty, jak obraz restauracji. Jeśli w danym miejscu i czasie równowaga pozytywnej i negatywnej energii została zachwiana, należało interweniować:

- 9 r.n.e. Las Teutoburski w pld.-zach. Germanii, gdzie trzydziestotysięczna armia została pokonana przez niewidzialnych wrogów, kładących kres nadmiernej ekspansji Cesarstwa Rzymskiego.

- 1941 rok, Karpaty – Rumunia, w drodze na wschodni front, w niewyjaśnionych okolicznościach znika oddział Wehrmachtu,

- 1985 rok, Londyn, w ogarniętej wojną gangów metropolii giną bossowie podziemnego półświatka.

Axn opuścił pomieszczenie, które człowiek nazwałby „salą kinową”, i długim korytarzem ruszył do miejsca, które nazwałby „ambulatorium”.

Czuła ciepło i to coś, co nazywał miłością. Nie wiedziała, czym właściwie jest miłość, ale czuła ją w gęstej, falującej konsystencji jaskrawej mgły, w której swobodnie się unosiła, wypełniona wszechogarniającym spokojem. Ciepło i miłość zdawały się nie mieć końca we wszechświecie wiecznego światła. Nie miały też początku, ale gdzieś na dnie własnej głębi czuła, że ten wszechświat to jeszcze nie wszystko.

Nieświadoma obserwujących ją inteligentnych oczu, zanurzona w roztworze wzrostu komórek łączących się z brakującymi częściami ciała, wracała do zdrowia.

Cykl regeneracyjny będzie wkrótce ukończony.

Posłowie

Istnieje pewna legenda, opowiada o młodym człowieku żyjącym w drugiej połowie XIX-wieku, nazwiskiem Rudolf Fenz. Pewnego wieczoru opuścił swoje mieszkanie i ślad po nim przepadł. Ta historia nie różniłaby się niczym od innych, gdyby nie jej finał.

Rudolf Fenz odnalazł się ponad siedemdziesiąt lat później na środku Times Square. Co się z nim działo? I dlaczego jego ciało nie poddało się próbie czasu?

Po dziś dzień legenda o Rudolfie Fenzu posiada liczne grono zwolenników, których nie zadowolają proste wyjaśnienia.

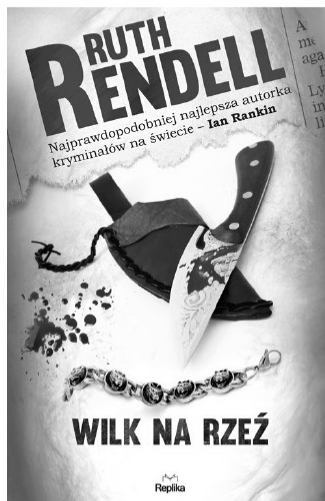
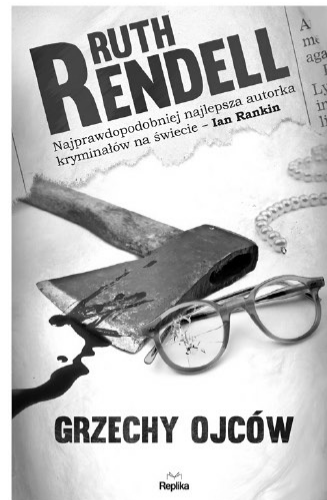
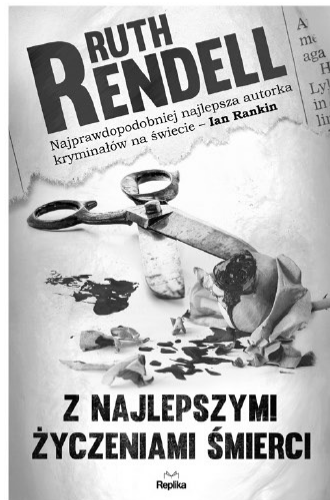
No cóż, legendy mają to do siebie, że podobno w każdej z nich kryje się ziarno prawdy.

Historia ta zainspirowała mnie do napisania książki, którą, drogi czytelniku, trzymasz w rękach. Mam nadzieję, że po przeczytaniu uwierzyłeś, tak jak ja, że świat jest znacznie bardziej skomplikowany, niż na pozór się wydaje.

Dorian Zawadzki, 2019

Wydawnictwo Replika poleca

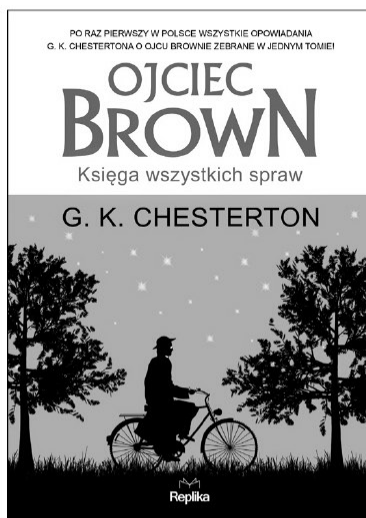
Cykl *Nadinspektor Wexford*
Ruth Rendell



Intrygujące i doskonale przyjęte przez czytelników kryminały z cyklu o inspektorze Wexfordzie autorstwa Ruth Rendell.

Wydawnictwo Replika poleca

Ojciec Brown. Księga wszystkich spraw
G.K. Chesterton



Po raz pierwszy w Polsce wszystkie opowiadania G. K. Chestertona o ojcu Brownie zebrane w jednym tomie!

Ojciec Brown to skromny, szczerzy i przesympatyczny ksiądz, który posiada niebywałą zdolność do rozwiązywania nawet najbardziej skomplikowanych zagadek kryminalnych. Tajemnica jego sukcesu leży w nieprzeciętnej inteligencji. Używając wyobraźni i sprytu, stawia się na miejscu przestępcy i próbuje odgadnąć jego kolejny ruch. Czasem wystarczy zaledwie jeden rzut jego uważnego oka na miejsce zbrodni, aby odtworzyć najbardziej nawet nieprawdopodobny scenariusz, aby odkryć motywy kierujące zbrodniarzem i jego tożsamość, aby odsłonić wszystkie tajemnice. W dodatku w swojej chrześcijańskiej wielkoduszności nie wątpi, że zawsze można uzyskać przebaczenie i odkupienie...

Niezwykle intrygujące opowiadania pełne charakterystycznego dla Chestertona angielskiego humoru, skomplikowanych spraw kryminalnych, niezwykłych zbiegów okoliczności i zaskakujących zwrotów akcji.

Na motywach opowiadań o księdzu Brownie powstał rewelacyjny serial telewizyjny „Ojciec Brown” z Markiem Williamsem w roli tytułowej.

Spis treści

[Założmy, że było tak...](#)

[Prolog](#)

[CZEŚĆ 1. RZEŹNIK](#)

[Rozdział 1](#)

[CZEŚĆ 2. FAITH](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[CZEŚĆ 3. NELL](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[CZEŚĆ 4. SELEKCJONER](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

CZEŚĆ 5. NIEZŁOMNY DUCH

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

CZEŚĆ 6. HYDRA

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

[Wydawnictwo Replika poleca](#)